

Rafał A. Ziemkiewicz

Skarby Stolinów

Hrebor Cudak

Łatwo jest zezłościć rozenice. Starczy przy połogu wykonać jeden gest nie w porę, uśmiechnąć się lub rzucić jakieś słowo w złej chwili. Biada wtedy matce i rodzącemu się dziecku, bo rozenice, jak wszystkie leśne demony, są złośliwe i mściwe ponad wszelką ludzką miarę. Potrafi taka spojrzeć na noworodka złym okiem, aż skrzywi się i nie wyprostuje już nigdy, potrafi zaplątać mu język albo zabrać cień, od czego każdy człowiek marnieje szybko i umiera. Potrafi jednym zmarszczeniem brwi zesać na matkę gorączkę i niechybną śmierć. A jeśli bardzo się ją urazi, wtedy odmieni dziecku serce; to prawdziwe uniesie ze sobą w głąb puszczy i zostawi pośród uroczyiska, a da drugie, ułomne i sprzeczne z przyrodzeniem.

Tak się właśnie stało z Hreborem. Nie wiedzieć, w czym przewiniła rozenicom jego matka, czym je mógł urazić ojciec. Może zdarzyło im się w chwili zapomnienia radować głośno na przyjście z dawna oczekiwanego potomka? Może nie ustrzegli przed złym okiem szykowanej dla niego wyprawy? Może zawistny Jorsz, sługa demonów, który często kręci się wokół ludzkich obejść, podchwycił jakieś ich nierozsądne słowo i poniósł je ku leśnym ostępom? Tego już nikt się nigdy nie dowie. Dość że w chwili połogu odmieniła rozenica Hrebora, dając mu serce kobiety. I skoro się to stało, zaraz przysłała ku niemu zła Dola i ujęła w palce nic nowego żywota, tak że się musiało od tej chwili zdarzyć wszystko, co się zdarzyło potem.

Jednak wówczas nikt jeszcze nie wiedział, co jest pisane dziecku, i wielce cieszone się w Zadragu z jego przyjścia na świat. Ojciec Hrebora, władarz Żargrad, wiódł się z rodu Pahwazdów i chociaż nie był to jeszcze w tym czasie ród tak liczny i potężny, jak potem, należał już do najmożniejszych w całym Slengu. Tymczasem Żargrad, choć już niemłody, wciąż nie miał dotąd potomka, któremu mógłby zostawić władarstwo. Radował się więc bardzo, zwłaszcza że upragniony syn widział mu się chłopakiem silnym i mocnym, który wyrośnie na dzielnego wojownika i rozważnego gospodarza. Gdy unosił malca, trącając jego główką o stropowe belki, i prosił wszystkich opiekunów rodu, wszystkie domowe chowańce o życzliwość i troskę nad nim, gdy dotykał nim progę i paleniska, oddając go w opiekę przedziadom, marzył w duchu o sławie, jaką zdobędzie jego syn i jaką okryje swój ród. Może spełniłyby się te marzenia, gdyby się już losy dziecka nie ustaliły wcześniej. Lecz tak próżne były hojne obiady, które posyłał do trzemu, i zaklęcia sprowadzonych żerców.

Był Żargrad człowiekiem rozważnym i lękał się, aby puszczańskie moce nie powzięły złości ku jego pierworodnemu. Stąd dał synowi to imię, które dziwiło potem niejednego, kto je słyszał. Jakoż zdawało się, że jego zmyślność odniosła skutek; Hrebor rósł na tęgiego młodzieńca, śmigłego i szerokiego w barach, choroby nie imają się go wcale, wzrok miał bystry, a pięści mocne. Był też dzieckiem nad wiek zmyślnym i nieraz zadziwiał starszych słowami, jakich nikt by się nie spodziewał po niedorośłym otroku. Zarazem jednak zdradzał dziwną ospałość i skłonność do popadania w zadumę. Robił, co do niego należało, lecz sam z siebie nigdy o nic nie zadbał, najbardziej zaś lubił siedzieć przy ogniu i słuchać opowieści i śpiewów. Zapominał wtedy o całym świecie i nigdy nie miał tego dość.

Żyło w tym czasie wielu wędrownych mistrzów, którzy całe swe życie poświęcali doskonaleniu się w sztuce wojennej. Takiego mistrza, imieniem Starz, sprowadził na swój dwór Żargrad, aby objął on pieczę nad Hreborem; a było to wkrótce po tym, jak

młodzieńcowi ścięto po raz pierwszy włosy i odebrano go spod opieki matki. Przez wiele lat zachodził Starz do Zadragu i całymi dniami ćwiczył młodego Pahwazdę w trudnej sztuce szermierki, wieczorami zaś wpał mu mądrość dawnych mistrzów. Żargrodowic słuchał go pilnie i przykładał się do ćwiczeń najlepiej, jak umiał, gdyż wiedział, że taka jest jego powinność. Szybko jednak spostrzegł Starz, że chłopiec nie ma zupełnie serca do męskich spraw i niechętnie o nich myśli. Z czasem obracał włócznią coraz sprawniej, ale zezłoszczony mistrz wymawiał, iż czyni to jak tancerka, nie jak wojownik. Wreszcie gdy uznał, że dość już nauki, poddał Hreborowi zwyczajowej próbie. Dał mu prawdziwą włócznię, ostrą i smukłą, zamiast drewnianej, i wypuścił na niego podrażnionego psa. Żeby dowieść swej siły, powinien uczeń rozplatać zwierzę jednym ciosem od głowy do ogona. Hrebor tymczasem uskakiwał tylko na bok, nie uderzając. Dwa razy tak zrobił, wreszcie, przynaglany przez mistrza i kąsany coraz dotkliwiej, uderzył. Chlusnęła krew i wtedy zdarzyło się coś, czego Starz nigdy w życiu nie oglądał: jego uczeń cisnął włócznię na ziemię i uciekł z płaczem, klnąc się, że nigdy nie uderzy nikogo ostrym żelazem. Długo potem leżał w pościeli i łkał, a na samo wspomnienie tej chwili brały go torsje.

Tegoż wieczora Starz opuścił Zadrag, a na odchodnym rzekł włodarzowi:

— Wiele lat wędruję po puszczy, ale dotąd nie widziałem chłopca równie dziwnego jak twój syn. Znam się na ludziach i powiem ci, że nigdy nie będzie z niego ani wojownik, ani gospodarz. Najlepiej by było, gdybyś oddał go żercom. Niech pali zioła i śpiewa zaklęcia, bo do niczego innego się nie nadaje.

Żargrad zezłościł się tylko i ani mu w głowie było słuchać rady Starza. Pomyślał, że dziwna ta słabość minie pewnie Hreborowi z wiekiem, tymczasem zaś sam uczył go gospodarowania.

Zdarzyło się w jakiś czas potem, że Żargrad musiał na dłuższy czas wyruszyć w podróż. Zostawił więc wszystkie sprawy na głowie syna, przykazując sługom, by we wszystkim byli mu posłuszni.

Długo wspominali pachołkowie ten czas, Hrebor bowiem karmił ich równie dobrze, jak sam jadł, i mało doglądał. Nawet gdy wyszedł w pole, zaraz wciągali go w gadkę i kiedy jeden opowiadał mu jakąś historię, pozostali wypoczywali w najlepsze. Tymczasem rok był zły, powódź poczyniła znaczne szkody w zasiewach, a wielki wiatr przetrzebił mocno budynki w osadzie, tak że nawet najlepszy gospodarz miałby sporo kłopotu. Hrebor zaś, kiedy przychodzili do niego pachołkowie i użalali się na głód i nędzę, litował im się, zwalniał z powinności, a nadto jeszcze obdarzał wyniesionym z ojcowskiej komory dobrem. Matka i zaufani słudzy włodarza próżno napominali go, miał bowiem taką naturę, że nigdy nie pomyślał o tym, co zdarzy się następnego dnia.

Pewnie by włodarskie obejście niszczało pod jego zarządem do cna, gdyby nie wrócił wreszcie Żargrad. Kiedy zobaczył wielkie zaniedbania w gospodarstwie, wpadł w złość i kazał wzywać syna do siebie, ale że nie było go w obejściu, bo spacerował sobie właśnie po lesie, słuchał więc tylko Żargrad opowieści o tym, co się pod jego nieobecność działo. Na samym końcu dowiedział się o owym obdarowywaniu ścierciałów przez Hreborę i wpadł w gniew tak straszny, że nawet żona kryła się po kątach dworu, aby nie wpaść mu w takiej chwili pod rękę.

Powściągnął się jednak i gdy Hrebor stawiał się wreszcie przed nim, usiłował mu najpierw przemówić do rozumu:

— Ojcowie moi wiele lat trudzili się, by zdobyć to, co ty gotów byś z lekkim sercem rozdać ścierciałom, skoro tylko poczną jęczeć i narzekać na swój los. Wiedz, że tak jest świat urządzony, iż nic nie przychodzi bez trudu. Ojców moich nikt nie wspierał, lecz gdy przyciskał zły los, szli z włócznią na wyprawy. Wielu z nich oddało głowy w obcych krajach, zanim uzbierało się z łupów na jako takie obejście. Komu głód i nędza, niech zakasa rękawy i mozołem dochodzi swego albo niech weźmie włócznię i idzie po łupy, a nie czeka na głupca, co go wesprze datkiem. Dlatego mocą mojej ojcowskiej władzy każę ci przyprowadzić tu

wszystkich tych leniwych, których w dziecięcej głupocie obdarowałeś, i sam dopilnujesz, aby odpracowali w dwójnasób to, co wzięli. A jeśli źle to zrobisz, wymierzę ci karę zgodną z obyczajem.

Hrebor wszakże słuchał go z podniesioną głową i odpowiedział zuchwale, jak nigdy mu się nie zdarzyło:

— Wspierałem tych, którym złośliwe Dole nie pozwoliły zaznać w życiu radości. Jest u nas dość dobra, żeby starczyło go dla chorych i steranych. A jeśli ojcowie siłą odbierali ludziom ich własność, nie chcę tego dziedziczyć i wolę zrobić z ich srebra lepszy użytek.

Gdy to usłyszał, stracił Żargrad wszelką rozwagę, chwycił za drąg i obił nim pierworodnego, aż ten spłynął krwią i nie mógł się o własnych siłach poruszać. Matkę jego zaś, gdy chciała odciągnąć go od syna, zajechnął przez głowę, że wiele dni leżała w łożu bez ducha. Po czym zabronił dawać mu jeść więcej niż chleb i wodę i wpuszczać go do gospodarskich izb, póki nie nabierze rozumu. Wtedy też właśnie nazwał w złości Hrebor cudakiem, nie myśląc nawet, że przezwisko to przylgnie do jego syna na zawsze.

Po tym Hrebor zapałał do ojca taką nienawiścią, że nigdy już nie mogło być zrozumienia między tymi dwoma najbliższymi sobie ludźmi. Nie czekał nawet, aż wyliże się z ran, ale jeszcze kulejąc i plując krwią, zebrał w węzełek garść swoich rzeczy i nocą, nie mówiąc nikomu, opuścił ojcowskie dworzyszczce. Na drodze się jeszcze obrócił, przeklął głośno ojca i rzekł, że nigdy w życiu nie chce go widzieć. Prędko też złośliwy Jorsz podchwycił jego słowa i nie wiedział nawet Hrebor, że stanie się, jak powiedział.

Rankiem Żargrad porozsyłał pachołków, by przywiedli Hreborą do domu. Krzyczał przy tym, że zabije go własną ręką, woli bowiem nie mieć syna wcale, niż mieć takiego, który swą głupotą i uporem ściąga hańbę na cały ród. Ale pachołkowie w duchu litowali się nad chłopakiem, toteż pomogli mu w ucieczce, dali mu jeszcze żywność i parę groszy na drogę.

Tak zatem mając ledwie szesnaście wiosen, opuścił Hrebor swój dom, bez żalu, a tylko z nienawiścią w sercu. Wędrował przez świat od jednej osady do drugiej, lecz nigdzie nie mógł zagrać miejsca. Wkrótce też pokosztował losu, od którego chciał wybawić innych, próżno bowiem szukał człowieka, który chciałby wspomagać włóczęgę, niczego w dodatku nie umiającego. Poznał nędzę na własnej skórze, gdy musiał za kawałek chleba imać się różnych zajęć, nieraz zdzierając ręce do krwi. W innym może obudziłoby to rozsądek, ale Hrebor im więcej znosił niedoli, tym bardziej zaciął się w swym uporze. Pewien swej racji gotów był znieawidzić cały świat za to, że był inny, niżby on chciał. Tak powoli wzbierało w młodym włóczędze szaleństwo, ale nim wzrosło, dużo jeszcze miało upłynąć czasu.

Tymczasem szedł bez celu i kierunku, aż po wielu dniach dotarł do podgórskiej osady zwanej Skerh. Tak się zaś złożyło, że przybył tam w samo święto zimowego słońca, gdy w osadzie bawiono się hucznie i radośnie przez cały dzień i noc. Choć więc nikt go tam nie znał, przyjęli Skerhanie przybysza życzliwie, jak to bywa podczas wielkiej uciechy. Usadzili go przy biesiadnym stole, dali mu jeść do syta i piwa, ile chciał.

Skoro już najadł się i napił jak nigdy, odkąd wyruszył z domu, począł wsłuchiwać się w rozmowy Skerhan; nie mieli oni wielu powodów do zmartwień, ale w jednym im zbywało, że nie przyszedł do osady żaden gędziarz, który by zabawił ich pouczającą historią. Wtedy uznał Hrebor, że wypada wywdzięczyć się za gościnę, wystąpił i zaczął opowiadać.

Spotkał w drodze wielu gędziarzy, dotąd mu nie znanych, gdyż Żargrad miał ich za darmożjadów i nigdy nie wpuszczał za swój próg. Słyszał od nich różne historie, a miał tę zdolność, że wszystkie zapadły mu—głęboko w pamięci i nieraz, nie mając się do kogo odezwać, powtarzał je sam sobie. Toteż dobrze mu szły gędźby, chociaż przedtem tego nie próbował. Opowiedział najpierw o Gaszronie Mocarnym i stolinach, potem o wyprawie Żdawora i o zaklętej włóczni; wielu znało te gędźby, ale Hrebor, sam skory do wzruszeń, potrafił poruszyć serce w każdym, kto go słuchał. Po każdej opowieści nie żałowano mu miodu i jadła, a byli i tacy, co rzucali mu srebro i mówili, że lepszego nigdy nie słyszeli.

Rozochociło to Hrebora i opowiadał dalej, aż w końcu, mocno sobie podchmieliwszy, zaczął historię zupełnie nową, nie złożoną dotąd przez nikogo. Mówił o złym i chytrym człowieku, który wygnał z domu własnego syna, bo mierziło go oddawać mu w dziedzictwo swój majątek, a potem o złym losie wygnanego. Nie dbał przy tym o prawdę, lecz sam wzruszał się tą opowieścią coraz bardziej i plótł rzeczy zupełnie niestworzone, nim pojał wreszcie, że nijak nie będzie umiał tej gęźby skończyć. Szczęściem dla niego świtało już, większość uczujących posnęła, a z tych, co jeszcze słuchali, żaden nie umiałby powiedzieć, o czym mowa. Hrebor więc przerwał, mówiąc, że zabrakło mu piwa, i tym sposobem wymknął się z biesiady.

Ale wódarz osady, Trzebor z rodu Strezdów, jak przystoi dobremu gospodarzowi, pił na uczcie niewiele, by mieć baczenie na wszystko. Słuchał słów przybysza i zapadły mu one głęboko w serce, rozumiał bowiem, że nieznajomy opowiada swoje dzieje. Był Trzebor człowiekiem wielce zacnym, więc wieść o takiej podłości oburzyła go bardzo. Wezwał wędrowca do siebie i spytał, czy dobrze domyśla się, o kim była ta opowieść. Hrebor rozczulił się jego troską i potwierdził, a wtedy Strezda rzekł mu:

— Nie martw się więcej, przybyszu, bo trafiłeś na przyjaciół. Co roku wodzę tutejszych ludzi na wyprawę i wiele włóczni mam na swoje rozkazy. Pomogę ci odzyskać ojcowiznę, z której cię tak podle wyzuto.

Zaraz też poprowadził go pod święty dąb i tam poprzysięgli sobie przyjaźń i pomoc.

Tak zatem zamieszkał Hrebor u wóдаря Skerhu. Rankiem wprawdzie, gdy piwo wywietrzało mu z głowy, przeraził się, ale nie trwało to długo; pomyślał zaraz, że do wiosny jeszcze daleko i w razie czego zawsze zdąży coś wymyślić, a na razie ma gdzie przezimować i może jeść do syta. W zamian bawił wieczorami gospodarzy różnymi historiami słyszanyymi na gościńcu, a częściej jeszcze zmyślonymi, to bowiem szło mu lepiej niż komukolwiek innemu. Polubili go wszyscy, gdyż dla każdego miał dobre słowo i nigdy nie odmawiał pomocy.

Szczególnie jednak przypadł do serca żonie Trzebora, Danradzie. Nie była to już kobieta młoda, ale wciąż jeszcze piękna i pełna uroku. Mąż niewiele o nią dbał, zajęty ważniejszymi sprawami, a kądział i dogładanie dzieci nudziły ją okrutnie. Upodobała sobie młodzieńca za jego łagodne obejście i łatwość, z jaką poddawał się wzruszeniom. Trudno też było jej nie spostrzec jego urody i silnych mięśni, jakie wyrobiła w nim ciężka praca i trudy wędrowni. Przebywała z nim często, słuchała jego słów i przyglądała mu się skrycie.

Hrebor dostrzegł w niej bratnie serce i polubił ją, lecz na wszystkie czułe słowa i sekretne gesty pozostawał nieczuły, widząc w tym jedynie zwykłą przyjaźń. Ta jednak jego dziecięca niewinność podsyciała tylko żądze Danrady, aż zatraciła do cna rozsądek i uczciwość wobec męża.

Pewnej nocy wreszcie, nie mogąc wytrzymać dłużej trawiącego ją żaru, zakradła się do izby, w której spał Hrebor, i wyjawiała mu swe uczucia. Tak przy tym była dla niego dobra i z taką czułością pieściła go, szepcząc miłe słowa, że ogień jej udzielił się Hreborowi i straciwszy opamiętanie, pogrążył się w nie znanej mu dotąd rozkoszy. Tej nocy pokochał Danradę pierwszą, młodzieńczą miłością, która całkiem odebrała mu rozum i zawładnęła nim do cna.

Odtąd niepomny był na nic, całe dni chodził jak we śnie, myślał bowiem tylko o swej kochance i zbliżającej się nocy. Ledwie zaś się ściemniało, przychodziła do jego izby i nie opuszczała jej aż do świtu. I chociaż Danrada, wiedząc, jak może się to skończyć, nie zaniedbała niczego, by ukryć ich związek, przecież nie mogło to wiecznie być tajemnicą. Wkrótce też służące, które zawsze wszystko wiedzą najlepiej, przejrzały, co zaszło między ich panią a przybyszem. Milczały jednak, bojąc się gniewu gospodyni i widząc, że Trzebor ufa obojgu i niczego się nie domyśla.

Jakoż wódarz Skerhu co innego miał na głowie, tak już bowiem jest, że o występkach kobiety jej mąż zawsze dowiaduje się ostatni. Nie tracił on czasu, lecz mimo zimowej pory

rosyłał pachołków z listami do wszystkich swych krewnych i przyjaciół, przykazując im też, by ogłosili po okolicy wiosenną wyprawę. Wspominał w tych listach także o Hreborze, tak jak jego losy znał, i wielu sprawa ta zaciekała. Hrebor bowiem, skłonny przesadzać we wszystkim, mówiąc o swym ojcu uczynił z niego bogacza, jakich mało w całym Slengu. Dla zacnego Trzeborza był to tylko jeden więcej dowód podłości starego Pahwazy, innych jednak poczęła kusić chęć łupów nie gorszych niż za górami, a łatwiejszych do zdobycia, w dodatku całkiem zgodnie z prawem, gdyż słusznie było ujmować się za pokrzywdzonym.

Przyszła wreszcie wiosna, stopniały śniegi, leśne drogi obeschnęły, a w puszczy pobudziły się niedźwiedzie. Zaczęli ściągać do Skerhu wojownicy chętni na wyprawę. Przybyło wielu Strezdów, zaciekłych i wyćwiczonych w bojach z Orwańczykami, przyszło też sporo ludu z innych rodów, bo Trzebor, jako rozważny gospodarz i wódz, cieszył się poważaniem w całej okolicy. Zebrało się samych gospodarzy prawie trzydzieści włóczni, a różnych włóczęgów, parobków i innych ludzi luźnych ze dwa razy tyle, tak że ledwie starczyło dla wszystkich miejsca w osadzie. Nie chciał Trzebor zwlekać, by zapał nie wypalił się w bezczynności, więc nie czekając nawet, aż drogi lepiej obeschną, zebrał ich u siebie dla ustalenia, dokąd pójdą i którądy.

Z niechęcią szedł Hrebor na tę radę, pełen żalu, że nie potrafi zatrzymać czasu, bo nie uśmiechała mu się rozłąka z Danradą. Zarazem jednak nie tracił nadziei, obmyślił bowiem pewien podstęp, by wszystko, co dotąd naplątał, wyjaśnić i nie stracić przy tym czci.

Jakoż los zdawał się mu sprzyjać, bo gospodarze nijak nie mogli się pogodzić co do celu wyprawy. Większość chciała mścić Hreborza, inni jednak, a zwłaszcza Radwar z Nawranzów, wywodzili jako rzecz godniejszą iść do Orwanu. „Niechże Hrebor idzie z nami — mówili — a skoro okaże się dobrym towarzyszem i wróci z łupem, tym łatwiej zjedna sobie stronników”. Spierali się tak pół dnia, aż Hrebor przemówił w te słowa:

— Cieszy mnie, że pragniecie mi pomóc, ale nie sposób nie przyznać racji tym, którzy wołają iść za góry. Niechże was pogodzę: pójdę do swej osady i raz jeszcze rozmówię się z ojcem. Jeśli znów powtórzy to co przedtem, poproszę was o pomoc, a jeśli wróciło mu opamiętanie, przyjdę tu po to, aby iść z wami do Orwanu. Wy zaś i tak nic na tym nie straciecie, bo przez ten czas gościńce obeschną i droga będzie łatwiejsza.

Wszyscy uznali, że mówi rozsądnie, i zgodzili się na to. Zaczął się Żargradowicz szykować do drogi, rad, że wywiódł gospodarzy w pole i zyskał przy tym sławę dobrego syna, nawet wobec podłego ojca. Taką bowiem odkrył w sobie podczas zimowych godów cechę, że ogromnie cieszyło go uznanie innych.

W istocie nie myślał, rzecz jasna, wracać do Zadragu. Chciał tylko przeczekać pewien czas w lesie i wrócić z wieścią o ujednaniu z ojcem, a potem pójść z wyprawą, ale na krótko. Skoro dojdą do gór, wymknie się pod byle jakim powodem i wróci do Skerhu, zabierze Danradę i powędrują gdzieś dalej, gdzie nikt ich nie rozpozna.

Pewien był, że mu się ten plan powiedzie, ale jednego nie wziął pod uwagę. Otóż, gdy siedział w pobliskim lesie i liczył dni, pozostali skracali sobie czas, jak kto umiał. Najpierw biesiadowano hucznie, jak to zawsze przed wyprawą, kiedy nikt nie wie, czy dane mu będzie wrócić. Ale gdy uczyły trwać zbyt długo, ludzie stają się ponurzy, znika wesołość, a każdy tylko szuka zwady. Stało się zatem jakiś tydzień po odejściu Hreborza, że Trzebor pokłócił się mocno z Radwarem. O co poszło, nikt nie zapamiętał, dość że w złości wyrzucił Radwar Trzeborowi, iż człowiek, który własnej żony nawet nie umie dopilnować, tak się nadaje na wodza wyprawy, jak kamienie na rozpałkę.

Nie wiadomo na pewno, skąd Radwar wiedział o tej sprawie, nietrudno jednak zgadnąć, iż pewnie od pachołków włodarza. W każdym razie ich wezwał, gdy gospodarze kazali mu dowieść tej obelgi, jeśli nie chce być ukarany za oszczerstwo. Wtedy to przy wszystkich potwierdzili, co między ścierciałami szeptano już od dawna, a Danrada broniła się słabo i nie umiała zaprzeczyć niczemu. Jeszcze tego samego dnia poniosła zasłużoną karę: wysieczono

ją wobec wszystkich różgami, wypalono na ciele haniebne klejmo wiarołomczyni i pośród razów i urągów wygnano sromotnie do puszczy.

Niewiele to ulżyło włodarzowi, którego omal krew nie załała z wściekłości, iż tak pozwolił z siebie zrobić durnia. Ilekroć wspomniał, że sam wprowadził zdrajcę do swego domu i obdarzył łaskami niczym rodzzonego syna, tłukł głową o ściany jak szaleniec i rozwalął, co miał pod ręką. Jedno co mu sprawiało w złości ulgę, to szykowanie karni dla Hrebor, skoro tylko powróci.

Ale złe duchy zbyt wiele miały z młodego Pahwazdy pociechy, aby mu pozwolić umrzeć tak prędko. Sprawily zatem, że gdy wreszcie wyruszył z powrotem do Skerhu, spotkał w przydrożnej gospodzie pewnego sytnika, wędrującego z Harlongu. Kiedy zauważył, że biedak jest głodny i zdrożony, uraczył go wieczszą zakropioną dobrze piwem, za co ten odwdzieczył mu się nowinami ze świata. Było wśród nich i to, co usłyszał przechodząc przez Skerh.

Struchlał Hrebor na tę wieść, pojął bowiem, że Trzebor nie spocznie teraz, póki go nie obedrze ze skóry. Toteż zawładnęła nim taka trwoga, że w pół rozmowy zerwał się nagle i uciekł z gospody, choć był już wcześniej zapłacił za nocleg. „Zacny jakiś człowiek, ale cudak straszliwy” — rzekł patrząc na to sytnika i słowa te dobiegły Hrebor już za drzwiami.

Daleko odszedł od Skerhu i innych siedzib Streždów, nim strach opuścił go na tyle, by mógł przystanąć i chwilę pomyśleć. Żarła go złość na swą podłą Dolę, ale bardziej jeszcze to, iż pozostawił miłowaną kobietę na pastwę losu ani o niej nawet nie pomyślałszy w pośpiesznej ucieczce. Ogarnęła go rozpacz taka, że nic tylko przewiesić przez jakąś gałąź sznur i tak zakończyć głupi żywot. Jeśli tego nie zrobił, to tylko ze strachu, iż po śmierci przypadnie mu los leśnego upiora i cierpienie po kres świata. A może wstrzymała go też myśl o odkupieniu zła, jakiego narobił, bo chociaż serce miał, jakie mu dano, i nic na to poradzić nie mógł, tliła się w nim przecież odziedziczona po przodkach zacność. Nie wiedział tylko, jak by to mógł uczynić i być może rozmyślał nad tym w czasie pośpiesznych wędrowek przez puszcze, z dala od gościńca.

Po sytym i błogim życiu w Skerhu teraz znowu zaznał nędzy. Nie cierpiał jednak już od niej tak jak przedtem, bo gdy wreszcie odważył się zbliżyć do ludzkich osiedli, utrzymywał się z opowiadania historii po gospodach i jarmarkach. Lecz choć mówił jak zawsze zajmująco, rzadko go wynagradzano za gędźby, gdyż zbyt wiele było w nich smutku. On sam zresztą od zgryzoty zmienił się bardzo i niewiele przypominał tego wesołego młodzieńca, który samym swym obejściem budził ludzką życzliwość. Postarzał się i przygarbił, twarz miał ponurą, a z każdego jego słowa i gestu biło coś, co nie pozwalało się radować w jego towarzystwie i każdy oddychał z ulgą, kiedy Hrebor odchodził. Tak to już jest, że widome nieszczęście nigdy nie wzbudza życzliwości. Nadto jeszcze na pewnym jarmarku przyłapano go, iż to, co opowiada, zmyślił od początku do końca, za co wytarzano go w smole i obito na odchodne.

Trafił wreszcie do osady, zwanej Isthard. Była niedaleko niej sławna świątynia, schowana pośród mokradeł. Wychwalano w całej okolicy mądrość żerców z leśnego trzemu i skuteczność ich modłów, większą niż gdzie indziej, bo świątynię postawiono w miejscu nawiedzonym w pradawnych czasach przez samego Swarga, kiedy to jeszcze schodził on z obłoków.

Gdy posłyszał o tym Hrebor, zaświtała mu nadzieja. Za wszystko, co miał, nakupił poświęconej kaszy na obiady i choć nie było jej wiele, ruszył zapytać bogów, co mu wypada czynić. Drogę znalazł łatwo i wkrótce już zobaczył wielką budowlę o gładkich ścianach, wysokiej bramie i dachu, srebrzystym od starości. Skłonił się, jak przystało, i poszedł dalej, lecz skoro stanął tak blisko bramy, że mógłby dotknąć jej ręką, zatrzymał się nagle i nie mógł postąpić ani kroku więcej. Zapał się i zebrał w sobie, ale tylko nogi zaryły mu się głębiej w piaszczystej drodze, jakby jakaś niewidzialna ściana stanęła mu na przeszkodzie. Próżno mocował się z nią, aż opadł zupełnie z sił. Dostrzeżono go wreszcie z trzemu, gdy tak szarpał

się na drodze, a skoro nie ustępował, uchylono bramę i jeden z żerców stanął w niej, trzymając w dłoni chroniący przed złymi mocami amulet.

— Kim jesteś ty, któremu bogowie widomie bronią wstępu do swej świątyni? — zapytał.

Na te słowa zrozumiał Hrebor, że wpadł we władzę demonów i dlatego święte miejsce jest dla niego zamknięte. Upadł na drogę i zapłakał gorzko, rozsypując poświęconą kaszę. Targał na sobie szaty i rwał włosy z głowy, aż zlitował się święty mąż i wyszedł do niego. Od bliskości potężnego amuletu Hrebor uspokoił się trochę i łkając opowiedział żercowi swą historię. Ten wysłuchał go cierpliwie, po czym zadumał się głęboko i rzekł mu wreszcie:

— Pierwszy raz złamałeś prawa, sprzeciwiając się ojcu. Drugi, opuszczając dom bez jego wiedzy i błogosławieństwa. Trzeci, rzucając nań oszczerstwo. Czwarty zaś, biorąc kobietę człowieka, który okazał ci dobroć i któremu przysięgałeś przyjaźń. Już drugi z tych czynów wystarczył, byś wpadł we władzę złych duchów, a każdy następny oddalił od ciebie nadzieję tak, iż prawie już jej nie widać. Lecz że złamała cię nie podłość, ale złośliwość demonów, poradzę ci, co masz czynić. Najpierw jednak chcę poznać twe imię i ród.

Powiedział tak, bo jak to często jest u żerców, umiał przenikać ludzkie losy i poznał, co jest przyczyną klęsk przybysza. Ale Hrebor, odkąd uciekł przed gniewem Trzebora, nie zdradzał nikomu swego imienia, gdyż wiedział, że Streżdy rozeszli po kraju listy, w których obiecywali wiele zapłacić za jego głowę. Po drodze przedstawiał się jako Cudak, pamiętając słowa sytnika, a każdy uznawał, że to dla niego dobry przydomek i q więcej nie pytał. Tak też nazwał się i teraz, na co kapłan odrzekł gniewnie:

— Głupio robisz, że taisz przede mną swe imię. Jak jednak chcesz. Obiecałem ci radę, więc masz ją: wracaj tam, gdzie zaczęły się twoje przewiny, i idź ich tropem. Jeśli ludzie znajdą dla ciebie przebaczenie, może zdołasz znaleźć drogę, chociaż to stokroć trudniejsze, niż ją zgubić. Gdybyś na nią wrócił, doprowadzi cię tutaj, a jeśli nie, bądź przeklęty i niech się twój los dopełni dla igraszki złych sił.

Powiedziawszy to, odwrócił się i wszedł w bramę, którą też zaraz za nim zawarto.

Hrebor pozostał jeszcze długi czas na ścieżce, nim zdecydował się wrócić do Zadragu i prosić ojca o wybaczenie. Postanowił to wreszcie i ruszył do rodzinnej osady.

Ale zdarzenia płynęły tymczasem szybko, jak szybko płynie woda w strumieniu. Zostawmy zatem Hreborą, gdy tak wędruje leśnymi ścieżkami, i zobaczymy teraz, co działo się z Trzeborem i zebranyymi w jego osadzie gospodarzami.

Skoro Hrebor nie wracał, rozeszli oni po okolicy pachołków. Uczynili to zbyt późno, by mogli dopaść przemykającego się puszcza wiarołomcę. Spotkali natomiast owego sytnika, z którym Żargradowic rozmawiał w gospodzie. W ten sposób Streżda dowiedział się, że Hrebor umknął przed jego gniewem. Dowiedział się też czegoś jeszcze, co młodzieniec nierozważnie rzekł sytnikowi, że ujednał był się z ojcem i został przez niego przywrócony do praw.

— Skoro tak, nie gdzie indziej jak na ojcowym dworzyszczu szukać będzie schronienia — powiedział Trzebor do towarzyszy. — Przyjaciele moi, obiecywałem powieść was na wyprawę, lecz wpierw dokonać muszę swej zemsty. Jeśli wolicie iść za góry, niechże was prowadzi kto inny. Lecz zważcie, że ojciec tego łotra jest nie lada jakim bogaczem i słusznie będzie wziąć na nim łupy.

Zakrzyknęli wszyscy, że nie opuszczą włodarza w nieszczęściu i tak wyprawa została rozpoczęta.

Wkrótce potem, przeszedłszy skroś puszczy, stanęli pod częstokołem Zadragu. Nikt w osadzie ani się spodziewał napaści, bo w te strony od lat już nie zaglądał żaden nieprzyjaciel, niewielu więc pachołków mógł Żargrad postawić przeciw wojownikom Streżdy. Krótka trwała walka — kto nie zdążył uciec, ginął od włóczni bądź topora albo szedł w łyka. Żargrad jednak nie złożył broni i nie myślał błagać litości, lecz bronił ojcowizny i wielu położył trupem, zanim sam wreszcie padł na skrwawioną włócznię.

Nie znaleziono w osadzie ani Hrebora, ani obiecanych łupów i próżno żona Pahwazdy, płacząc i załamując ręce nad pobitym mężem, tłumaczyła Streżdom, że nic nie jest tak, jak myślą. Nie dali jej wiary i chcąc dowiedzieć się, gdzie Żargrad ukrył swe skarby, dręczyli nieszczęsną dopóty, dopóki nie wyzionęła ducha. Zezłościła ludzi Trzebora ta zawziętość, że nawet konając nie chciała wydać bogactw. Pobrali wszelkie dobro, jakie znaleźli w osadzie, a było tego niemało, i spalili ją do gołej ziemi, nie szczędząc nawet drzew. Po czym odeszli, niesyci ani łupów, ani zemsty.

Wiele czasu minęło, nim ci nieliczni, którzy ocalili z pogromu, odważyli się wyjść z leśnych kryjówek. Pochowali zabitych, opłakali ich godnie, a dla włodarza i jego żony usypali na starym żalniku osobny, wysoki stos. Kiedy go podpalali, ujrzeni na drodze wędrowca w łachmanach, pędzącego ku zgłiszczom. Z trudem rozpoznali w nim Żargradowica, tak miał zmienioną twarz i tyle szaleństwa w oczach, gdy u stóp płonącego stosu słuchał ich opowieści.

Kto wiele w życiu wycierpiał, ten wie, iż przychodzi wreszcie chwila, że oczom brakuje łez, a piersi tchu do lamentów. Tak się też stało z Hreborem. Kiedy wpatrywał się w płomienie, dusza jego przepaliła się do cna i pojął, iż jest przeklęty na wieki. Od tej pory nigdy już nie miał zapłakać, jak tylko jeden jedyny raz, ale o tym opowiem wam w swoim czasie. Nie rozumieli Zadrażanie, czemu milczy i stoi jak posąg, czemu nie pożegna się z rodzicami, nie rzuci w ogień świętej gałęzi, nie zaprzysięże zemsty. On zaś myślał o tym tylko, by rzucić się w płomienie, lecz strach poraził go znowu i nie umiał przymusić skamieniałych nóg do ruchu. Tkwił więc nieczuły jak głaz, póki stos nie wypalił się, a Zadrażanie nie usypali na wyżarzonych popiołach kurhanu. Niektórzy widząc to szemrali, że mógł się wadzić z ojcem, ale nie zaopatrzyć go na śmierć i nie pomścić — to hańba. Inni jednak uciszali ich, bo pamiętali go jako człowieka życzliwego ludziom, i kazali wzywać żerców, by wypędzili z młodzieńca szaleństwo.

Nim to jednak zrobiono, poruszył się wreszcie Hrebor, upadł na kolana, przylgnął czołem do świeżo usypanego kurhanu i szeptał: „Co mam czynić? Co mam czynić?”

Nikt nie wiedział, co naprawdę znaczyły te słowa powiedziane do samego siebie i ile w nich było bólu. Ucieszyli się Zadrażanie, że minął zły czar. Przynieśli mu ocalałą ze zgłiszcz włócznię, a była to ta sama włócznia, którą go niegdyś uczył władać Starż, i wtykając ją Hreborowi w ręce, mówili: „Pomścij ich! Pomścij!”

I choć nie opuszczał Pahwazdy strach i nie widział drogi przed, sobą, wiedział, że tak musi zrobić. Przyjął włócznię i odszedł, jak się pojawił, bez jednego słowa.

Że szedł ledwie wlokąc nogi, nie wiedząc dokąd się skierować, wieść o tym, co stało się w Zadragu, wyprzedziła go, obiegła rozrzucone pośród puszczy i mokradeł osady. Wszędzie obudziła gniew i grozę, a zwłaszcza tam, gdzie mieszkali ludzie wywodzący się z rodu Pahwazdów bądź im sprzyjający. Krewniacy jego, dowiedziawszy się o okrutnym losie Żargrada, poprzysięgli zemstę Streżdom i zwoływali się na rady. Szczególną zaś zawziętością zapalał rodzony brat Żargrada, Skerwarz z Urhaszu, której to osady dziś już nie ma, bo zniszczonej w wojnach nie odbudowano.

Razu pewnego Skerwarz przydybał koło swego włodarstwa kilkunastu wojów idących do Estaronu, a że jeden z nich nosił rodową maskę Streżdów, otoczył ich ze swymi ludźmi i wyzwiał owego Streżdę na pojedynek.

Próżno przedkładali mu, że są w służbie księcia z Ranżnaru i z jego polecenia wędrują przez kraj.

— Nic mi do was — odrzekł Skerwarz — i nie z wami szukam zwady. Lecz ród tego człowieka rozlał krew mojego brata i poprzysięgłem śmierć każdemu, kto nosi jego znaki.

— Nie uchybie ci — powiedział mu Streżda — ale będąc księżącym dziesiątnikiem, nie mogę krzyżować z tobą włóczni, póki nie spełnię naznaczonego mi zadania. Wtedy przyrzekam ci wrócić tu i zmierzyć się z tobą, choć nic mi nie wiadomo o zwadzie między

naszymi rodami. Wiedz też, że na szerokim świecie dzieją się teraz rzeczy daleko ważniejsze od rodowych waśni, których nie pojmujesz, i nie waz się do nich mieszać w żaden sposób.

Wszystko to było prawdą. Dziesiątnik ów, daleki krewny Trzebora, żył stale na książęcym dworze i nie wiedział nic o wyprawie włodarza Skerhu, a skąd się wziął w Urhaszu i jakie było jego zadanie, dowiedzie się później.

Nawet własni ludzie Skerwarza uznali słowa dziesiątnika za rozsądne i słuszne. Ale on sam, jak wszyscy w jego rodzie porywczy i skory do gniewu, ani chciał słyszeć o zwłóce. Lżył Streżdę i groził, że wytnie jego ludzi w pień, jeśli natychmiast nie stawi mu czoła. Nie chciał Streżda dopuścić do bitki, chociaż nie wiadomo, dla kogo gorzej by się ona skończyła, a w końcu też od obelg, które słyszał, zawrzała w nim krew i stanął do pojedynku.

Wspaniała to była walka i nikt już dzisiaj takiej nie ujrzy. Dziesiątnik, choć młody, zaprawiony był w wielu bojach i obracał włócznią zręcznie, lecz mniej zwinny Skerwarz przewyższał go siłą i doświadczeniem. Toteż pokonał go po długiej walce i rozplatał mu głowę wraz z hełmem, choć sam poniósł przy tym wiele szwanku. Drużynnicy księcia zabrali ciało swego wodza, a że nie wiedzieli dokładnie, co mu książę zlecił, musieli zawrócić do Ranżnaru.

Tak się to stało i teraz mogę już powiedzieć wam, dokąd i po co szli drużynnicy księcia. Bo dotąd opowiadałem o sprawach slengañskiej puszczy, a przecież na szerokim świecie czas nie stanął ani ludzie nie posnęli, tylko wszystko szło swoją koleją. Królował wówczas w Estaronie Othomahr, zwany Szalonym. Otóż w tym czasie, gdy Hrebor opuszczał rodzinne dworzyszczce, podbił on i zhołdował wszystkie okoliczne kraje. Tym sposobem jeden Sleng pozostał pośród podległych mu ziem wolny i drwił sobie z jego korony. Postanowił zatem wygubić mieszkańców puszczy i uczynić z nich swe sługi. Nikt w Slengu nie przeczuwał nadchodzącej burzy, z dawna bowiem wadzono się z sąsiadem zza gór, lecz od strony rzeki od lat już nie przychodziły napaści.

Źle powiedziałem: jeden człowiek przejrzał, co szykują Slenganom nadchodzące czasy, i myślał, jak obronić się przed estaronańską nawałą, a był to książę Hodbor — mężny, prawy i rozumny władca, którego imię pozostanie sławne na zawsze. Jednak nie będę dziś o nim opowiadać, bo inna to zupełnie historia, z losami Hrebora niewiele mająca wspólnego. Dość będzie wam wiedzieć, że kiedy Źargradowic zdążył do Skerhu, książę Hodbor słał na wszystkie strony gońców i zaciągał młodych zabijaków do swej drużyny. A gdy Hrebor zapomniał o całym świecie, pogrążywszy się w miłości do Danrady, Othomahr zbierał swe wojska i jawnie szykował się do wojny.

Wiedział Hodbor, że choćby każdy w puszczy pochwycił za broń i tak nie dość ich będzie do walki z zakutymi w stal rycerzami Othomarha. Umyślił zatem, że gdy nieprzyjaciel przekroczy rzekę, powstaną przeciw królowi maronarscy wielmoże i tym sposobem łatwiej pokonają wspólnego wroga. W tym właśnie celu, aby omówić z maronarskimi grafami warunki przymierza, podążył do Skurgonu młody Streżda; a zanim jego ludzie wrócili do Ranżnaru, zanim wysłał Hodbor nowych posłów, wydarzyły się inne rzeczy, i tym sposobem za sprawą Hrebora zaprzepaszczono zwycięstwo w nadchodzącej wojnie.

Wróćmy jednak do niego, skoro wiecie już, co się tymczasem działo poza granicami puszczy. Szedł Hrebor, jak już powiedziałem, powoli i nieprzytomnie, a złe duchy kierowały jego krokami. Głowił się przy tym, co począć, lecz do niczego nie przychodził, a pamiętając, co go spotkało w leśnym trzemie, bał się kogokolwiek pytać o radę. Nikt też się zbytnio nie interesował samotnym wędrowcem, jako że w osadach i na gościńcach trwał wielki ruch. Obchodzili je książęcy gońcy, zwołując gospodarzy na wielki wiec do Ranżnaru. W owych czasach bowiem wiece nie odbywały się tak jak teraz, same z siebie, lecz tylko na wezwanie księcia.

Szli zatem wszyscy do stolicy, radzić o wojnie, a za nimi włókł się i Hrebor. I tak Dola pokierowała jego krokami, że spotkał po drodze Skerwarza, zdążającego z wieloma innymi

Pahwazdami na wiec. Skerwarż poznał go po włóczni, która w ich rodzie od wieków przechodziła z ojca na syna, i wielce się z tego spotkania uradował. Wcześniej już bowiem postanowił z innymi, że na wiecu rozprawią się ze Streždami. Powitawszy krewniaka serdecznie, zaraz zaczął go wypytywać o różne rzeczy i opowiadać, co sam uczynił i jak chce pomścić Żargrada. Hrebor zrazu milczał, ale potem, widząc, jak wielu życzliwych sobie i oddanych jego sprawie ludzi ma wokół siebie, rozchmurzył się. Długo, długo rozmawiał ze Skerwarżem, rozpalając się przy tym coraz bardziej, aż wreszcie o niczym innym już nie myślał, jak tylko o zemście na Streždach. Tak łatwo, jak to już mówiłem, zmieniały się nastroje, które nim rządziły. I znowu zapomniawszy o wszystkim, co dotąd z jego poczynań wynikło, popadł Hrebor w takie same jak dawniej łgarstwa. Kazano mu mówić — nie potrafił opowiedzieć rzeczy takimi, jakimi były, lecz swoim zwyczajem tu coś ujął, tam dodał. I w końcu wyszło z jego słów dowodnie, że Trzebor po to tylko przyjął przybysza, aby oszczerczo oskarżyć go o związek z Danradą i w ten sposób uzyskać powód do napaści na Zadrag, bo jako człowiek tchórzliwy nie chciał szukać łupu za górami, czy może miał do Żargrada jakieś zadawnione urazy.

Tym sposobem zyskał Hrebor nadzieję, iż z pomocą rodu dokona zemsty i uwolni dusze swych rodziców od cierpień, co pomoże mu znaleźć lepszą drogę.

Stanęli zatem na wiecowym polu pod Ranżnarem. Niechybnie doszłoby tam do bitki, skoro tylko przyszli jedni i drudzy; szczęściem Hodbor, wiedząc już o zwadzie, kazał swej drużynie rozdzielić zwaśnione rody; tym sposobem utrzymano mir, aż wiec się rozpoczął.

Ale jedni i drudzy chodzili pośród zebranych, burząc umysły, i jak to zwykle bywa, inne rody brały to jedną, to drugą stronę. Z najmoźniejszych ze Streždami trzymali Jarzowdy i Nawranzy, a za Pahwazdami ujęli się Astarhy i Tragzy i w końcu nie było nikogo na wiecu, komu ta sprawa byłaby obojętna.

Chciał Hodbor radzić o wojnie, lecz nic z tego nie wyszło. Dla wszystkich wróżda była pilniejszą sprawą i póki jej nie zakończono, nie chcieli słyszeć o czym innym. A że rody ani myślały się ugodzić, zdawało się już, że nie może być inaczej, tylko najlepsi woje, na których ksiązę mógł liczyć, powyrzynają się nawzajem, nie czekając wcale Estarończyków.

Nie darmo jednak nosił Hodbor koronę przodków; siedł z nią w parze rozsądek godny władcy wolnych ludzi. Podsunął zebrany myśl, żeby dwaj zwaśnieni załatwili ze sobą sprawę po męsku, w zgodnym z prawem pojedynku. Zgodzili się na to gospodarze i tak im to przypadło do serca, że zawsze odtąd tak rozsądzano na wiecu najostrzejsze spory. Streżdy i Pahwazdy też na to przystali, gdyż jedni i drudzy pewni byli, że ich jest słuszność i bogowie okażą im sprawiedliwość. Jeden tylko Hrebor struchlał na myśl, że ma się potykać z człowiekiem, któremu poprzysięgał wieczną przyjaźń, ale nie wypadało mu tego po sobie okazać.

Wyznaczono walkę na następny ranek. Wytyczono plac, ogrodzono go liną, a wszyscy, kto żyw, zebrali się patrzeć na to spotkanie. Wreszcie zadęto w róg, ale Hrebor nie było na placu. Skerwarż popędził po krewniaka, lecz nie znalazł go w namiocie. Szukał Żargradowica po całym obozie — na próżno. Zadęto wreszcie w róg po raz trzeci i wszyscy pojęli, że Hrebor uciekł przed walką. Ucieszyli się Streżdy, syci zemsty i radzi, że wszyscy odwrócili się od pohańbionych wrogów. A kiedy Skerwarż ujrzał, jaka hańba spadła na ród i na niego, jako na najstarszego, krew zalała mu głowę i oddał ducha jeszcze tego samego dnia. Tak bogowie pokarali go za zmuszenie do pojedynku i zabicie ksiązęcego dziesiętnika.

Można było zatem radzić o wojnie i ksiązę cieszył się, że tak, a nie inaczej zakończyła się ta sprawa. „Gdyby walczyli ze sobą — myślał i miał w tym słuszność — mógłby ród pokonanego nie uznać pojedynku i ciągnąć wróżdę dalej, a tak jest już po niej”. Prędko też o sprawie tej zapomniano, zwłaszcza że po Hreborze słuch zaginał, a w czasie wojny były ważniejsze sprawy. Jednak ponieważ nie o nich tu opowiadam, pominiemy te rzeczy i wrócimy do losów Hrebor.

Nie miał on już nigdy używać swego imienia, bo sam dobrze wiedział, że swą ucieczką jakby wykreślił się spośród żywych. Nawet w myślach nie zwał siebie inaczej niż cudakiem, rozumiał bowiem, że urodził się człowiekiem głupim i tchórzliwym i że nosi w sobie strach większy, niż ma siły. Nie chciał spotykać ludzi, ukrył się zatem głęboko w puszczy, pośród najgęstszych moczarów, gdzie nawet myśliwi bali się t zaglądać. Żył z polowania i leśnych owoców, łowił ryby i niczego już w życiu nie czekał, prócz tego, by dokonało się, co się musi dokonać. Niestraszne mu były najgorsze nawet uroczyska, bo niepodobnym było, żeby mu się mogło jeszcze przydarzyć coś gorszego niż dotąd. Tak zatem żył w ukryciu, aż przyszła zima i mróz ściał mokradła. Wtedy to dopiero rozpoczął Othomarh z dawna zamierzaną wojnę, ale o tym Cudak ani nie wiedział, ani wiedzieć nie chciał.

Nie śpieszmy się tak jednak z naszą opowieścią, zanim bowiem spadły pierwsze śniegi, zdarzyło się z Hreborem jeszcze coś, czego nie sposób tu przemilczeć. Otóż dnia pewnego, włócząc się po lesie, napotkał zbudowaną na skraju uroczyska kleć. Rozumiał, że musi tam mieszkać czarownik lub wiedźma, gdyż nikt inny nie ważyłby się osiąść tak blisko złego. „Bogowie nic mi nie pomogą, cóż więc szkodzi spytać o radę ciemne moce?” — pomyślał i ruszył do chaty.

Nie pomylił się, gdyż w istocie mieszkała tam pewna wiedźma. Umiała ona wróżyć z wody i ognia, sporządzać najsilniejsze nawiezy i wywary z ziół, a przeciw komu ruszyła palcem, ten mógł być pewien, że nie uśmiechnie się więcej. Imienia jej nikt nie znał i nie pytał o nie. Przybywali do niej ludzie nieraz z bardzo daleka, żaden jednak nie mógłby rzec nawet, jak wygląda, gdyż każdy bał się na nią podnieść wzrok, aby nie rzuciła złego uroku, i skoro otrzymał, co prosił, uciekał czym prędzej. Stąd nikt nawet nie wiedział, że stara wiedźma niedawno rozstała się z tym światem, lecz wcześniej znalazła sobie skądś równie jak ona potężną następczynię, której zdążyła przekazać wiele swej wiedzy i mocy.

Hrebor, jak już rzekłem, nie lękał się złych sił. Wszedł do chaty śmiało, z podniesionym czołem i spojrział wiedźmie w twarz. Serce jego zadrżało nagle, poznał bowiem swą kochankę, którą z dawna miał za umarłą. I ona go poznała, choć oboje zmienili się bardzo od czasu pierwszych spotkań na Trzeborowym dworzyszczu. Padli sobie jak za dawnych dni w objęcia, Danrada ze łzami, Hrebor ze zwieszoną głową, i trwali tak długo, z wielkiego wzruszenia nie mogąc się do siebie odezwać ani słowem.

Przebudziło się serce w młodej wiedźmie i choć już się była pogodziła ze swym losem, zapragnęła znów ludzi i ludzkich spraw. W Hreborze zaś rozpalila się dawna miłość i odżyły wspomnienia. Jeśli bowiem kiedyś był szczęśliwy, to wtedy tylko, gdy głuchy i ślepy na wszystko chronił się w ramionach. Danrady. Nie chciał już niczego, tylko by powróciło to, co było między nimi dawniej. Zapragnął zbudować dom, z dala od ludzi, w przepastnych głębiach puszczy, w którym żyliby razem aż do końca swych dni, nie myśląc o niczym. Tego dnia siedzieli długo w noc, przytuleni do siebie, i opowiadali sobie swe niewesołe dzieje.

Rychło też zabrał się Hrebor do pracy. Całymi dniami ścigał z lasu pnie drzew i ociosawszy tramy łączył je, aż postawił wysokie na półtora człowieka ściany. Do dziś może stoi gdzieś pośród bagnisk Swarm ta nie dokończona chata. Z rzadka zabłądzi tam ktoś, by się zdziwić, co za nieznaną cieśla rozpoczął budowę w tak dzikim i odludnym miejscu.

Danrada, choć w istocie pragnęła porzucić swe czarnoksiężskie zajęcia, inne jednak chowała myśli. Hrebor, nie tak już piękny jak dawniej, odziany w łachmany i skóry zwierząt, z twarzą pooraną bruzdami — słowem, nawet wyglądem swym w pełni zasługujący na miano Cudaka, nie budził już w niej tej żądzy, co dawniej. Słuchając jego słów, odkryła w nim tchórze i człowieka bez krzty rozsądku, zasługującego może na litość, lecz nie wartego miłości. A kiedy opowiadał jej o swych dziejach, zapiekły ją wspomnienia tego, co miała na Skerhańskim dworzyszczu i co straciła. I zaczęła kiełkować w przewrotnej kobiecie myśl, że Trzebor wiele jej wybaczy, jeśli przyniesie mu i rzuci do stóp głowę kochanka.

I chociaż z pozoru nic się w niej nie zmieniło i wciąż była dla Hreboru taka jak w Skerhu, uparta myśl drażyła jej serce, aż zawładnęła nim do końca.

Pewnej nocy, gdy znużony miłością Hrebor zasnął już głęboko, uniosła się cicho z posłania, wzięła długi, ostry sztylet i pochyliła się nad kochankiem, mierząc w gardło. Już miała zadać morderczy cios, kiedy Hrebor ocknął się nagle. Ujrzał nad sobą pochyloną postać i błysk klingi, więc nie myśląc wcale wyrwał jej ostrze i na oślepie, w przerażeniu zadał cios. Sztylet zatonął w piersi Danrady i z jękiem osunęła się ona na klepisko, brocząc krwią.

Tak się stało, że pierwszy raz w życiu odebrał Hrebor komuś życie i przy tym zabił tę, którą jedyną w świecie kochał całym sercem. Pojął, co zrobił, ale stało się — gdy pochylał się nad nią, usiłując unieść jej głowę, twarz Danrady zasnuwał już z wolna cień śmierci. Zdążyła jeszcze tylko wyznać mu swój zamiar i poprosić o wybaczenie, skoro odchodzi już z tego świata.

— Wybaczam ci, Danrado — powiedział Hrebor. — Przekleństwo ciąży nade mną i stokroć lepiej by było, gdybym zginął z twej ręki, zamiast żyć po tym, co się stało.

Wtedy twarz Danrady rozjaśnił uśmiech. Zebrała resztę sił, otworzyła raz jeszcze oczy i kazała Hreborowi rozsypać na palenisku uroczne ziele schowane w skrzyni. Powiedziała mu też zaklęcie, jakie miał przy tym powtórzyć. Znała je od starej wiedźmy, lecz jak ono brzmiało, tego nie wiem i nikt już dzisiaj nie wie, bo zginęło ono wraz z Hreborem Cudakiem. I wtedy dopiero oczy zaszły jej mgłą i wydała ostatnie tchnienie.

Nim noc się skończyła, Hrebor usypał Danradzie stos z przygotowanych do budowy tramów i pogrzebał ją zgodnie z obyczajem. Potem, wciąż jeszcze w mroku nocy, usiadł przed paleniskiem i sypnąwszy w ogień ziele, wypowiedział słowa zaklęcia.

Wtedy płomienie wzdęły się nagle, sypnęły z nich iskry, aż Hrebor cofnął się przed żarem. Rozjaśnił izbę blask, od którego musiał odwrócić głowę i mocno zacisnąć powieki. Gdy je otworzył, ujrzał, jak wśród ognia formuje się z płomieni ludzka postać. Poznał w niej swego ojca w porąbanej zbroi i z krwawą włócznią w ręku. Przeraził się Hrebor i padł na twarz, oczekując, co się stanie.

— Czego chcesz ode mnie? — dobiegł go daleki, ale potężny głos Żargrada. — Czemu nawet po śmierci nie dajesz mi spokoju? Nie jesteś godny, aby twoje imię kalało wargi uczciwego człowieka. Krew ciągnie się za tobą, krew widzę na twych rękach i wokół ciebie. Po co mnie wzywasz, cudaku?

Hrebor skulił się jeszcze bardziej, a z jego ust z trudem dobyły się słowa: „przebaczenia, ojcze”.

— Przebaczenia — powtórzył zwid z goryczą. — Na lepszy liczyłem los, gdy przyjmowałem cię od twej matki. Żadna śmierć nie jest mężowi straszna i można zginąć nawet od skrytego ciosu, jeśli wiesz, że będzie ciebie miał kto pomścić. Gdybyś choć na tyle okazał się moim synem, wybaczyłbym ci wszystko inne. Ale wiem, że nigdy tego nie uczynisz, i ta kraina, w której umarli znajdują odpoczynek po trudach życia, na zawsze będzie dla mnie zawarta. Ale nie będę cię przeklinać, bo wiem teraz więcej, niż mogłem zobaczyć ludzkimi oczami. Umarłym łatwiej poznać przyczyny tego, co zdarza się na świecie.

— Ojcze — rzekł Hrebor, zdobywając się na śmiałość i podnosząc wzrok. — Wiem, że dobrze mówisz, lecz skoro poznałeś to, co jest zakryte przed śmiertelnymi, powiedz mi, czemu stałem się cudakiem i nie wzięłem nic z zacności twojej i twoich ojców? Sam niczego tak nie pragnę, jak poznania tej tajemnicy, lecz nikt mi jej nie umiał wyjaśnić.

Wtedy Żargrad zamyślił się i opowiedział synowi o tym, jak w samym zaraniu życia złośliwe demony złamały jego los.

— Lecz nic ci nie da ta wiedza — zakończył. — Bo żaden człowiek nie zwycięży demonów i nie zmusi ich do oddania tego, co raz zabrały, choćby był najmężniejszy na świecie; i nawet gdybyś poznał czar chroniący od ich mocy, nigdy nie będziesz miał na to dość siły. Do końca

już pozostaniesz cudakiem, a los, który ci przypadnie potem, będzie stokroć gorszy od śmierci.

— Ojczy — szepnął Hrebor, lecz płomienie wzduły się znowu, a gdy opadły, nie było już wśród nich Żargrada. Hrebor pozostał na klepisku i tak leżał bez sił, jak martwy, aż ogień dopalił się i świt rozjaśnił puszcę.

Wtedy podniósł się niczym we śnie, naznosił drew i rozpałił ogień na nowo. Szukał długo, aż znalazł zakłęcia, które stara wiedźma latami spisywała na zwitkach brzozonej kory. Czytał je szukając tego jednego, lecz nie mógł na nie trafić. I tak siedział długo, zapomniawszy o świecie, a co przeczytał, ciskał w płomienie.

Zostawmy go więc tam na chwilę, a sami spójrzmy, co się przez ten czas zdarzyło gdzie indziej.

Jak to się już rzekło, zwano estarońskiego króla Szalonym, bo jak szaleniec ciskał się na dziesięciokroć nieraz silniejsze hufce i rozbijał je w pył. Lecz wbrew temu imieniu był on wodzem rozważnym i przebiegłym, który nigdy nie posyłał wojsk w nieznaną. Tak i przed wyprawą do Slengu wysłał najpierw w puszcę wielu swoich ludzi, którzy w przebraniach kupców lub żebraków przeszli cały kraj i dokładnie mu potem zdali ze wszystkiego sprawę. Wiedział, że leśne drogi są zbyt grząskie dla jego pancernej jazdy, toteż zwlekał niemal rok, aż mróz skuł błota i mokradła. Miał z tego jeszcze i taką korzyść, że znudzeni próżnym czekaniem woje Hodbora po większej części rozeszli się w końcu do domów. Kiedy więc Estarończycy przeszli rzekę, miał przy sobie Hodbora tylko swą wierną drużynę i ledwie kilkadziesiąt innych włóczy. Nie było ich razem nawet w dziesiątej części tylu co najeźdźców.

Parły więc estarońskie hufce przez Sleng, siejąc śmierć i zniszczenie. Na zimowe słońce stanęli już w Urhaszu, pustosząc po drodze osady i równając je z ziemią. Tam Othomarih rozdzielił swe wojska na trzy oddziały: jeden poszedł na zachód, ku Isthardowi, drugi do Harlongu, z trzecim zaś sam król ruszył na Ranżnar. Walczyli Slenganie mężnie i wielu estarońskich rycerzy pozostało w puszczy na wieki, lecz i obrońcy ginęli jeden po drugim. I szły wrogie oddziały przez kraj jak pancerne tarany, groźne i niepowstrzymane.

Sami zresztą dobrze wiecie, jak to wtedy było, bo nie raz i nie dwa opowiadali o tym gędziarzu. Pominę więc te sprawy. Jest wam zapewne wiadomo, że na czele tej rotty, która szła do Isthardu, stanął syn królewski Gordenhert. Był to rycerz równie jak ojciec nieustraszony, lecz bardziej jeszcze od niego zapalczywy. Wiódł swój hufiec leśnymi ścieżkami, z trudem torując sobie drogę wśród gąszczy, a za nim jak wilki podążały oddziały Slengan, szarpiąc strażę, urywając tabory i wstrzymując pochód, jak się dało. Lecz że były nieliczne i pozbawione jednego wodza — gdyż Hodbora walczył z oddziałem Othomarha — nie ważyły się Gordenhertowi zastępować na dłuższej drogi, po każdej utarczce prędko chowały się w lesie.

Tyle odniosły sukcesu, że podczas jednej z niezliczonych potyczek ustrzelono z łuków przewodnika, który wiódł oddział. A że drugi zmarł wcześniej od choroby, zaczął Gordenhert błądzić w nie znanym sobie lesie. Nowego przewodnika trudno było znaleźć, bo chwytani jeńcy woleli ginąć, niż przysłużyć się wrogom, a nawet jeśli który złamał się na mękach, trudno mu było ufać.

Wreszcie Gordenhert dowiedział się od jednego z jeńców, że opodal miejsca, które właśnie mijają, mieszka na moczarach pewna stara wiedźma.

— Niechże tak będzie — rzekł. — Potrzebuję przewodnika, choćby miał nim być najgorszy z upiorów.

I zaraz też wysłał poczet rycerzy, by znaleźli tę wiedźmę i przywiedli ją do niego.

Jednak kiedy rycerze odnaleźli kleć wśród mokradeł, nie było w niej nikogo. Tylko przed chatą znaleźli ciepły jeszcze stos, ledwie posypany ziemią, a w chacie półnagiego człowieka

uwalanego krwią i z szaleństwem w oczach. Siedział on nieruchomo i wpatrywał się w palenisko, jakby nie widząc przybyszy.

— Kim jesteś i co tu robisz? — spytał wreszcie przewodzący Estarończykom rycerz i trącił go końcem miecza.

— Jestem Cudak — odparł zagadnięty, nie poruszając się. — A wy czego tu szukacie?

— Jestem Vramer z hurmiońskiego rodu, rycerz króla Othomarha. Szukamy wiedźmy, która ponoć tu mieszka.

— Nie znajdziecie jej — rzekł Cudak. — Ja ją zabiłem, a potem usypałem jej ten stos, który widzicie.

Vramer wyczuł w jego głosie szaleństwo, cofnął się dwa kroki i nadstawił miecz. Ale widząc, że Cudak siedzi spokojnie, powiedział po chwili:

— Pójdiesz z nami do księcia Gordenherta. On zdecyduje, co z tobą zrobić. I nie radzę ci uciekać, jeśli nie chcesz posmakować naszych mieczy.

Hrebor jednak nie myślał opierać się rycerzom. Bez słowa odział się i poszedł za nimi. Tak znalazł się w obozie Gordenherta, któremu Vramer zdał sprawę w tych słowach.

— Ten człowiek powiada, że zabił wiedźmę, o której nam mówiono. Moi ludzie twierdzą, że musi być czarownikiem, skoro nie bał się tego dokonać. Mnie jednak widzi się on raczej obłąkanym. Tak czy owak, jeśli chcesz znać moją radę, panie, każ go zabić czym prędzej, coś mi bowiem mówi, że ściągnie na nas nieszczęście.

Ale Gordenhert nie dał posłuchu swemu rycerzowi i kazał przyprowadzić do siebie Hreborą.

— Kim jesteś i skąd się wywodzi twój ród? — spytał, patrząc groźnie w twarz jeńca.

Hrebor nie zląkł się wcale i odpowiedział:

— Jestem Cudak, człowiek przeklęty, pozbawiony rodu i imienia. Jestem tym, który nie lęka się nikogo ani niczego, bo nic mu już nie pozostało w życiu. Nie pragnę oglądać ludzi. Czemu więc nasłałeś na mnie swoich rycerzy?

Gordenhert zamyślił się, bo zauważył, że ma do czynienia z dziwnym człowiekiem, i postanowił rozegrać rzecz chytrze.

— Widzę, iż ludzie tutejsi wyrządzili ci jakąś krzywdę i masz słuszne powody, by ich nienawidzieć. Lecz uwierz mi, że nie jest rzeczą męską kryć się po lesie; lepiej wziąć pomstę na swych krzywdzicielach. Możesz to łatwo zrobić, jeśli doprowadzisz mnie i moich rycerzy do miejsca, które nazywacie Isthard.

— Mogę tak zrobić, skoro o to prosisz — odparł Cudak z kamienną twarzą. — Bo jak ci powiedziałem, nic mi już w życiu nie pozostało i na niczym mi — nie zależy.

Gordenhert ucieszył się w sercu, że tak przemyślnie zdobył dla swoich usług Cudaka. Nie dał jednak tego po sobie poznać i rzekł:

— Pozwól więc, niech sprawdzę, czy mogę ci zaufać. Tak się składa, że moi ludzie otoczyli niedawno w lesie większą bandę wrogów. Przyznam, że bronili się mężnie, ale jednego ścisnęliśmy między tarczami i dostaliśmy żywcem. Przyprowadzę ci go, abyś mógł od niego rozpocząć zemstę.

Hrebor nie zdążył nic powiedzieć, gdy zbrojni pachołkowie postawili przed nim spętanego jeńca. Na jego widok krew uderzyła Żargradowicowi do głowy, był to bowiem nie kto inny, jak Trzebor Streżda. Ujrawszy wśród wrogów Hreborą, pojął on, że przyszła na niego ostatnia godzina, nic jednak nie rzekł, tylko wydał wargi i splunął z pogardą na Cudaka.

— Uczynię to chętnie — rzekł wtedy Hrebor Gordenhertowi i odsłoniwszy ostrze swej włóczni, ciął nią Streżdę przez gardło odwalając głowę od ciała.

— Oto zemsta za mego ojca i matkę — powiedział przy tym, a uczynił to wszystko z takim spokojem i z tak kamienną twarzą, że nawet nawykli do okrucieństw estarońscy rycerze patrzyli na tę haniebną śmierć starego wojownika z odrazą i niesmakiem.

Wtedy Gordenhert uznał, że może zaufać Cudakowi. Kazał zaprowadzić go do namiotów, dać strawę i przyodziewek. Wziął też Hreborą zbroję zabitego i jego maskę, a że nie mógł na

niej naznaczyć barw swojego rodu, zamalował ją całą na czarno. Na tym nakreślił białym kolorem zarys trupiej czaszki i w ten sposób zrobił maskę śmierci, którą rzadko się widuje, bo odważają się ją nosić tylko ludzie przeklęci.

Odtąd wojska Gordenherta szły sprawniej i szybciej, gdyż ich przewodnik prowadził je pewnymi, choć nawet przez nich nie przeczuwanymi ścieżkami. Łatwiej też radzili sobie Estarończycy z obrońcami ziem, przez które szli, jako że ze śmiercią Trzebora, przewodzącego najlicniejszej grupie, serca w Slenganach mocno podupadły. Szli jedynie trop w trop za hufcem, a będąc bez taboru i z niewielkimi tylko zapasami, bardziej przy tym cierpieli od chłodu niż najeźdźcy. Nie atakowali zatem tak zaciekle, jak wcześniej, czekali na Ursza Brzedę, który wiódł ku nim blisko setkę dzielnych wojowników ze swego rodu, a także Astarhów i Zwardów.

Wreszcie bez większych przeszkód stanęły wojska Gordenherta w osadzie zwanej Nażaz, pustej zupełnie, bo ludność wraz z dobytkiem schroniła się przed Estarończykami w lesie. Tam kazał Gordenhert rozłożyć obóz. Gdy już układał się do snu, dano mu znać, że Cudak chce z nim w pilnej sprawie zaraz rozmawiać. A zdążył już księżę nabrać dla swego przewodnika takiego poważania, że nie bacząc na późną porę, kazał go zaraz wpuścić.

Hrebor pełen był spokoju i tylko w oczach tlił mu się jakiś dziwny blask, którego Estarończyk nie dostrzegł. Nie czekając pytań, przystąpił od razu do rzeczy.

— Zbierałem po lesie wieści od parobków, którzy się tam chronią, i doszło do mnie, że sam Hodbor stoi o niecały dzień drogi stąd i szykuje się do bitwy.

— Dobrze zatem! — zawołał Gordenhert. — Bo jak dotąd, muszę go szukać po całym jego kraju, co, przyznam, już mi ze szczętem obrzydło. Niczego innego nie pragnę bardziej, niż aby zastąpił nam wreszcie drogę.

— Dobrze mówisz, księżę — odrzekł Cudak. — Lecz nie ma on wielu wojów i pewnie nie stanie z tobą do otwartej bitwy. Jak znam tego księcia, a wiem o nim niejedno, z pewnością zechce zażyć jakiegoś podstępu. Radzę ci mieć się w drodze na baczności i uprzedzić rycerzy, by nie dali się zwieść.

— Zwycięstwo będzie przy mnie, jakem Gordenhert, syn Othomarha, który jestem potomkiem samego Erona. Nie lękaj się o nic. Cudaku, i prowadź nas dalej, a nagroda cię nie minie.

Hrebor odszedł zatem jak zawsze z twarzą, z której nie niożna było nic rozeznąć. Lecz kiedy następnego ranka rycerze ruszyli dalej, powiódł ich Żargradowic wcale nie ku Isthadowi, lecz w zupełnie inną stronę, na wielkie uroczyska. Nikt z Estarończyków tego nie zauważył, tylko idący za tylnymi strażami Slenganie zdziwili się tą nagłą, zmianą marszu. Posłali zaraz gońców do Ursza i nadal ostrożnie szli za Gordenherciem.

Tymczasem Estarończycy z dużym trudem przedzierali się przez puszcę, nigdzie indziej bowiem nie była ona tak gęsta i tak skłębiona, jak tam. Często aż musieli schodzić z koni i prowadzić je za sobą albo rąbać toporami drzewa, żeby wozy mogły przejechać. Dopiero trzeciego dnia pod wieczór droga stała się łatwiejsza, gdy dostali się na rozległe, zamarzniete bagniska.

— Można by tu nocować — powiedział Cudak do Gordenherta — ale lepiej jedźmy dalej; opodal znam niewielkie wzgórze, w sam raz na obóz. Trzeba też dobrze uważać, bo jeśli Hodbor chciałby urządzić jakąś zasadzkę, nie znajdzie lepszego miejsca niż to, w którym jesteśmy.

Poszedł Gordenhert za radą Cudaka i jechali dalej, choć już zapadła zupełna noc. Trwało to czas jakiś, gdy nagle straże dostrzegły z dala ogień. Zrazu pojawiły się z przodu, potem i po bokach, a przy tym zbliżały się i było ich coraz więcej. Nagła groza ogarnęła rycerzy, w przeraźliwej ciszy słychać było tylko niespokojne rżenie koni; potem zaś zaczął ich dobiegać głos jakby wycia czy szlochu, odległy, lecz wciąż potężniejący. Rycerze, nie czekając komendy, wstrzymywali wierzchowce, chorążowie zaś pędzili do Gordenherta po rozkazy,

zwłaszcza gdy dostrzegli, że już i za tylną strażą pojawiły się ognie, a wszystkich razem jest równie wiele jak estarońskich wojowników.

Książę zaś dłuższą już chwilę rozmawiał z Cudakiem. Nie znał tutejszych puszczy i nie słyszał nigdy o spaleńcach ludziach, którzy za życia poszli złą drogą i nie potrafili przejść doliny ognia, która oddziela światy. Wrócili więc stamtąd na ziemię, trawieni wiecznymi płomieniami, by stać się najgroźniejszymi sługami demonów. Źle wróży każdemu choć dostrzec spaleńca i nikt rozsądny nie będzie szukał spotkania z nimi. Lecz Gordenhert tego nie wiedział. Łatwo więc wierzył temu, co mu tłumaczył przewodnik.

— To Hodbor, jakem żyw! — przedkładał Cudak niespokojnym rycerzom. — Znam ja jego chytrą! Dał każdemu ze swoich po dwie pochodnie, drugie tyle pozatykali po lesie, a teraz wyją jak potępięcy, udając leśne upiory. I jak widzę, nie jest to głupie, skoro wystarcza, byście się strwożyli niby dzieci.

Przełknęli te słowa z goryczą, mówiąc, iż mogą się lękać upiorów, lecz ludzi nie przełkną się nigdy. Zaraz też rozpoczęto sprawiać szyki do bitwy. Wreszcie, gdy ognie zbliżyły się jeszcze bardziej, Gordenhert kazał uderzać. Trzasnęły opuszczane przyłbice, pochyliły się kopie i fala rycerzy runęła wprost ku wrogom. Wtedy Hrebor założył swą maskę, ściągnął z włóczni pokrowiec i ruszył za atakującymi.

By opisać dobrze, co się potem działo, na to brak jest słów w ludzkim języku. Estarończycy, choć lęk ich nie opuszczał, nacierali z furją, bo wiele można o nich powiedzieć złego, ale kto ich zna, ten potwierdzi, że męstwa nie brakowało im nigdy. Nawet zresztą gdy spostrzegli, że przyszło im walczyć nie z ludźmi, ale z płonącymi potworami, nie mogli już zawrócić, bo z tyłu napierały wciąż nowe szyki słane przez Gordenherta. Nie było też gdzie się cofać i tylko w mieczach mogli jeszcze mieć nadzieję, że przebiją się i ujdą cało. Krzyk ogromny zmieszał się z wyciem spaleńców i od samego szczęku broni drżały w całej puszczy drzewa. Padły mostem pierwsze szeregi niczym rażone piorunem, lecz już następne darły się po trupach naprzód, a z dziesiątków kling któraś w końcu musiała dojść do ciosu i zatopić się w płonącym cieple. Niełatwo jest walczyć ze spaleńcami, które wspiera moc demonów i których bronią jest strach, lecz w końcu i one nie mogły wstrzymać Estarończyków walczących z furją, jaka znana jest tylko ludziom stojącym twarzą w twarz ze śmiercią. Ginęły pod nogami rycerzy płomienne istoty, ćwiartowane mieczami i wdeptywane w czerwony od krwi śnieg, choć zaraz powstawały znowu, w końcu pękł ich szyk i resztki rycerstwa poczęły wdzierać się do tego miejsca, którego nigdy żaden człowiek nie dotknął stopą.

Wtedy przebudziły się złe moce i przybrawszy widomą postać, ruszyły z gniewem przeciw ludziom. Nagle zrobiło się jasno jak w dzień, a od tego blasku ślepl każdy, kto odważył się wznieść nań oczy. Zerwał się potężny wiatr, łamiąc drzewa, i ziemia zadrżała.

Widząc, jak ginie jego armia, pojął dopiero Gordenhert, że został oszukany. Szukał Cudaka, by go jeszcze zabić własną ręką, lecz dostrzegł go tylko, jak znika w ognistym wirze, krzycząc jakieś zaklęcia. Co zaś działo się dalej, tego nikt już na pewno nie wie. Ci bowiem nieliczni, co zdołali uciec, a wśród nich i sam nieszczęsny wódz, wpadli na włócznie Slengan, którym przybył wreszcie Ursz Brzezda. Tam wybito ich do nogi, choć i Slenganie ponieśli srogie straty od zaziemskiego ognia i ledwie czwartej części z nich udało się ująć w porę.

Do świtu szalały złe moce, wiatr łamał drzewa, pioruny biły w ziemię i każdemu, kto to widział, zdawało się, że oto przyszedł ostatni dzień świata, w którym niebo połączy się z ziemią i bogowie zostaną wezwani na sąd przed oblicze Jedynego.

Ale po długiej nocy wstał wreszcie świt, zgasły płomień, a świat ku zdumieniu ludzi trwał nadal. Wtedy odważyli się Slenganie wyjść ze swych kryjówek, a Ursz, wzięwszy ze sobą kilku najodważniejszych, ruszył obejrzeć pobojuwisko. Oczom ich ukazał się straszny widok, trupy ludzkie i końskie piętrzyły się w wysokie przyzmy, a krwi było więcej niż wody w granicznej rzece. Wśród Estarończyków znaleźli też jednego wojownika w czarnej masce, ze zwęgloną włócznią w rękę. Gdy pochylił się nad nim, oddychał jeszcze. Zdjęli mu więc

maskę, a oczom ich ukazała się twarz poorana bruzdami jak u starca i okolona zupełnie siwymi włosami.

— Kim jesteś, człowieku? — spytał Ursz, patrząc w tę twarz.

Wtedy leżący otworzył na chwilę oczy, spojrzął na niego i wyszeptał:

— Hrebor Pahwazda.

I strumienie łez spływały mu po policzkach, zamarzając na mrozie. Z tymi łzami uszła z niego resztką życia.

Zrozumiał Ursz, że stoi nad tym, który sprowadził na wrogów zagładę. Kazał zabrać sztywniejące ciało i odszedł czym prędzej, niechając pobojowiska. Słusznie uczynił, bowiem od nieziemskiego ognia otworzyły się lody i wszystko zaczęło powoli zapadać się w bagnie. I choć z dawna omijano te miejsca z daleka, to po owych zdarzeniach otoczyła je taka groza, że nikt już nigdy nie ważył się do nich zbliżyć. A jeśli ktoś zabłąkał się tam przypadkiem, nigdy już go żywi nie oglądali.

Ciało Hrebora zabrali wojownicy do pobliskiego trzemu, aby mu sprawić godny pochówek. Gdy jednak chcieli wnieść go do świątyni, niepojęta jakaś siła zatrzymała Hrebora przed bramą, tak jak mu się to już raz zdarzyło. Dopiero jeden z żerców, którego sprowadzono do świątyni, by wyjaśnić to dziwne zdarzenie, poznał w Hreborze człowieka, z którym niegdyś rozmawiał. On to wyjaśnił wojownikom, kim był Hrebor i jak się z nim obeszły Dole.

W końcu zatem pochowali go na skraju puszczy, w miejscu rzadko odwiedzanym przez ludzi. Usypali wysoki kurhan i długo stali przy nim w zadumie. A ów święty mąż zebrał od słowa do słowa, wszystko, co się na los Hrebora złożyło, i w ten sposób powstała ta opowieść, którą podjęli inni, aż przez wiele pokoleń dotarła do nas. Kurhan Hrebora dawno już rozmyły deszcze i rozwiały wiatry, a opowieść o Cudaku z cudzym sercem pozostała. Niech więc i wam służy do nauki i wzruszenia, a przemyślcie ją dobrze, w tym właśnie bowiem miejscu, przy kurhanie Hrebora Pahwazdy zwanego Cudakiem, kończy się ona, jak skończyć się musi każda historia.

Styczeń 1987

Skarby stolinów

Sternwarż z rodu Astarhów nie był jeszcze człowiekiem starym, ale ochota do życia i wielkich czynów dawno już się w nim wypaliła. Nie cieszył się poważaniem sąsiadów — właściwie trudno dociec czemu, bo gospodarzył solidnie i wszystko, co robił, zdradzało wielki rozsądek. Chociaż, obejście jego leżało niedaleko od innych, prawie nikt go nie odwiedzał. Sam Sternwarż zresztą też prawie, nie opuszczał swego dworzyszczu. Jeśli potrzebował czegoś, czego sam nie miał — co rzadko się zdarzało, gdyż był człowiekiem zamożnym — posyłał na targ swych pachołków.

Pachołkowie ci, Orwańczycy sprowadzeni jako jeńcy z wojennej wyprawy byli jedynym dowodem, że nie zawsze się tak działo. Co starsi mieszkańcy Isthorny pamiętali jeszcze Sternwarża z dni, gdy był młodym i pełnym zapału wojownikiem, więcej czasu spędzającym na wyprawach za góry niż w obejściu. Przyniósł z tych wypraw sławę świetnego szermierza i bogate łupy, przyniósł z nich też swoje dziwactwo. Z jednej bowiem wyprawy powrócił sam, wychudły i okryty ranami, bez cienia uśmiechu w twarzy. Od tego właśnie czasu zgorzkniał i zaczął unikać ludzi, aż wreszcie zamknął się na dobre w opustoszałym po śmierci rodziców dworzyszczu.

Wielu usiłowało dociec, co go tak odmieniło i jaki los spotkał jego towarzyszy, ale Sternwarż z nikim nie chciał o tych rzeczach mówić. W końcu więc sąsiedzi pogodzili się z jego dziwactwem i machnęli na nie ręką. Świat toczył się dalej, nie zważając, czy Sternwarża cokolwiek to obchodzi, czy nic.

Wśród mieszkańców podgórza jeden tylko bywał częstym gościem Astarhy. Był to Harsz z Tragzych, gołowąs, nie mający jeszcze dwudziestu wiosen, ale zawzięty i zapalczywy. W opinii sąsiadów obaj pasowali do siebie doskonale, młody Tragzy bowiem nawet przez swych rodziców i braci uważany był za postrzeleńca, z którego więcej w gospodarstwie kłopotów niż pożytku. Slenganie wprawdzie cenią sobie ludzi, którzy we wszystko, co czynią, wkładają całą duszę, ale nigdy nie szanują takich, co każdego dnia zapalają się do czego innego i niczego nie doprowadzają do końca. A taki właśnie był Harsz Tragzy.

Tak więc rodzina Harsza niewiele się martwiła tym, że chłopak więcej czasu spędza u Sternwarża niż w domu. Chętnie by nawet przyjęła, żeby na dobre zamieszkał u niego, zwłaszcza że i tak zostawało ich jeszcze ośmiu braci, a ojcowizna ledwie mogła starczyć dla czterech.

Późną jesienią pojawiło się w Isthornie dwóch wędrowców, których nikt dotąd nie znał. Jeden, z pewnością nie mający więcej niż dwadzieścia kilka lat, był dość wysoki, szczupły i, co stanowiło w Slengu rzadkość, miał ciemne włosy. Nie nosił wąsów, a twarz miał ogorzałą i wiecznie uśmiechniętą. Zwał się Żegost. Niektórzy Isthorniczycy znali różne opowieści o człowieku noszącym takie imię, lecz że słyszeli je jeszcze od swych ojców ani powstało im w głowie, że mogłyby one mieć coś wspólnego z tym młodzikiem. Drugi z przybyszów, nieco starszy, zwalisty i szeroki w barach, był gędziarzem i nosił imię Blizbor. Parę dni przesiedzieli w gospodzie, gdzie gędziarz opowiadał swoje historie, przygrywając sobie na lutni. Opowiadał zajmująco i nie żalowano mu zapłaty, ale wkrótce okazało się, że przybysze szukają nie tyle przygodnego zarobku, co obejścia, w którym mogliby przezimować. Gędziarza jeszcze by przyjęto, bo dla przyjemności słuchania jego historii kilku co bogatszych kmieci gotowych było zapewnić mu utrzymanie przez zimę. Blizbor jednak nie chciał się rozstawać z Żegostem, a dla dwóch nigdzie nie było miejsca. Ruszyli zatem dalej.

Niewiele później mieszkańcy osady dowiedzieli się, że obaj wędrowcy zamieszkali do wiosny u Sternwarża. W istocie, gędźby Blizbora przypadły Sternwarżowi do serca, a i Żegosta polubił bardzo za jego opowieści o dalekich krajach, ich królach i wojnach pomiędzy nimi. Wieczorami siadywali razem w dużej izbie, przy grzanym piwie, i jeśli Blizbor zmęczył się gędźbą, mówił Żegost, a obaj mieli do powiedzenia tyle, że starczyłoby tego na pięć zim, nie na jedną. Sternwarż przeważnie słuchał ich w milczeniu, jedynie czasem uśmiechał się do siebie smutno lub pytał o jakiś szczegół i — targał w zamyśleniu długie, konopne wąsy. Raz po raz posyłał tylko pacholek po nowe beczki, nie dbając, że jego piwnica pustoszeje w szybkim tempie.

Nie odzywał się też Harsz, który również spędzał zimę w domostwie Astarhy, ale to dlatego, że chłonec wszystkie te opowieści z zapartym tchem i otwartą gębą, nie sądził doprawdy, aby on, znający ledwie kilka pobliskich chałup i kawał lasu, mógł w tej kompanii powiedzieć cokolwiek ciekawego.

Blizbor opowiadał potem, że ze wszystkich jego gędźb gospodarz najbardziej upodobał sobie tę, jak to Swarg zapragnął stworzyć podobne bogom istoty i jak mu w tym przeszkadzał jego wróg, którego imienia żaden człowiek nie ważył się nigdy wymawiać. Kazał sobie o tym powtarzać wiele razy. I nie było dla gędziarza — jak mówił — przypadkiem, że co się zdarzyło, zdarzyło się właśnie podczas tej opowieści.

Było to jednego z podobnych do siebie wieczorów. Zza okiennic dobiegało monotonne wycie wiatru, mieszającego się z trzaskiem płonących polan. Żegost siedział przy palenisku i wyciągnawszy do ognia stopy, ćmił fajkę, napełniając izbę kłębamii wonnego dymu. Sternwarż rozsiadł się na okrytej rysimi skórami ławie i popijając piwo, słuchał w zamyśleniu. Obok niego Harsz wlepił wzrok w gędziarza; chłonec jego słowa z taką uwagą, że gdyby mu w tej chwili obcięto głowę, zauważyłby to dopiero po wyrzuceniu jej z izby. Słuchał też skryty w cieniu pacholek, dbając jednak, jak to do niego należało, aby nikomu nie zabrakło w kuflu trunku. Blizbor zaś, z przymkniętymi oczyma, jak zawsze przy gędźbie,

rozparty na zydlu pośrodku izby, trącał delikatnie palcami struny i przy ich cichym wtórze powtarzał słowa opowieści:

...Zostawił więc Swarg stworzone, ale jeszcze martwe ciało i wspiąwszy się wysoko ku niebu, sięgnął boskimi rękami słońca. A wtedy Nienazwany podkradł się cicho i ujrawszy dzieło swego wroga, zatrząsł się ze złości, bo było doskonalsze niż wszystko, co on umiał stworzyć...

...Wyrwał Swarg ze słońca pierwszy promień i zrzucił go z nieba. Ten promień był: Ruch, dążenie, aby nie być jak drzewa czy kamienie, lecz zmieniać siebie i świat. Ale Nienazwany pochwycił promień i zmieszawszy go z gliną i błotem, dodał do niego tę żądzę, by świat cały ustawić po swej myśli...

...Wyrwał Swarg drugi promień i zrzucił go z nieba. Ten był: Nieśmiertelność, miłość do rzeczy wielkich, które przeżyją każdego człowieka i zachowają go w pamięci u synów i wnuków. A Nienazwany dorzucił do tego strach, że wszystko, co się powie i stworzy, pochłonie czas i tak się człowiek obróci w nicłość, jakby go nigdy nie było...

...Wziął Swarg trzeci promień ze słońca. Ten znaczył: Wiara, że jest dobro i piękno, i miłość, i że się umie być takim, jakim być się chce. Lecz gdy zsyłał Swarg ten promień, dodał do niego Nienazwany czarny kamień wyrwany z głębi ziemi, ostry i ciężki, a kamień ten był: zwątpienie...

...Dał Swarg człowiekowi czwarty promień słoneczny, a promień ten był ze wszystkich najjaśniejszy, bo była w nim miłość do każdego stworzenia i ta chęć, by nigdy nie pozostać zdała od drugich. Lecz i tę jasność zepsuł Nienazwany, wlawszy do niej pożądanie rzeczy...

...Zrzucił wreszcie Swarg piąty promień. Ten był: Misja i ta władza, że się nic nie dzieje bez celu i przyczyny. A Nienazwany sięgnął pełną garścią ku ziemi i dobył z niej drwinę i pychę...

...Zajaśniało pięć słonecznych promieni, a glina i kamienie przepaliły się w ich boskim ogniu. I tak stopiło się wszystko w jedno, czyniąc ludzkiego ducha. I otworzył człowiek oczy i wzrok jego padł na błękitne niebo...

W tej chwili jednak gęźba Blizbora została przerwana. Trzasnęły nagle drzwi izby i stanął w nich jeden z pachołków Sternwarża.

Palce Blizbora zmyliły melodię i opadły bezradnie na struny. Przez chwilę jeszcze trwała cisza, nim pachoł, obrzucony przez gospodarza gniewnym spojrzeniem, począł mówić:

— Brama, panie. Człowiek dobija, stuka się w bramę.

Przebywał na dworzyszczu Sternwarża już wiele lat, ale Orwańczykom nauka slengańskiej mowy zawsze przychodziła z trudem i nigdy nie mogli opanować jej do końca.

— W taką zawieję? — zdumiał się Żegost.

— Popili się chyba — mruknął Sternwarż — Pewnie głodny dzik, puszcza pod bokiem...

— Nie, panie. My się wzięli okiem za bramę. Tam kłęczą ktoś i stuka się, aż brama trzeszczy.

— Jeśli jest sam, to wprowadźcie go do izby — rzekł gospodarz, zły, że przerwano gęźbę.

Pachołek wypadł za drzwi jak zdmuchnięty.

— Dziwna rzecz — powiedział Harsz. — Nawet z Isthorny nikt by w taki mróz i zawieję nie doszedł, a bliżej nie ma nic. Trudno uwierzyć.

— Bo i pewnie nie ma w co — Sternwarż wzruszył ramionami. — Ot, posłyszają się niemrawcom. Dawno ich powinienem pogonić precz.

Wreszcie, po długim czekaniu, w sieni odezwały się ciężkie, powolne kroki. Spojrzeli wszyscy; drzwi, uchyliły się powoli.

— Na Swarga — wyszeptał Żegost i uniósł się z ławy.

Harsz miał rację. W taką porę nie mógł do nich dotrzeć żaden człowiek. Ale przybysz, który wszedł chwiejnym krokiem do izby, podtrzymywany pod ramiona przez przerażonych Orwańczyków, nie był człowiekiem.

Sięgał pachółkom nieco powyżej pasa, za to w barach był od nich bez mała dwakroć szerszy. Masywny korpus i długie ręce osłaniała zbroja z pozłocistych blach, poprzebijana w wielu miejscach. Od długich, cienkich pęknięć ciągnęły się po pancerzu szerokie smugi krwi, częściowo skrzepniętej, a częściowo wciąż spływającej. Skapywała ona na kolczugę chroniącą grube, krótkie—nogi i znaczyła wyraźne ślady na podłodze. Głowę przybysza zdobił lśniący hełm, w jednym miejscu nad czołem wklęsnięty głęboko. Szerokie skrzydła hełmu zasłaniały większą część twarzy. Tylko spod okapu świeciły nieludzkie, czerwone oczy, a niżej, w pokrytym szczecina i nieco wysuniętym pysku lśniły potężne kły.

Nawet Harsz, który nigdy takiego stwora nie widział, słyszał w życiu dość opowieści, żeby poznać go od razu. Był to stolin.

Po kilku krokach zatrzymał się nagle i wyprostował, wspierając się o ratyszczę ciężkiego, dwusiecznego topora. Pachółkowie skwapliwie puścili ramiona przybysza, on zaś wbił wzrok w siedzącego przy palenisku gospodarza i chrapliwym, szorstkim głosem wyrzęził:

— Szerwahr... Szer... wahr...

Z trudem chwytął oddech. Poruszył jeszcze kilkakrotnie ustami, nie mogąc dobyć głosu, po czym, pochyliwszy głowę, przez chwilę rozpaczliwie usiłował utrzymać się na nogach, aż runął z łoskotem na ziemię.

Pierwszy otrząsnął się ze zdumienia Żegost. Doskoczył do leżącego, pochylił się i przewrócił go z trudem na plecy. Za nim przypadli Harsz i Blizbor.

— Na Swarga! — zawołał Żegost. — Trzeba go opatrzyć. Wodę i szmaty, prędko!

Pachółkowie kopnęli się za drzwi, Żegost zaś dobytym zza pasa nożem zaczął przecinać przytrzymujące zbroję rzemienie. Nim ją zdjął, stolin ostatkiem sił raz jeszcze uniósł głowę i wycharczał ledwie dosłyszalnie:

— Szer... wahr...

Powieki opadły mu nagle i głowa zaciążyła w rękach Blizbora. Potężne, krępe ciało drgnęło jeszcze kilka razy i znieruchomiało.

— Już nie trzeba — powiedział Żegost do pachółków, którzy po dłuższej chwili wpadli do izby z naręczem czystych szmat i misą. Podniósł się ciężko i przysiadłszy na ławie, objął głowę rękami.

— Niepojęte — wydusił z siebie wreszcie. — Na wszystkie puszczańskie moce, niewiele jest w świecie cudów, których bym nie oglądał, a nic nie pojmuję. Stoliny schodzą z gór i dobijają się do ludzkich obejść... To się nie zdarzyło jak świat światem.

W istocie, wiedzieli wszyscy, że stoliny nigdy nie opuszczają swych ziem, tak samo, jak nie dopuszczają do nich ludzi. Czasem tylko schodzą się z nimi dla handlu na granicy gór. W każdym razie tak było od niepamiętnych czasów.

— Czego on mógł tu szukać? — powiedział Blizbor nie wiedząc do kogo.

— Pewnie pomocy — Harsz ściągnął z leżącego pozłocisty pancerz. Skórzana kurta, opinająca szczeciniasty tors stolina, cała była przesiąknięta posoką. — Ależ go ktoś oporządził... wygląda to na topór — dodał oglądając porąbaną zbroję.

— Topór? Nie wiesz, co mówisz, dobry człowieku. Nawet sto toporów nie mogłoby przebić tego pancerza. To nie jest zwykła zbroja. Estarońscy grafowie oddają za takie całe wsie, a i u stolinów noszą je tylko co najznacniejsi. Wrzuć ten pancerz do paleniska na cały dzień, a nawet się nie rozgrzeje.

Na wzmiankę o palenisku odruchowo spojrzeli wszyscy w tamtą stronę i wzrok ich zatrzymał się na siedzącym przy ogniu gospodarzu. On jeden przez cały czas nie ruszył się z miejsca. Na widok stolina zbladł tylko i przyglądał mu się rozszerzonymi oczami. Teraz siedział pochylony, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Poczuł na sobie ich wzrok i z wolna uniósł głowę. Twarz miał już spokojną.

— Czemu tak patrzycie? — warknął ze złością. — Tyle rozumiem, co i wy! Licho wie, co go tu sprowadziło i czego u mnie szukał. Zakopcie go pod częstokołem i darujcie sobie te zagadki. I tak nikt wam ich nie wyjaśni.

Harsz nie słuchał gospodarza, bo zauważył nagle u szyi stolina skórzaną sakiewkę. Zdjął ją drżącymi palcami i rozsypał rzemień.

— Patrzcie — wysapał, cały czerwony z przejęcia, wyciągając z sakiewki zwitek pergaminu. Rozwinął go ostrożnie. Cały przesiąknięty był krwią. Pochylili się obaj i popatrzyli mu przez ramię.

— Tu nic nie ma — powiedział wreszcie Harsz z zawodem w głosie i odrzucił pergamin na ziemię. — Nic już nie pojmuję.

— Nie ma co pojmować — mruknął Sternwarz. — Toż nawet gdyby coś było, to w ichnim języku.

Żegost tymczasem podniósł porzucony pergamin, podszedł do stołu i rozłożył go na blacie, tuż koło lampy.

— Ten pergamin też potrafią wyrabiać tylko stoliny — powiedział. — Jest prawie przejrzysty. Bagniska i węże, tu coś widać! — poderwał pergamin pod światło. — Tak! Są znaki! Pisano czerwonym kolorem, prawie ich nie widać... czekajcie... rozmazały się, ale jak pergamin wyschnie, dadzą się odczytać... — zmarszczył brwi, wpatrując się w rozpostartą kartę. — Początek jest bardzo niewyraźny... ale to są slengańskie runy... umowa... trzymać... zaraz, czas dotrzymać umowy, tak jest napisane..., Skarby stolinów wciąż czekają na nas... Ostatnie zdania są zupełnie wyraźne. Zbierz ludzi i przybywaj pod Gadające Drzewo... Widzę i podpis: Ihord Horży.

W tym momencie Sternwarz, dopadłszy dwoma susami do Żegosta, wyrwał mu pergamin z rąk, po czym z rozmachem cisnął go w palenisko.

— Oszalałeś?! — krzyknął Żegost, i rzucił się do ognia, ale Sternwarz chwycił wędrowca oburącz, odrzucił go pod ścianę i zasłonił sobą płomienie. Pergamin zwinął się i szerniał w jednej chwili.

— Dość... — wychrypiał Sternwarz, dysząc ciężko. — Dość! Nieszczęście chcecie ściągnąć, na siebie i ten dom... Poszaleliście... Niech licho porwie wszystkie stoliny razem z ich skarbami... Przybłąkał się łajdak, bodaj go piorun spalił!

Zwiesił głowę i sapiąc wciąż, wrócił do ławy. Usiadł ciężko i znów ukrył twarz w dłoniach.

— To ty oszalałeś — wydusił z siebie zdumiony Harsz. — Co za dur cię naszedł?

Żegost z Blizborem tylko przyglądali mu się w milczeniu.

— Nie pozwolę — powtórzył Sternwarz silniejszym już głosem. — Nie chcę słyszeć o stolihach. Ludziom lepiej się z nimi nie zadawać. Zabierzcie stąd to ścierwo, pókim dobry.

Twarz ściągnęła mu się i uspokoiła. Znów stał się tym zgorzkniałym, pozbawionym chęci do czegokolwiek człowiekiem, jakim go znali.

— Przypomniałem sobie — odezwał się Harsz po długiej ciszy. — O Ihordzie Horżym opowiadał mi kiedyś ojciec...

— Mów.

— Sam niewiele wiem. Wodził wyprawy z Żerthanhu i w końcu z którejś nie wrócił. Zwykła rzecz. Mówiono mi tylko, że jak on coś sobie wbił do głowy, to koniec. Gdyby sobie powiedział, że wytnie wszystkie drzewa w puszczy, do dziś by pewnie walił toporem i prędzej by umarł, niż przestał... — Tu Harsz nagle chwycił się za włosy. — Spalił, dureń! Nic się teraz nie dowiemy! Bodaj cię zabito!

— Bacz, co mówisz — powiedział zimno Sternwarz. — Jesteś w moim domu.

Harsz opanował się z trudem i zaczął przechadzać się po izbie.

— Dobrze! — rzekł wreszcie. — Gadające Drzewo... skarby... Nie wiem, do kogo pisał Ihord, ale skoro ten list trafił w nasze ręce, pójdę go odnaleźć!

— Akurat, pójdziesz — mruknął gospodarz. — Kto cię nie zna. Jutro zapomnisz.
— Zwołam z wiosną wyprawę...
— Dobrze sobie! Młokos chce zwoływać wyprawy!
— Pójdę, choćby sam! Niech mnie bagna pochłona, jeśli nie!
— Nie pójdziesz sam — powiedział Żegost, — Ja z tobą. Niech tylko przyjdzie wiosna.
— I ja! — zawołał Blizbor.

Sternwarz milczał.

— Durnie. Nieszczęścia chcecie — wyszeptał wreszcie głucho i odwrócił się do ognia. — Zabierzcie to ścierwo... i niech się żaden nie waży więcej o tym mówić, jeśli chcecie pozostawać pod moim dachem.

Pochylił głowę na piersi, zasłaniając twarz dłońmi, i zastygł tak w bezruchu. Długo to trwało, nim spostrzegł wreszcie, że po jego policzkach spływają łzy.

W izbie znów zapadło głuche milczenie, przerywane tylko wyciem wiatru i trzaskaniem płonących w palenisku drew.

* * *

Następnego dnia zakopali stolina na skraju lasu; uczynili tak za radą Żegosta, który twierdził, że górskie karły nie mają zwyczaju palić swych zmarłych, lecz zakopują ich w wykutych w kamieniu grobach. Sternwarz miał jeszcze przez jakiś czas nadzieję, że wkrótce po tym Harsz zapomni o całej sprawie. Prędko jednak musiał tej nadziei poniechać. Co prawda nikt więcej nie powracał przy nim do tajemniczego przybysza i przyniesionego przezeń listu, ale wszyscy stracili jakoś ochotę do gędźby i rozmów. Sam gospodarz rzadko schodził do izby, opuszczał ją szybko i głównie przesiadywał w swej komorze, zamyślony i milczący. Jakby od przybycia stolina zaległ w dworzyszczu jakiś cień i nawet tego sycone piwo, którego pili więcej jeszcze niż zwykle, nie mogło go rozproszyć. Siedzieli w milczeniu, czasem tylko Blizbor brał do ręki lutnię, brzdąkał chwilę po strunach i zaraz odkładał ją, nie próbując nawet zacząć opowieści.

Za to kiedy gospodarza nie było w izbie, Harsz, Blizbor i Żegost ożywiali się. Rozsiadłszy się wokół paleniska, rozprawiali zawzięcie o górskich karłach, ich siedzibach i zwyczajach. Najwięcej, jak się okazało, wiedział o tym Żegost, ale i pozostali mówili sporo. Blizbor znał bowiem wiele opowieści, w których pojawiały się stoliny, Harsz zaś powtarzał, co mówiło się o nich w okolicy.

Póki trwała zima, nie mogli opuścić Sternwarzowego obejścia. Ale że wkrótce powiał cieplejszy wiatr i śniegi zaczęły topnieć, korzystali z tego i co dnia wprawiali się na podwórzu w obracaniu toporem bądź długim, specjalnie obciążonym kijem zastępującym dla ćwiczeń włócznię.

Nie szło im to najgorzej. Zwłaszcza Żegost pokazywał dużą biegłość, którą nie wiedzieć kiedy i od kogo posiadał. Blizbor ustępował mu wprawdzie w zręczności, miał za to nie byle jaką siłę w rękach i ulubionym jego popisem było wgniatanie jednym palcem położonego na desce skojca tak, że trzeba go było potem wydłubywać nożem. I chociaż to, co pokazywał Harsz, mogło przy tamtych dwóch wyglądać słabo, przecież i on nie należał do ułomków. Nie jest zresztą żadną tajemnicą, że w owych czasach ludzie byli roślejsi, mężniejsi i lepiej obracali bronią, niż to ktokolwiek potrafi dzisiaj.

O zmierzchu, zmęczeni ćwiczeniami, siadywali przy palenisku i skracali sobie czekanie na wiosnę rozmową. Sternwarz, jak się już rzekło, rzadko im w tym przeszkadzał, nie szukał bowiem wcale ich towarzystwa. Gadali zatem o wszystkim, a najwięcej o bogactwach, które według starych opowieści miały kryć w sobie jaskinie, o klejnotach dobywanych przez stoliny spod korzeni gór, o złocie płukanym przez nie z podziemnych strumieni. Krążyły o tym całe legendy i pewnie mało kto by w nie uwierzył, gdyby nie kupcy, którzy w istocie z każdej

wyprawy w góry przywozili kunsztowne, przedmioty ze złota i szlachetnych kamieni, zawsze w dodatku mające w sobie mniejszą lub większą magiczną moc. Z nich trzech jeden Żegost widział w życiu takie rzeczy na własne oczy, bo były zawsze tak drogie, że kupcy wieźli je dalej, nawet nie pokazując ich w puszczy, ale kiedy opowiadał o tym, serca Blizbora i Harsza rozpały się coraz bardziej.

Rozprawiali też wiele o innych sprawach, co ze sobą zabrać, któredy pójść i jak się uchronić przed czarami stolinów, o których wiadomo było, że są potężne i dla ludzi zgubne.

— Ech, żebym to miał tu swoją włócznię... — westchnął pewnego razu Żegost, gdy mówili właśnie o broni. — Dawno temu wykuł ją płatnerz Hurdyn i zaklął w nią potężnego ducha, który zawsze potrafi ochronić swego pana przed złym losem. Dostałem ją jeszcze za czasów Hodbora i nieraz już dobrze mi się przysłużyła, ale z taką bronią niepodobna wędrować po świecie. Została u pewnego dobrego człowieka, a ten mieszka zbyt daleko stąd, żebym teraz po nią szedł. No, trudno. Przydałaby się choć jedna włócznia, choć po mojemu we trzech i tak niewiele tam zwojujemy bronią. Ja wezmę tylko nóż i swój kostur.

Harsz, choć znał Żegosta ledwie parę miesięcy, zdążył się już przyzwyczaić, że czasem przemawia on niczym stuletni starzec. Wiedział też, że nie ma go co pytać, kiedy zdążył widzieć i przeżyć to wszystko, o czym opowiadał, jako że takich pytań Żegost po prostu nie słyszał. Toteż słuchając jego słów Harsz nie pomyślał nawet, że Hodbor opuścił ten świat jeszcze za ich przedziadów. Co innego wzbudziło błysk w jego oczach.

— Masz własną włócznię? Bogowie, gdybym ja... — Przerwał i spuścił głowę. Włócznia była jego marzeniem. Marzeniem niedościgłym, gdyż całego majątku nie starczyłoby mu nawet na porządne ratyszczce, a ojcowska broń należała z prawa do najstarszego z braci.

— Nie ma co płakać — powiedział Blizbor. — Toporem obracasz o wiele lepiej, niż to się zdarza dziś widzieć.

— Co tam — burknął Harsz. — Kawał żelastwa...

— Pewnie, że topór to nie to co włócznia — rzekł Żegost. — Ale w dobrych rękach nawet zwykły kij może wiele zdziałać.

— Chcę zobaczyć, jakbyś sobie nim radził, choćby z tym stolinem. Nie podszedłbyś nawet. Bagniska i węże, nóż i kij! Toż to tak, jakbyś szedł całkiem bez broni!

Żegost uśmiechnął się tylko i wyciągnął nóż zza pasa. W drugą rękę wziął swój kostur, długi na trzy czwarte człowieka. W jednym jego końcu wyrzeźbiony był otwór z drewnianym występem. Żegost wsunął weń rękojeść noża i powstała w ten sposób dzida zawiąną parę razy, aż zagwizdało.

— A ot, nie musiałbym wcale podchodzić. Zresztą, widzisz, dobry człowieku, kiedy wciąż jest się w drodze i zawsze wśród obcych, trzeba umieć posłużyć się każdą bronią, jaka się nadarzy. Choćby zydlem.

Schował nóż i siadając znów na ławie, wydobył z zanadru fajkę.

— Ech, będzie, co ma być — westchnął po chwili Blizbor. — Byle znaleźć to Gadające Drzewo, a dalej, jak los zdarzy.

— Wiem o nim tylko tyle, co mi mówiono — odparł Harsz. — Że rośnie już na ziemi stolinów, nad przepaścią, od naszej strony gór. Po prawdzie, mówi się też, że kto je usłyszy, temu już śmierć pisana.

— Każdemu śmierć pisana, nie dziś, to jutro — burknął Żegost. — Chyba że myślisz żyć wiecznie, jak leśne boginki.

— Toż nie mówię, żeby go nie szukać. Będzie, co ma być.

— Ano, będzie — powtórzył Blizbor.

Tak rozmawiali całymi dniami. Każdego ranka zaś, nim zjedli śniadanie, wychodzili najpierw przed chatę i wyglądali niecierpliwie wiosny.

Jakoż zbliżała się ona szybko. Słońce przygrzewało coraz silniej, zmieniając pola i drogi w nieprzebyte trzęsawiska, woda pociekła z osikowych gontów. Wkrótce też spod śniegu

strzeliły pierwsze zielone pędy, Na ten widok zupełnie już nie mogli usiedzieć w obejściu i zimowe próżnowanie dłużyło im się coraz bardziej. Zwłaszcza Harsz ledwie mógł się doczekać, aż ruszą.

Nim to jednak nastąpiło, czekała go jeszcze jedna próba. Pewnego dnia bowiem, gdy Blizbor spał po obiedzie, a Żegost swoim zwyczajem tkwił przy uchylonym oknie, jakby czegoś wypatrywał w oddali, Sternwarz przez pachółka wezwał Harsza do swej komory.

Gdy wszedł, gospodarz siedział za stołem z zasepioną twarzą. Przed nim leżała jego włócznia. Klingę okrywał drewniany pokrowiec, wyrzeźbiony na końcu w kształt niedźwiedziej głowy: Długie, sięgające stojącemu człowiekowi niemal do ramienia ratyszczce było aż poczerniałe ze starości. Zdobiły je głębokie ryty w kształcie gałęzi drzewa, znikające pod skórą spowijającą nojzry.

Każdy wojownik oddałby pół życia za taką włócznię. Włócznia! Nie tylko Harsz o niej marzył. Płatnerzy, mieszkających z dala od ludzi, w niedostępnych borach, było już wtedy niewiele. Bo też nie lada trzeba mocy, żeby chwytać czarem demony i zaklinać je w rozpalone w piecu ostrze. Że ostrza te kuto przez wiele pokoleń, po wielokroć zakopując je na kilka lat w bagnistej ziemi i odkuwając za każdym razem na nowo, aż z żelaznej sztaby powstawała cienka i ostra klinga, kunszt płatnerza przechodzić mógł tylko na jego synów. Nie zawsze jednak syn dziedziczył po ojcu moc, toteż choć każda włócznia warta była majątek, zdarzały się wśród nich silniejsze i słabsze, zależnie od mocy demona, który mieszkał w broni. Niełatwo było posiadać włócznię, bo oddając nieocenione usługi prawowitemu właścicielowi, każdemu innemu, kto odważyłby się jej użyć, przyniosłaby niechybną zgubę. Biada temu, kto ośmieliłby się zabrać cudzą broń, nie znając słowa, którego użył przy zaklinaniu płatnerz. Włóczni nie można było znaleźć ani zdobyć, można ją było otrzymać od prawowitego właściciela, a i wtedy należało umieć się z nią obchodzić, bo obrażony w czymś demon potrafił się srodze zemścić w najbliższej potrzebie.

Włócznia Sternwarza, od wielu pokoleń pozostająca w jego rodzie, nie należała może do najpotężniejszych, ale demon w niej mieszkający miał wielką siłę. Nieraz obronił ojców Sternwarza i jego samego przed złym. Harsz wiedział o tym dobrze. Wpatrywał się w leżącą broń wzrokiem pełnym nie tajonego zachwytu. Gospodarz tymczasem targał w zamyśleniu wąsy, wreszcie odezwał się w te słowa:

— Nie miałem nigdy czasu i ochoty, żeby znaleźć sobie żonę. Rodzice pomarli, brat zginął gdzieś w szerokim świecie... Nie mam komu zostawić gospodarstwa. Upatrzyłem cię sobie, pokochałem jak syna i tak sobie umyśliłem, że ty właśnie weźmiesz po mnie wszystko. To obejście, srebro, ziemię, ród... i Ją.

Harsz milczał, wciąż przyglądając się włóczni.

— Patrz — powiedział gospodarz i chwycił sękatą dłonią za drzewce. Drugą zaczął ściągać z główki pokrowiec w ten sposób, że jego dłoń szła cały czas po ostrej krawędzi klingi, znacząc ją krwią. Tak właśnie należy czynić, jeśli chce się pokazać komuś włócznię i nie obrazić przy tym demona odsłanianiem jej na darmo.

Zanim zdjął pokrowiec do końca, rękę miał głęboko przeciętą, ale nie syknął nawet ani nie drgnęła mu twarz. Pochylił ostrze przed twarzą Harsza.

Było długie i szerokie jak klinga miecza, rozszerzone u nasady w kształt półksiężyca. Od drzewca aż po sztych miało stal gładką i lśniącą jak zwierciadło, tylko na samym dole, przy nojzrach, biegł w poprzek główki runiczny napis, jaki często ryli na broni dawni płatnerze: „Dano ci wielką moc”.

Tylko chwilę trzymał Sternwarz włócznię przed Harszem, po czym zaraz uniósł ją i zamachnąwszy się kilka razy, żeby strząsnąć z klingi krew, nałożył pokrowiec.

— Po cóż mi ją pokazujesz? — spytał wreszcie Harsz.

— Bo jest to stara broń, od wielu pokoleń należąca do mojego rodu. Przyjmę cię za syna i powiem Słowo, które nią rządzi. Będiesz chodził z nią na wyprawy i jeśli Dola nie odwróci

się od ciebie, zdobędziesz sławę, jaką ja mógłbym się cieszyć, gdybym w młodości więcej miał rozsądku.

Sternwarz westchnął ciężko i odstawił z czcią włócznię na miejsce.

— Przyjmę cię do swego rodu, choćby jeszcze dziś, jeśli tego zechcesz. Lecz pamiętaj że wtedy ja przejmę nad tobą ojcowską władzę. Chcę jej po to tylko, by uchronić cię przed nieszczęściem, którego nawet nie przeczuwasz. — Wyprostował się nagle, spoglądając spod przyciętej równo z brwiami, konopnej czupryny srogim wzrokiem. — Wyrzec się tej niedorzecznej wyprawy! Uwierz mi. Tamtych dwóch niewiele znam, choć ich polubiłem; niech ich spotka, o co się proszą. Ale ciebie miłuję jak syna. Nie powtórzę tego więcej. Wybieraj: zostań ze mną albo odejź stąd na zawsze.

Harsz pochylił głowę i zasłonił twarz dłońmi.

— Czemu? Czemu? Czy ty sam nie chodziłeś w młodości za góry, czy nie przyniosłeś stamtąd sławy i łupu?

— Za góry — tak. Idź choćby dziś. Ludzka moc, ludzkie sprawy. Ale na wszystkie moce puszczy, trzymaj się z dala od jaskiń!

— Powiedz mi... Wiesz więcej od nas...

— Wiem! Bodajbym zginął! I nie pytaj mnie, lecz uwierz. To nie jest ludzka moc i kto z ludzi jej tknie, ten sam sobie śmierć pisze!

— Śmierć pisana każdemu — powtórzył Harsz bezwiednie słowa Żegosta.

Sternwarz pochylił się i bez słowa usiadł ciężko na ławie.

— Wybierz.

— Kocham cię bardziej niż rodzonego ojca. Nie śmiałem marzyć, byś przyjął mnie do rodu — odrzekł mu Harsz po długim namyśle. — Ale tej wyprawy nie mogę się wyrzec. Za późno już. Gdy wrócę...

— Odejź — powiedział głucho gospodarz.

— Gdy wrócę, pierwsze kroki skieruję do ciebie — dokończył Harsz, patrząc na zwieszoną głowę gospodarza.

* * *

Nikt nie potrafi popędzić biegu czasu, tak jak i nie może go wstrzymać, toteż, choć bardzo już sobie przykrzyli Sternwarzowe obejście, chcąc nie chcąc musieli czekać, zanim pola i ścieżki obeschną. Dni upływały im powoli na nużących zajęciach, aż przyszła pora, w której kmiecie wychodzą obsiewać pola. Wtedy zaczęli zbierać się do drogi.

I pewnego ranka zbudzili się równo ze wschodem słońca, przepelnieni tą jedną myślą: czas ruszać. Sakwy podróżne i wszystko, co mogłoby się przydać w drodze, czekało już na nich w izbie. Poprzedniego dnia złożyli bogom ofiary na skraju puszczy, ale że nie było przy nich żadnego żerca, nikt nie mógł powiedzieć, pod jaką wróżbą przyjdzie im odchodzić. Szczerze mówiąc, samo to, że skończyła się zimowa beczynność i wreszcie ruszają w zamierzoną od dawna drogę, napełniło ich taką radością, że niewiele dbali o wróżbę i poszliby, jakby nie wypadła.

Jeden Żegost, dla którego wędrownica była chlebem powszednim, nie stracił zwykłego spokoju. Harsz i Blizbor natomiast nie potrafili ukryć poruszenia, kiedy powoli, z nalezną powagą zasiadali do ostatniego przed wyprawą posiłku.

Nie musieli szukać Sternwarza. Choć słońce nie zdążyło jeszcze wznieść się ponad las, nie spał i on. Wszedł do izby i usiadł z nimi przy stole, czekając w milczeniu, aż skończą jeść.

— Wiem, że nie żał wam rozstawać się ze mną — rzekł zmęczonym głosem, zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć. — Nie przecie. Trudno, wiele bym dał, żebyśmy mogli pożegnać się inaczej, ale nie w ludzkiej mocy zmieniać, co Dole zrządziły. Nie waszą winą jest to wszystko, więc niech wam się szczęści w drodze, choć nie wierzę, byście wrócili.

— Chciałbym wywdziękzyć się wam za gościnę, gospodarzu — powiedział Żegost powstając zza stołu. — Nie mam srebra ani innego dobra, wiem zresztą, że nie tego wam trzeba. Nie dano mi wielkiej mocy, ale bądźcie tego pewni, że los będzie sprzyjał temu obejściu i póki te ściany nie spróchnieją, nie zagości w nich głód ani choroba. Może spotkamy się jeszcze i będę was mógł lepiej wynagrodzić. Na razie przyjmijcie i to.

— Polubiłem was i żał mi się rozstawać, ale taki już porządek rzeczy — odpowiedział gospodarz.

Skłonili się i uściskali sobie prawice, uważając, by w takiej chwili nie uczynić żadnego złego ruchu ani nie odezwać się nierozważnym słowem.

— I ja nic nie mam, co mógłbym wam podarować — rzekł Blizbor. — Ale będę zawsze dobrze wspominać wasze imię i głosić waszą zacość. Pozwólcie, że zostawię u was swą lutnię. Nie będzie mi potrzebna w drodze. A jeśli nie powrócę, co może się stać, każdy inny gędziarz weźmie ją od was za dobrą cenę, bo jest to stary instrument i otrzymałem go od sławnego Hrewoda Berży. Dziś nie ma już mistrzów, którzy umieliby sporządzić podobny.

— Gdybyście nie wrócili, nie oddam go nikomu, lecz zachowam jako drogą sercu pamiątkę po was — odparł gospodarz. Po czym podszedł do Harsza i nie pozwoliwszy mu odezwać się słowem, uściskał go w milczeniu, tak jak żegna się rodzzonego syna.

Pobrali z ław swoje rzeczy, przypasali sakwy i jeden po drugim wychodzili z izby, przyklękając w progu z pochyloną głową i dotykając go trzykrotnie prawą dłonią. Ruchy ich były powolne, odmierzone i pełne powagi.

Żegost ruszył pierwszy i nie czekając towarzyszy, szedł równym krokiem przed siebie, patrząc przy tym w miejsce, gdzie niebo styka się z ziemią. Blizbor natomiast wyszedł izby ostatni, przede wszystkim dlatego, iż bał się w duchu, aby Harsz, dla którego była to pierwsza w życiu wyprawa, nie odezwał się czasem albo nie obejrzał za siebie, co mogłoby ściągnąć na nich złą wróżbę. Ale Harsz, nie zdając sobie nawet sprawy z obaw Blizbora, szedł spokojnie. Nieraz już widział wojów wyruszających na wyprawę i wiedział dobrze, jak się przy tym należy zachować.

Szli tak w ciszy przerywanej tylko świegotem ptaków i głosami lasu, aż zagłębili się w gęsty bór i stracili z oczu Sternwarżowe dworzyszczce. Wtedy Żegost zatrzymał się na chwilę, aby poczekać na towarzyszy. O ile przedtem twarz miał poważną, i skupioną, o tyle teraz nie próbował nawet ukryć pogody, jaką napełniało go rozpoczęcie wędrówki. Oczy skrzyły mu się z radości, gdy spoglądał to na Harsza, to na Blizbora. Oni też uśmiechnęli się wreszcie i choć nadal nic nie mówili, nie było w tym nic z tamtego, obrzędowego milczenia. Po prostu wiedzieli dobrze, że wszyscy myślą to samo i słowa nie były im potrzebne.

W końcu Żegost obrócił się na pięcie i ruszył dalej, podpierając się kijem. Uniósł głowę i nagle zaśpiewał na całe gardło:

O, miła, już wiosna, miłości to czas,
Hej, nonny, ninny, nonny!
Nie czekaj, nie zwlekaj, pocałuj choć raz...

— Hej, nonny, nonny, hej! — zakrzyknął razem z nim Harsz, który nie mógł oprzeć się wesołej piosence.

Bo droga daleka i ruszać już czas,
A ptaki śpiewają dokoła!
Więc przytul i nie broń mi siebie w ten czas —
dopóki na miłość jest pora!

O, miła, któż pozna, co pisze mi los,

Hej, nonny, ninny, nonny!
Czy przyjdzie mi zginąć, czy pełny mieć trzos,
Hej, nonny, nonny, hej!

Blizbor przez dłuższą chwilę usiłował ich uciszyć szarpaniem za ramiona, a gdy zauważył, że niewiele tym wskóra, z rozmachem strzelił Harsza w plecy, aż chłopak potknął się i poleciał w krzaki. Umilkli.

— Słuchaj no — powiedział gędziarz ze złością. — Jemu, jak widziałem, nawet większe głupstwa uchodzą na sucho, choć nie wiem, jak to robi. Ale tobie nie radzę tracić rozsądku. Nie idziemy na jarmark i nawet jeśli ten włóczęga ma jakieś specjalne względy u złęgo, to nas z pewnością nie będzie Dola oszczędzać. Tfu! — splunął za siebie, kreśląc w powietrzu chroniące przed urokiem znaki.

Harsz z jękiem gramolił się z krzaków, trzymając rękę na obolałych plecach.

— Przesadzasz, gędziarzu — śmiał się Żegost. — Oszczędzaj lepiej swoich pięści, bo mogą ci się jeszcze przydać.

— Bodajbyś pękł! Nie dość mi było wędrować z szaleńcem jedno lato! Gdybym miał trochę rozumu, uciekłbym na twój widok i nie zatrzymał się aż za rzeką!

— Pewnie, pewnie. Tylko gdybyś miał trochę rozumu, nie byłbyś gędziarzem... — Żegost umilkł w pół słowa i w jednej chwili uśmiech znikł mu z twarzy.

Od lasu rozległo się nagle przeciągłe, bolesne wycie. Zamarli, wrośnięci w ziemię, patrząc po sobie, aż wycie zmieniło się w skowyt i ucichło. Chwilę jeszcze nasłuchiwali w skupieniu, ale bór znowu był spokojny.

— Wilk? — wyszeptał w końcu poblady z przerażenia Harsz, nie czekając wcale odpowiedzi. Każdy mieszkaniiec puszczy zbyt dobrze znał ten głos, żeby choć przez chwilę w to wątpić.

— Bodaj was! — zawołał Blizbor ze złością. — Piękna wróżba! Wiedziałem od samego początku, że jak nie jeden, to drugi ściągnie nam na głowę jakieś nieszczęście!

— Bądź cicho — powiedział Żegost z powagą, w głosie. Nie wyglądał na przerażonego, raczej na zadumanego głęboko. Spoglądał w las i w zamyśleniu wyłamywał palce u rąk.

— Sam bądź cicho — mruknął Blizbor. — Jeżeli zaraz zaczniesz mi dowodzić z tym swoim głupim uśmiechem, że kiedy wilk wyje w środku wiosennego dnia, nie ma w tym nic sprzecznego z porządkiem rzeczy, to, na Swarga, zawiążę ci ten kij na szyi.

— Spróbuj, jeśli sądzisz, że potrafisz. Ale ponieważ cię lubię, dam ci dobrą radę, byś tego poniechał. I zamiast tracić na próżno ślinę, znajdź sobie na chwilę jakieś pożyteczne zajęcie. Najlepiej przegryź coś, będziesz miał zatkaną gębę. Niech pomyślę.

— Myśl, myśl — mruczał do siebie Blizbor. — Może ci włosy powyłażą z łepetyny. Będziesz mógł przystać do żerców, tylko boję się, że szybko by cię przegnali...

Żegost potoczył wzrokiem po lesie, mimowolnie sięgając ręką do piersi.

— No co? — zapytał i obrócił się. — Chcecie zostać tu na popas?

Harsz poruszył się niepewnie.

— Idziemy dalej?

— A co, chcesz wracać? Chodź, on musi sobie powyrzekać, ma takie dni.

— Może lepiej wrócić, póki czas — burknął Blizbor. — Pójdziemy z nowym księżycem.

— Na tę samą wyprawę nie idzie się nigdy dwa razy. Poza tym nie próbuj odczytywać znaków. Nawet żercy często ich nie rozumieją.

Blizbor podniósł się ciężko. Złość go nie opuszczała, ale nie mógł w duchu nie przyznać Żegostowi racji.

— To musiał być znak — odezwał się Harsz, gdy ruszyli.

— Z pewnością — skinął głową Żegost. — Podziwiam twoją bystrość. Mógłbyś z nią zostać estarońskim hofradem.

Harsz wprawdzie nigdy nie słyszał o estarońskich hofradach, ale wyczuł przymówkę z samego tonu, przyspieszył więc kroku i obiecał sobie więcej się nie odzywać.

— Mnie tam wszystko jedno — powiedział po jakimś czasie Żegost, który szedł wciąż koło niego. — Ale ty możesz się zmęczyć. Bagniska i węże! Skończmy z tym wreszcie. Nie bierz tak sobie do serca tego, co ja albo Blizbor gadamy czasem, żeby nam w gębach nie pozasychało. Świat cały pełen jest mniej lub bardziej dziwnych znaków, tylko że nie urodził się jeszcze taki, co umiałby je wszystkie dostrzec i pojąć. I całe szczęście, bo gdyby człowiek wiedział, co ma się zdarzyć, usechłby z nudów albo udławił się własnym sadłem. Przyznam, że nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć w porze siewu wilczego wycia i chętnie dowiem się, co to może znaczyć.

— Bylebyś mógł jeszcze potem z tej wiedzy korzystać. Co by to nie znaczyło, nie wróży nam dobrze. — rzekł Blizbor. — Ale dwie rzeczy powiedziałeś rozsądnie. Raz, że idziemy za szybko, a dwa, że gdybyśmy teraz wrócili, to nie pójdziemy w góry już nigdy. Przyznaję. Jednak warto by przynajmniej złożyć demonom jakieś obiady...

— Już to zrobiliśmy. Zresztą, mógłbyś ofiarować lutnię, gdybyś nie zostawił jej u Sternwarża. Ja swojego kija nie dam.

— Umiesz tylko kpić, a tu licho wie, co nas czeka.

— Będę się martwił, gdy przyjdzie na to pora. Do stu piorunów, całą zimę obrastaliśmy tłuszczem, nie mogąc się doczekać wiosny, a kiedy wreszcie przyszła, wlecemy się ponuro jak na wiecowy sąd.

— Zaczynj znowu śpiewać, a naprawdę przetrzęc ci grzbiet — powiedział Blizbor, co znaczyło, że złość zaczęła mu mijać.

Poprzednia wesołość jednak już im tego dnia nie wróciła. Do południa szli leśną ścieżką, później skorzystali z szerszej, bitej drogi, by wkrótce, gdy odpoczęli trochę i posilili się, skręcić ponownie w las. Mogli wprawdzie iść bitą drogą aż do przełęcz, jak to robiły wszystkie wyprawy z tych stron, ale zyskując w ten sposób na wygodzie, szliby co najmniej o dwa dni dłużej.

— Podgórskie lasy nie są ani w części tak trudne do przebycia, jak puszcza w Swarm czy Harlongu — namawiał Żegost. — A skórznie można będzie wieczorem wysuszyć przy ogniu.

Nie sprzeciwiali się, choć Blizbor żałował w duchu, że omijają przez to rozrzucone wzdłuż gościńca osady i gospody, gdzie mógłby dostać trochę grosza za gęźbę. Nawet bez lutni potrafił bowiem mówić wystarczająco ciekawie, zwłaszcza jak na tę, odległą od rodzinnego Ranżnaru okolicę. Trochę srebra w pasie z pewnością by nie zaszkodziło, tym bardziej że mógłby za nie kupić w Kneszy czarnego koguta na ofiarę.

Zostawiając zatem z dala ludzkie osady, kierowali się wprost ku Górom Stolinów.

Rozmawiali niewiele, bo w drodze niezbyt to szło. Żegost w ogóle zdawał się zapominać o swych towarzyszach. Szedł przodem tak pewnie, jakby znał las lepiej od żbików, przyglądał się drzewom, a czasem podchodził do nich i gładził palcami ich korę. Mruczał przy tym coś pod nosem, uśmiechając się do swych myśli. Harsz i Blizbor wlekli się za nim ponuro, wciąż dręczeni wspomnieniem wilczego wycia, i usiłowali zgadnąć, co ich czeka.

W końcu, krótko przed zmierzchem, zatrzymali się nad brzegiem szerokiego, rwącego strumienia. Choć zebrane wprędce gałęzie były mokre, Żegost rozpałił ogień z taką łatwością, że zdziwiło to nie tylko Harsza, ale i znającego go lepiej Blizbora.

— Ot, wprawa — odpowiedział i wyciągnął ku ognisku przemoczzone nogi. — To w sumie żadna sztuka, jeśli człowiek wie, jak się zabrać do rzeczy. Byle tylko ogień nie zgasł w nocy. Przypilnuję go pierwszy, potem obudzę kogoś z was.

— Po prawdzie, ja mógłbym stróżować całą noc — rzekł Harsz i sięgnął do sakwy z jedzeniem. — Czuję, że nie zmrzę dziś oczu.

— A jutro będziesz spał w drodze. Jak sobie chcesz — mówił Żegost, podając mu wędzone mięso. — Jedźmy, póki jest co. Na razie mamy gdzie odnowić zapasy, ale za Kneszą zaczną się pustkowia.

Sam dał dobry przykład, wchłaniając chleb i mięso, jakby nie jadł od jesieni. A że Blizborowi i Marszowi apetyt też dopisywał, wkrótce większa część zawartości sakw znalazła się w ich brzuchach, zapita tego piwem z bukłaków.

Tymczasem ściemniło się i na rozgwieżdżonym niebie zaświecił wąski sierp księżyca. Żegost wyciągnął się na trawie, podłożył sobie tobołki pod głowę i kurzył fajkę. Blizbor, pełen błogości, nucił coś pod nosem, z palcami splecionymi na brzuchu.

— Ciekawe, co siedzi w tych drzewach — zastanawiał się na głos Harsz, wpatrzony w ciemną ścianę lasu po przeciwnej stronie strumienia. — Teraz wydaje mi się, że trzeba było jednak wcześniej zajść do trzemu.

— Oszalałeś, dobry człowieku — mruknął Żegost. — Najbliższą świątynię masz o cztery dni drogi, dokładnie w przeciwną stronę. Zanudziłbym się na śmierć, czekając na twój powrót.

Harsz pokręcił głową.

— Naprawdę, ty masz chyba u duchów jakieś specjalne względy, że tak sobie ze wszystkiego drwisz. A człowiek chodzi po świecie i nawet nie wie, czy nie ściga go jakiś czar.

— Lepiej nie mów o czarach, skoro idziemy w góry — powiedział Blizbor.

— Dajcie spokój — Żegost uniósł się leniwie. — Ciągłe musicie się czymś martwić. Doprawdy, niedługo zaczniecie się bać własnych cieni.

— Wystarczy, jeśli ty się nie będziesz lękał, swojego. Chociaż pewnie jest równie stuknięty jak i jego pan i nie wiadomo, czego się po nim spodziewać.

— Dość w życiu widziałem cudów, żeby wiedzieć, czego się naprawdę trzeba bać. A kiedy mam pełny brzuch i taki piękny las dokoła, to nawet czary stolinów nie wydają się zbyt straszne. Spójrzcie na te obłoki...

Blizbor nic nie odpowiedział. W głębi ducha uważał jednak, że w Żegoście siedzi coś z głupka. Jakiż rozsądny człowiek zachwyciłby się, tak jak to często czynił Żegost, że drzewa rosną, słońce świeci, a niebo jest błękitne. A jakżeby inaczej?

— O tych czarach stolinów dużo u nas mówią — ciągnął Harsz. — Chociaż nie wiem, co ludzie mogą na ten temat wiedzieć, skoro omijają jaskinie z daleka. Po mojemu i u nas są przecież wieszczycy i stuhy, których mocy nic się nie może oprzeć, a ludzie jakoś żyją. Mam zresztą w pasie kły niedźwiedzia, które dostałem od ojca, a to podobno najlepsza ochrona przed urokiem.

— Nie przed każdym — powiedział Żegost. — Noś je po puszczy, ale u stolinów na wiele ci się nie przydadzą.

— Czemu? — stropił się Harsz.

— Bo każda moc jest inna. Widzisz, dobry człowieku, wszystkie czary wzięły się od bogów. Inne dano leśnym boginkom, inne stolinom, a jeszcze inne ludziom. Bywają wśród ludzi tacy, którzy znają wszystkie te moce, mędrzy, jak ich zwą w Estaronie. W każdym razie nie tak dawno słyszałem o jednym, a oni żyją bardzo długo. Ponoć ich wiedza idzie od samego Swarga, bo udzielił jej ludziom, którzy pomagali mu w walce z Nienazwanym. Jest ich zawsze tylko dwóch — mistrz i jego uczeń. Ale gdzie się podziewają i co robią, tego nikt nie wie. W każdym razie, jak świat światem, noga żadnego nie postąpiła w naszych borach.

— A stuhy i wieszczycy? — spytał Blizbor. — Nie powiesz chyba, że nie mają mocy?

— Owszem, lecz ich czary nie są tak potężne, choć zupełnie wystarczą, żeby zwykłego człowieka zgubić ze szczętem. Po części czary ludzi skutkują i przeciw demonom, nie na tyle, żeby je pokonać, ale żeby uchronić się przed ich złością.

— Ludzi się nie boję — Harsz bezwiednie sięgnął po leżący opodal topór. — Ale z czarami nigdy nie wiadomo, co może przeciw nim najlepiej pomóc. Zwłaszcza, jeśli naprawdę u stolinów ludzka moc na nic.

— Nie wiem sam, jak to jest. W grotach stolinów nie było dotąd żadnego człowieka, w każdym razie takiego, który by stamtąd powrócił. Może być i tak, że ich siła niewiele jest w stanie nam zrobić.

— Gaszron Mocarny — rzekł Blizbor — jak mu wieszczycy chciała zadać ścienia, to ją zdzielił przez łeb i tyle.

— Tylko że to był Gaszron Mocarny, a nie Blizbor gędziarz. Zresztą, na takie czary też trudno się ze stolinami mierzyć. Widziałeś ten jego toporek?

Owszem, widział. Potrafił nawet, jedyny z nich, podnieść go, ale zdyszał się przy tym solidnie. Harsz zamyślił się.

— Musiał być potwornie silny, że dowlókł się do nas z tyloma ranami. Brr! Nie chciałbym się spotkać z tym, co go tak poszczerbił.

Patrząc na ścianę lasu, za którą gdzieś w oddali leżały góry Stolinhregdu, poczuł się nagle Harsz mały i bezsilny, jak nigdy dotąd. Czary, których nie pojmował, potężne topory, których nawet nie potrafił unieść, broje nie przepalające się w ogniu. Ogarnął go jakiś chłód i po raz pierwszy doszła do niego myśl, że postąpił jak szaleniec, decydując się bez chwili namysłu na tę wyprawę.

„Będzie, co ma być” — powtórzył sobie w duchu, ale nie dodało mu to jakoś otuchy. Bezwiednie sięgnął dłonią do pasa, gdzie zaszyte miał swoje kły niedźwiedzia.

Żegost podszedł do niego, jakby przejrzał myśli chłopaka, i położył mu dłoń na ramieniu.

— Nie czas się martwić — powiedział głosem, w którym Harsz wyczuł jakieś dziwne ciepło. — Nie wszystkie czary szkodzą ludziom, ale o tych dobrych mniej jeszcze wiemy niż o złych.

— Nie martwię się — odparł Harsz. — Ale z tymi niedźwiedzimi kłami nie myślę się rozstawać. Może jednak i w górach nie tracą swej mocy.

— Niedźwiedzie są potężne, owszem — mówił Blizbor — i nawet niektóre demony się ich boją. Ale są i ludzie, którzy potrafią je oczarować. Opowiadał mi pewien kupiec, że widział takich w Estaronie. Chodzą z niedźwiedziem po osadach, a on ich słucha i nawet tańczy, kiedy mu zagrają.

— Głupstwa gadasz — burknął Żegost. — W tym nie ma żadnych czarów.

— To weź dudy i poszukaj kóregoś. Chciałbym wiedzieć, jakby z tobą zatańczył.

— Głupstwa gadasz, jak to zwykle gędziarze. Znam i ja tych niedźwiedników. Cały ich sekret w tym, że porywają misia z barłogu i od małego trzymają u siebie. Jak jest jeszcze młody i słaby, stawiają go na rozpalonej blasze, a kiedy drobi łapami, przygrywiają mu na bębnach i piszczałkach. Toteż potem, kiedy niedźwiedź słyszy muzykę, z samego nawyku skacze i przebiera nogami, jakby tańczył. Ot, całe ich czary.

— Powtarzam tylko, co mi mówiono — mruknął Blizbor i wzruszył ramionami.

— Coś jednak musi tych ludzi chronić, jeśli ich nic złego za to nie spotyka — rzekł, nie do końca przekonany, Harsz.

— Tamtejsze lasy ani się umywają do naszej puszczy — powiedział Żegost pojednawczo.

— Więc może być, że niedźwiedzie nie mają tam takiej mocy, jak u nas. Dość tego, spójrzcie na księżyc. Czas spać. Ja dopilnuję ognia.

Pokładli się przy ognisku, ale sen długo jeszcze nie przychodził. Noc była rześka, chłodnawa, spokojny szum lasu mieszał się z pluskiem strumienia. Długo, długo w noc trapiły Harsza ciemne myśli, zanim pieśń lasu ukołysała go wreszcie do snu.

Po północy Żegost obudził go, przykazując pilnowanie ognia, po czym rzucił się na posłanie i zasnął natychmiast. Wkrótce jednak musiał się podnieść, targany za kaftan przez Harsza.

Poderwał się natychmiast, trzymając w dłoni obnażony nóż. Rozglądał się chwilę, po czym spojrzał na chłopaka ze zdziwieniem. Ten bez słowa pokazał mu świecące w gęstwinie oczy. Lśniły dokoła jak dalekie pochodnie, błyskając to tu, to tam.

Żegost westchnął ciężko, schował nóż i ponownie położył się na posłaniu.

— Zapomniałem ci powiedzieć — rzekł. — Dlatego właśnie ogień nie powinien zgasnąć. Póki płonie, żadne zwierzę się do nas nie zbliży. A następnym razem budź Blizbora, niech i on trochę postróżuje.

Harsz nic nie odpowiedział, choć otwierał już usta. Pochylił tylko głowę i starał się nie zwracać uwagi na jarzące się wokół ślepia. Poznawał je doskonale. Były to oczy wilków.

* * *

Rankiem pierwszy podniósł się Żegost. Obudził Harsza i nakazał mu gestem milczenie.

— Patrz — szepnął. — Obawiałem się o ciebie, a spójrz. Blizbor, który trzymał straż jako ostatni, spał w najlepsze, pochrapując głośno nad kupą jeszcze ciepłego popiołu.

Podkradli się cicho i chwyciwszy go zniemacka za ręce i nogi, powlekli wrzeszczącego i szarpiącego się do strumienia.

— Niech to cię nauczy rozumu — powiedział Żegost, gdy prychnął i klnąc na czym świat stoi, Blizbor gramolił się z wody. — Całe szczęście, że wciąż jeszcze jesteśmy w swoich stronach, bo gdzie indziej, kto wie, czy w ogóle byśmy się dziś obudzili.

— Bodaj was — stękał gędziarz, wyzymając ubranie. — Zmogło mnie dopiero nad ranem, jak już było jasno... Dobrze mi za głupotę, dobrałem sobie kompanię... Tfu, żeby was bagna...

W gruncie rzeczy jednak sam przyznawał Żegostowi słuszość.

Jak to później mówił Blizbor, chociaż droga trwa długo i wcale się wędrującemu nie przykrzy, trudno o niej równie długo opowiadać, nie nużąc słuchacza. Szli wciąż przed siebie, czasem przedzierając się przez gąszcze, czasem przesieką lub łąkami, z rzadka tylko mijali uprawne pola i ludzkie obejścia, bo tu, blisko gór, kraj zaludniony był słabo. Dość będzie powiedzieć, że trzeciego dnia dotarli do Kneszy. Była to niewielka osada, leżąca na rozstaju trzech dróg. Jedna z nich prowadziła do Harlongu i nią właśnie przyszliby wędrowcy, gdyby nie wybrali skrótu przez las. Druga, wiodła do granicznej rzeki, na której kończyła się władza estarońskich królów, a zaczynał Sleng, trzecia zaś wspiniała się ku górcom, do przełęczycy stolinów, przez którą przechodziło się do królestwa Orwanu. Ta droga była najwęższa i najbardziej wyboista. Kupcy jadący do stolinów chętniej wybierali inny szlak, wiodący z Harlongu, toteż z gościńca korzystano ledwie dwa razy do roku: na wiosnę, kiedy wojownicy ruszali na wyprawy, i jesienią, kiedy z nich powracali, jeśli było im to dane. W dawniejszych czasach zdarzało się też, że nadjeżdżali nią ze wschodu Orwańczycy, chcąc pomścić się za ciągłe napady Slengan. Dlatego osada, choć mała w porównaniu z innymi, otoczona była tęgim i trudnym do zdobycia wałem. Ale od wielu już lat nie zdarzyło się słyszeć na tej drodze tętentu koni i wieńczący wał częstokół mocno już spróchniał, zwłaszcza że niezbyt dbano o jego naprawę.

Zabawili w Kneszy niedługo, nie mając tam za bardzo czego szukać. Dokupili jedynie chleba, piwa i wędzonego mięsa, przenocowali w gospodzie i zaraz następnego ranka ruszyli w dalszą drogę.

W Kneszy zbyt dobrze wiedziano, jak wygląda wyprawa lub karawana kupiecka, żeby nie dziwić się widokowi trzech tylko ludzi bez zbroi i wozów, z których żaden nie miał włóczni, a jeden nawet topora. Skądinąd jednak nie wyglądali oni ani na wędrownych kramarzy, ani na traczy, chajdajów czy kotlarzy. Szczęściem, kiedy Żegost rzucił w gospodzie ćwierć srebrnego skojca, starczyło to za wszystko i nikt nie zadawał im więcej pytań. Tylko gdy już wychodzili, strażnik z jakimś jednym jeszcze człowiekiem spoglądali za nimi ze zdziwieniem,

zauważywszy, że wędrują w stronę przełęczy. W końcu jednak wzruszyli ramionami i wymieniając między sobą jakieś uwagi na ten temat, schowali się w bramie.

Za Kneszą nie było już obejść, a jedynie czasami na łagodnych stokach pagórków widywali pasterskie szałas. Samych pasterzy spotkali jednak tylko raz, ale jedynie pogadali z nimi krótko, co słyhać w świecie, i poszli dalej. Dowiedzieli się, że przed nimi przeciągnęła już jedna wyprawa, licząca koło trzydziestu włóczy, a pewnie wkrótce przejdzie i parę innych, bo jak mówiono jesienią, Orwańczycy tak już są przyciśnięci przez Vorgów, że zupełnie zaniechali jakiejkolwiek straży przy przełęczach i jeszcze tylko w większych grodach bronią się jako tako. Pasterze przebąkiwali też, że w górach rozrabia jakieś лихо, stada parę razy spłoszyły się bez wyraźnej przyczyny, i radzili, by w drodze mieli się na baczności.

Gościniec piał się coraz bardziej pod górę, czasem opadając nagle lub skręcając, tak że wędrowka stawiała się powoli męcząca. Blizbor, Harsz i Żegost szli jednak szybko, popasając tylko raz w ciągu dnia i nie zatrzymał ich nawet krótki, ale rześisty deszcz, który spadł na drugi dzień po ich wyjściu z Kneszy.

Po tym deszczu wyjrzało znów słońce i rozwiały się chmury, zasnuwające od kilku dni niebo. Toteż rankiem trzeciego dnia drogi ujrzeli wreszcie cel swojej wędrowki.

Potężne Góry Stolinów wyrastały wysoko ponad horyzont, spiętrzone zwłaszcza na lewo od drogi. Szczyty skrzyły się w słońcu czapami śniegu, spod których wystawały szarawe, masywne bloki skał, poszarpanych w nierówne linie bliższych lub dalszych grani i uskoków. Zdawało się, że od tej potężnej masy kamienia bije jakaś szczególna i groźna siła.

Stali dłuższą chwilę w milczeniu i przyglądali się poszarpanym skałom, gdzie mieli spotkać swój los. W końcu Blizbor westchnął ciężko i szarpiąc wąsy, przemówił:

— Oby nam się powiodło. Bliżej już niż dalej. No, teraz tylko znaleźć to drzewo, o którym pisał Ihord.

— Nie widziałem nigdy tych stron — powiedział Harsz — ale poznaję szczyty, o których mi opowiadano. Na prawo od tego, podobnego do brodatego starca w kapturze, jest przełęcz. W lewo zaś spływa strumień, który wpada do przepaści skalnej, biegnącej najpierw wzdłuż drogi, spomiędzy tych dwóch szczytów, a potem skręcającej w prawo, ku dalszym górcom. Nad nią, po drugiej stronie, powinno stać to właśnie drzewo.

— To zgadza się z tym, co ja wiem — skinął głową Żegost. — Od tej szczeliny zaczynają się ziemie stolinów.

— Pomyśleć — ciągnął, kiedy ruszyli w dalszą drogę — że tylu ludzi przechodziło już tą drogą, a żaden nie skręcił z niej, tak jak my to zaraz zrobimy. Ot, góry ledwie o parę dni drogi, a jakby były dalej niż Askiburion, gdzie mieszkają estarońscy królowie.

— Nikt nie widział powodu, dla którego miałby tam iść. Puść tą drogą Sternwarza, przejdzie sto razy i ani pomyśli o czymś takim.

— Kto tam wie, gdzie on kiedy chodził — przerwał im Harsz. — Daj mu spokój, przez wzgląd jeśli nie na gościnę, której nam udzielił, to na mnie.

— Nie mówię o nim nic złego. Ale nie zaprzeczysz chyba, że nie należy on do ludzi, którzy rozpoczynają wędrowkę, jeżeli nie znają jej celu...

— Dzisiejszy nocleg spędzimy jeszcze przy drodze — powiedział Żegost, żeby zmienić temat rozmowy — ale jutro z niej zejdziemy. Spróbujemy pokonać rozpadlinę opodal ciernistego gaju, obchodząc go od północy.

Chwilę szli w milczeniu. Harsz przygryzał wargi, tarł dłonią policzki i zastanawiał się nad czymś, wreszcie zapytał:

— Powiedz mi coś, Żegoście. Czy żyją tu wilki?

Z twarzy Żegosta znikł uśmiech.

— Tak — odparł. — Czemu pytasz?

— Nie chciałem, żebyś śmiał się ze mnie jak wtedy, przy pierwszym ognisku. Widzisz, gdy byłem jeszcze chłopcem, лихо mnie wyciągnęło nocą do lasu i trafiłem na wilka. Całą

noc przesiedziałem na drzewie, zanim nie przepłoszyli go ludzie z osady. Od tego czasu wciąż mam w pamięci wilcze ślepie. Poznam je zawsze, od pierwszego spojrzenia. I możesz mówić, co chcesz, ale widzę je w mroku co noc.

— Ogień ściąga zwierzęta — powiedział Żegost spokojnie.

— To prawda. Ale jest już wiosna, wilcze stada powinny się dawno rozproszyć. A widzę ich zawsze kilka... — zawahał się na chwilę. — Jakby nas śledziły. Takie mam wrażenie, jakby nas śledziły.

Żegost patrzył przed siebie wzrokiem, z którego nic nie można było odczytać.

— Więc co? — spytał.

— Nic. Mówię po prostu, co zauważyłem. Nie wydaje mi się to normalne.

Żegost zdjął kij z ramienia i w zamyśleniu stuknął jego końcem w przydrożne kamienie.

— Masz rację — powiedział wreszcie, ponownie zarzucając kij na ramię. — I ja również to spostrzegłem. Nie zbliżają się do nas, ale wciąż kręcą się w pobliżu. Dziwne. Sam nie wiem, jak to rozumieć.

— Wilki! Na Swarga, i dopiero teraz o tym mówicie — jęknął Blizbor. — Dobrałem sobie kompanię...

— Nie mówiłem wam o tym, bo nie wiedziałem, co to może oznaczać...

— Słuchaj no, włóczęgo — zezłościł się gędziarz. — Jeśli masz nas za durniów, powiedz od razu. Rozstaniemy się w zgodzie. Myślałem, że jest nas trzech, a tu się okazuje, że każdy idzie sam i nic drugiemu nie powie. Bagniska i węże!

— Nie sierdź się, dobry człowieku. W końcu nic złego nam nie robią, a tak się przestraszyłeś tego wilczego głosu na początku drogi...

— Sam raczyłeś zauważyć, że nie należy za bardzo się przejmować tym, co człowiek gada czasem, żeby mu w gębie nie zaschło — burknął Blizbor. — Nie rób tego na przyszłość.

Tak jak mówił Żegost, tę noc spędzili jeszcze w pobliżu gościńca. Las nie szumiał tu jak w dolinie, za to przyjemnie szemrały małe strumyki, których pełno było dokoła, a z dala dochodziły głosy zwierząt. Harsz, który pełnił rolę jako ostatni, wsłuchiwał się w te dźwięki z lubością, odnajdując w nich tony przyjemne, płynące na człowieka jak balsam przeciw złym myślom.

Było jeszcze ciemno, choć już blisko do świtu, gdy w pieśni lasu dosłyszał nagle dziwny daleki odgłos. Ocknął się i uświadomił sobie po dłuższej chwili, skąd go zna. Słyszał ten dźwięk tylko raz, przed laty, kiedy przybył do ich wioski posłaniec komesa Ranżnaru. Był to tętent konia. Co najdziwniejsze, dobiegał nie od drogi, ale z głębi lasu.

Senność pierzchła bez śladu. Harsz sprężył się i nasłuchiwał, ale tętent ucichł już w oddali i nie powtórzył się więcej. Rozmyślał nad tym do świtu, aż w końcu nabrał pewności, że tylko zmamiły go nakładające się na siebie głosy lasu. Toteż kiedy rankiem budził towarzyszy, nie wspominał im o tym nocnym przesłyszaniu ani słowem.

* * *

Gościńiec wspinał się ku przełęczy, pokonując coraz to bardziej strome wzniesienia. Kilka mil przed nią odchodziła ścieżka używana czasem przez handlujących ze stolinami kupców. Nie była ona zbyt długa; prowadziła tylko do rosnącego na skraju ziem stolinów lasu. Znajdowała się tam duża polana, na której po przybyciu kupcy rozpalali ognisko i czekali, aż na ten znak przyjdą do nich górskie karły. Harsz i jego towarzysze, przebywając całą zimę z dala od osad, nie mogli wiedzieć, iż poprzedniego roku zdarzyło się kilku karawanom czekać tam po parę tygodni zupełnie na próżno. Powiedziano by im o tym w Kneszy, gdyż była to rzecz zupełnie dotąd nie spotykana i rozprawiano o niej w tamtejszej gospodzie przez wiele wieczorów, ale że nie chcieli zdradzać przed obcymi celu swej wędrówki, więc nie pytali o nic, co by wiązało się ze stolinami.

Blizbor, Harsz i Żegost nie szukali jednak kupieckiej polany, ale Gadającego Drzewa. Toteż znacznie wcześniej porzucili gościniec i skierowali się na przełaj ku szczelinie przez kamieniste zbocze, porośnięte gęsto skłębioną kosodrzewiną. Nie była to łatwa droga, bo ludzie nie chodzili tędy nigdy, a zaszli już na wysokość, na której gruba zwierzyna pojawiała się rzadko. Toteż, choć Żegost jakimś sobie właściwym zmysłem potrafił wyśledzić przejścia w jednolitej na pozór gęstwinie, w niektórych miejscach musieli wyrąbywać sobie drogę toporami, co bardzo opóźniało marsz. Kiedy indziej z kolei wypadali na stoki nie wiedzieć czemu zupełnie gołe, porośnięte jedynie krótką, niedorosłą jeszcze po zimie trawą.

W pewnym momencie, kiedy zaszli już daleko w głąb gór, natknęli się na pnie ściętych drzew. Nie zauważyliby ich pewnie, gdyby nie Żegost. Długo oglądał pieńki, po czym orzekł, że zrabano je jedenaście lat temu.

— Rozumiem, że można poznać wiek drzewa — poskrobał się w głowę Blizbor. — Ale suchego pniaka?

— Patrzysz i nie widzisz — zaśmiał się Żegost. — Spróbuj rozejrzeć się dokoła.

— No i co? — spytał Blizbor po rozejrzeniu się.

— Ano to, że tuż obok rośnie drzewko o rozdwojonym pniu. Ścięto je nieco wyżej od tych, czy było silniejsze, dość że odżyło i rosło dalej. Starczy policzyć gałęzie, żeby wiedzieć, kiedy to było.

— Jedenaście lat — zastanawiał się na głos Harsz. — Jedenaście lat temu, to było właśnie wtedy, gdy Sternwarz ostatni raz poszedł na wyprawę.

— Podobno kiedyś na nie chodził, ale gdy się go o to spyta, zachowuje się jak ten tu — Blizbor wskazał głową na Żegosta — jeśli chcesz z niego wyciągnąć, czemu nie osiadzie gdzieś i nie znajdzie porządnego zajęcia, tylko ciągle włóczy się po puszczy jak poćpiega. To znaczy udaje głuchego.

Żegost w skupieniu przyglądał się okolicznym trawom i krzewom, jakby nie słyszał słów Blizbora. A może nie słyszał ich naprawdę.

— Niewiele wiadomo o tej wyprawie — ciągnął Harsz. — On jedyny z niej powrócił i niewiele mu brakowało do śmierci. Nigdy nie chciał mówić... — Harsz nagle z rozmachem strzelił się prawą ręką w czoło. — Na Swarga! Gdzież ja mam głowę! — zawołał.

— Na oko na swoim miejscu, choć trudno w to uwierzyć.

— Posłuchajcie, przypomniałem sobie: tę wyprawę prowadził właśnie Ihord Horży. Tak mi mówiono.

Nawet Żegost oderwał się od przepatrywania lasu i przez chwilę przyglądał się Marszowi.

— Ano, tak — powiedział kiwając głową. — Czegoś takiego się właśnie spodziewałem. Być może to byli właśnie oni. Wy nie widzicie pewnych znaków, gdyż dawno już zarosła je świeża zieleń, ale tych, którzy wyrąbywali tu sobie drogę przez gąszcz, było wielu. Nie powiem wam dokładnie ilu, ale na pewno ponad cztery dziesiątki. A to znaczy, że szlak, który wybraliśmy, dokądś prowadzi — odetchnął nagle głęboko i w oczach na moment rozpały mu się dziwne ognie. — No, chodźmy dalej. Może już niedługo dowiemy się znacznie więcej.

* * *

Droga stawała się coraz trudniejsza. Chwilami trzeba było się pięć po stromych ścianach, z ledwością czepiając się dłońmi i stopami nieznaczących występów wśród kamieni, kiedy indziej zaś złączyć z gary na złamanie karku. Ale mimo tego szli szybciej niż po drodze i prawie się nie zatrzymywali. Opuściło ich jakoś zmęczenie i głód, a im wyżej się pięli, tym bardziej rozpałało się w nich to coś, czego, może poza jednym Blizborem, nie umieliby nawet nazwać, a co przygnało ich tu ze spokojnej, puszczańskiej krainy. Nawet Żegost nie potrafił ukryć tego rozgorączkowania, tym bardziej że ani przez chwilę nie wierzyli, żeby ta wyprawa była podobna do innych.

Jakoż przedzierając się tak poprzez gąszcz i skały, dotarli wreszcie do rozległej, kamienistej płaszczyzny, skąpo porośniętej trawą. Na jej skraju gęstwa kosodrzewiny kończyła się nagle, jak ucięta nożem.

Tuż przed nimi biegła przez równinę, niby zygzak pioruna, szeroka rozpadlina. Wstrzymując dech, zatrzymali się na jej skraju. Blizbor przyklęknął i spojrzał w otchłań, ale zaraz musiał się cofnąć, gdyż od widoku nie mającej dna przepaści o gładkich ścianach zakręciło mu się w głowie.

— Bogowie — wysapał. — W życiu nie widziałem czegoś podobnego.

— Jakby ziemia rozpekła się aż do samego korzenia — dodał Harsz. — Niepojęta moc musiała to uczynić.

— Sam nie wiem — Blizbor spoważniał nagle. — I my mamy przejść tę otchłań? Doprawdy powariowaliście. Ostatni raz dałem wam się przekonać...

Rozejrzał się na boki, ale w obie strony szczelina ciągnęła się dalej, niż sięgał jego wzrok, jak gdyby nigdzie nic miała końca. Tylko w jednym miejscu po obu jej stronach piętrzyły się kamienne szczątki.

— Trzeba teraz wracać aż do kupieckiej polany. Po kiego czorta schodziliśmy z drogi?

— Nie — odezwał się milczący dotąd Żegost. Jego głos brzmiał dziwnie, jakby nagle zaschło mu z wrażenia w ustach. — Nie patrz w dół, ale przed siebie. Druga strona nie jest wcale tak daleko. Widzisz te kamienie, tu i po przeciwnej stronie? Jeszcze niedawno był tu most. Dobre miejsce do zahaczenia liny.

— Szalony człowieku! Niedaleko?!

Żegost nie odpowiedział, tylko wyciągnął zwój liny, skręcił kilkoma nerwowymi ruchami na jej końcu pętlę i podszedłszy parę kroków do przepaści, rzucił nią, mierząc w widoczne po przeciwnej stronie rozpadliny szczątki mostu.

Harsz milczał. Widok otchłani zachwiał jego pewnością siebie i w duchu chylił się do myśli Blizbora, żeby obejść szczelinę.

— Czekaj, Żegoście — powiedział i podszedł do niego, kiedy ten uparcie próbował zarzucić linę na kamień. — To nie jest prosta przeprawa. Poczekajmy z tym do jutra.

— Nie — powtórzył Żegost. — Trzeba się śpieszyć. Idziemy zaraz.

— Czekaj — poparł Harsza Blizbor. — On ma rację. Jesteśmy zmęczeni drogą, zresztą pamiętaj, że tam jest już kraj stolinów. Jeśli rozpalimy na noc ognisko, pewnie wkrótce tu przyjdą. Przyznam, że wolałbym najpierw porozmawiać z nimi przez tę przepaść. Nie jestem wcale pewien, czy gdy zastaną nas nagle na swojej ziemi, nie porozwalają nam łbów, nim zdążymy zipnąć.

— Źle mówię? — spytał po chwili, widząc, że Żegost nie zwraca na jego słowa najmniejszej uwagi. Zachowywał się jak w gorączce, oczy mu płonęły, a po każdym rzucie sięgał ręką ku piersi, jakby szukając czegoś pod kaftanem.

— Dobrze mówisz — odpowiedział, uspokoiwszy się na chwilę. — Nie wiem, co ci odrzec. Boję się. Tak, ja, Żegost, boję się i sam nie wiem czego. Rzadko mi się to zdarza, więc nauczyłem się już tego nie lekceważyć. Posłuchajcie mnie — rzucił jeszcze raz i wtedy udało mu się wreszcie, lina zawinęła się ciasno koło kamiennego bloku. Szarpnął ją kilka razy gorączkowo, a stwierdziwszy, że trzyma mocno, podbiegł do najbliższego drzewa. Z całych sił zaciągnął na jego pniu potężny węzeł. — Chodźcie. Będę spokojniejszy, gdy znajdziemy się po tamtej stronie..

— Posłuchaj, Żegoście — rzekł Blizbor i chwycił go za ramiona. — Dur cię naszedł. Naprawdę lepiej będzie spędzić noc tutaj. Patrz, po tamtej stronie nie ma nawet z czego rozpalic ognia.

— Na Swarga i wszystkich bogów! Biercie sakwy i przechodźcie! Prędeż! — Żegost chwycił swój kij i zawinął nim ze świstem nad głową. — Nie żartuję! Przechodźcie, póki nie dobyłem noża!

Nigdy go dotąd takim nie widzieli. Oczy miał rozszerzone jak od nagłego przerażenia i twarz zupełnie szaloną, aż się złękli.

Żegost pobierał szybko sakwy, które zdążyli już porozkładać, pod drzewami, i wcisnął im je, nagłąc do pośpiechu. Z każdą chwilą jego niepokój się wzmagał.

— Prędeż! — krzyczał trzymając się prawą dłonią za pierś. — Idź pierwszy! Nie patrz w dół!

Blizbor, choć nic nie pojmował, chwycił linę i zaczął się po niej gramolić na drugą stronę przepaści.

Nie była to łatwa przeprawa, nawet dla takiego osiłka jak on, zwłaszcza że ciążyły mu sakwy i przytroczony do pasa topór. Już w połowie drogi rozboleły go ręce i wciąż wydawało mu się, że zaraz odmówią posłuszeństwa.

„Byle nie patrzeć w dół” — myślał. Zacisnął powieki i zęby i uparcie posuwał się naprzód. Tymczasem Harsz, sam nie wiedząc, czy bardziej go ten widok zdumiewa, czy przeraża, przypatrywał się Żegostowi. Ten aż nie mógł ustać w miejscu. Przechodził bez przerwy po parę kroków to w tę, to we w tę stronę, spoglądając na przemian na Blizbora i na porastającą skraj przepaści kosodrzewinę.

Wreszcie Blizbor wyczuł przed sobą twardą ścianę. Otworzył oczy. Był przy występie. Z wysiłkiem podciągnął się na rękach i rozkołysawszy się na linie, zarzucił nogę na skalną krawędź. Chwilę potem stał już na niej i rozcierał, obolałe dłonie.

W tej samej chwili od strony gościńca, gdzie rozpadlina załamywała się nagle i ginęła za kosodrzewiną, rozległ się tętent. Potężniał z każdą chwilą, zwielokrotniony echem. Słysząc było, że galopujący jeździec zbliża się coraz bardziej.

Żegost, słysząc to, jakby się uspokoił. Wyprostował się, twarz mu spoważniała. Oderwał rękę od piersi, wyciągnął zza pasa nóż i nasadził go na koniec kija.

— Idź — powiedział do Harsza. — Prędko.

Była w tym rozkazie taka moc, że Harsz, nie tracąc ani chwili, ruszył przed siebie, kurczowo trzymając się liny. Starał się posuwać jak najszybciej, ale jednocześnie obracał się co rusz. Mimo iż stuk kopyt zbliżył się tak, jakby tajemniczy jeździec znajdował się tuż przy nich, nic nie mógł dostrzec.

Był już w połowie drogi, ręce poczęły mu mdleć, a jeźdźca nadal nie było widać.

I wtedy, niemal jednocześnie, wszyscy trzej zauważyli kamienie i piach pryskający spod kopyt galopującego konia. Na trawie i żwirze pozostawały zbliżające się coraz bardziej, wyraźne odciski podków. Nie było tylko widać wierzchowca ani jeźdźca.

Blizbor krzyknął z przerażenia, chwycił się dłońmi za uda, ale stojąc po drugiej stronie przepaści, nie mógł nic zrobić. Podobnie Harsz — obrócił się twarzą do Żegosta i bezradnie przyglądał się temu, co się działo.

Tymczasem wszystko trwało ledwie parę chwil. Żegost stał nieruchomo z nastawioną dzidą, poważny i skupiony, aż do chwili, gdy niewidzialny jeździec dopadł do niego. Coś przecięło ze świstem powietrze tuż koło głowy Żegosta i niechybnie rozplątałoby ją, gdyby w ostatniej chwili nie uskoczył nagle w bok, wyciągając lewą rękę przed siebie, w miejsce, gdzie powinna być uзда konia. Namacał ją i zanim jeszcze przebrzmiał krzyk Blizbora, ściągnął ku sobie. Koń stanął dęba, spod jego tylnych kopyt trysnął piach i kamienie, a z przerażającym rżeniem zmieszał się głośny krzyk Żegosta:

— Żered wahran! Worden!

Jakaś czerwona, świetlista poświata ogarnęła nagle walczących i w niej jak w obłoku dostrzegli wyraźnie rosłego konia w bogatej uprzęży, z potwornym pyskiem pełnym kłów. Dosiadał go jeździec niewiele przypominający człowieka, wielki, okryty krwawym płaszczem. Twarz jego była straszniejsza od wymalowanych w świątyniach wizerunków demonów, rozdęta, o wielkich ślepiach i buchających ogniem nozdrzach.

Żegost wyslizgnął się spod osłaniającego go przed ciosem końskiego karku i odskoczył sprawnie, czym zmusił jeźdźca do obrócenia się wraz z koniem. W krwawej poświacie jednak objawił im się w innej zupełnie postaci, niż go znali. Choć z pozoru podobny do siebie, zmienił się w krzepkiego, rosłego wojownika o siwych włosach i poranej bruzdami twarzy, jakby na szerokich barach niósł ciężar trudów setek lat życia. Z całej jego sylwetki biła jakaś jasna, nie znana im moc, tak silna, że patrzącym na tę walkę na moment otucha wezbrała w sercach.

Szkarłatny jeździec, widząc, że zmuszono go do przybrania widzialnej postaci, wydał z siebie potworny ryk, zawrócił konia i wznosił miecz do ciosu. W tej samej chwili Harsz, ocknąwszy się z odrętwienia, rzucił się najszybciej, jak umiał, ku Żegostowi.

Zanim jednak jeździec opuścił miecz, Żegost znów odskoczył na bok i wyprowadził błyskawiczne pchnięcie w jego nie osłoniętą zbroją pachę. Choć było tak szybkie, że ledwie zauważalne, jeździec zdołał go uniknąć, a widząc, że przeciwnik zanurkowawszy po ciosie pod koniem, pojawia się po jego drugiej stronie, pochylił się w siodle i lewą, nie uzbrojoną ręką sięgnął głowy Żegosta.

Ten zdążył jeszcze zasłonić się dzidą, ale kij, w chwili gdy dosięgła go ręka jeźdźca, rozprysnął się w płonące drzazgi. Dłoń potwora musnęła końcami palców włosy Żegosta, który osunął się na ziemię jak rażony piorunem. Żył jednak jeszcze, bo gdy przeciwnik znów zawracał konia, wznosząc miecz, przetoczył się kilka kroków i podniósł leżący na kamieniach nóż.

Miecz wznosił się już nad głową wędrowca, kiedy w kosodrzewinie rozległ się nagle potężny trzask. Koń wznosił się na tylne kopyta, co uniemożliwiło jeźdźcowi cios. Chwilę potem spośród drzew wyskoczył ogromny, czarny wilk o płonących zielonkawo oczach i rzucił się wprost na jeźdźca.

Ten jednak nie przyjął walki. Spiął wierzchowca i w jednej chwili ruszył pełnym galopem, wyrывая się z krwistego obłoku. Z każdym skokiem konia jego sylwetka blakła coraz bardziej, aż znikła zupełnie i tak jak poprzednio tylko pryskająca ziemia i ślady kopyt wskazywały miejsce, w którym się znajdował. Tak samo zszarzała i rozmyła się czerwona poświata na skraju przepaści. Tętent ucichł w oddali.

Tymczasem Harsz znalazł się na brzegu rozpadliny i przypadł do Żegosta leżącego bezwładnie z zaciśniętym w pięści nożem. Nie miał na ciele żadnych ran i patrzył przytomnie, ale nawet bezgłośnie poruszenie wargami przychodziło mu z trudem.

Ogromny, czarny wilk, ponad dwakroć większy od zwykłego, zatrzymał się nieruchomo kilka kroków od nich. Harsz, wpatrując się z przerażeniem w jego zielone ślepie, podniósł z ziemi Żegosta i przywiązał go do siebie pasem. W każdej chwili gotów był sięgnąć po topór, ale okazało się to niepotrzebne. Nie myśląc prawie, chwycił znów linę i zapominając o bólu rąk, ruszył na drugą stronę rozpadliny.

Wilk wciąż przypatrywał im się nieruchomo. Żegost z wysiłkiem uniósł głowę ponad ramię Harsza i spoglądając na swego wybawcę, poruszył wargami.

— Strzybog... — usłyszał Harsz jego szept, ale reszta słów uwięzła wędrowcowi w gardle i zamieniła się w charkot.

Odwrócony tyłem Harsz, nie widział, że w tej chwili wilk obrócił się powoli i znikł w kosodrzewinie. Blizbor, dotąd beczynnie obserwujący walkę, również nie zwrócił na to uwagi. W tej chwili bowiem dobiegł jego uszu charakterystyczny, ledwie słyszalny dźwięk. Z przerażeniem dostrzegł, że obciążona ponad miarę lina pęka tuż przy kamiennym występie.

Chwycił ją w ostatniej chwili, zapierając się nogami o kamień, i choć z trudem, utrzymał w dłoniach, naprężoną do granic wytrzymałości.

— Prędejj! — krzyczał, czując, że mimo rozpaczliwego wysiłku lina wymyka mu się z dłoni, drąc boleśnie skórę. — Prędejj, na Swarga!

Harsz pędził jak w gorączce, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje. Nigdy nie potrafiłby powiedzieć, jakim sposobem udało mu się dotrzeć do ściany przepaści i po chwyceniu dłoni Blizbora wydostać się na brzeg.

Upadli wszyscy trzej, dysząc ciężko. Ostatkiem sił Harsz rozplatał pas i odtoczył się na bok.

Dopiero po dłuższej chwili Blizbor pochylił się nad białą jak płótno twarzą Żegosta. Chwycił jego rękę. Była gorąca jak płomień.

— Kim ty jesteś, Żegoście? — pytał wpatrując się w niego z rozpaczą. — Kim ty jesteś?

Żegost nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko nieznacznie, po czym oczy uciekły mu w tył głowy i stracił przytomność.

* * *

Mieli jeszcze po drodze przeżyć niejedną ciężką chwilę, ale ta noc na pewno należała do najgorszych. Z trudem udało im się nazbierać w okolicy wyschniętych krzewów na skąpe ognisko. Wszystko jednak spłonęło, nim jeszcze księżyc wspiął się wyżej na niebie, a żaden nie miał odwagi oddalić się w ciemności więcej niż parę kroków od głazu. Nie zmrużyli oka ani na chwilę. Siedzieli w milczeniu w księżycowej poświacie; przypominali bardziej posrebrzone' posągi niż żywych ludzi. Kiedy jeden, natężając wzrok aż do bólu i trzymając na kolanach obnażony topór, przepatrywał okoliczne skały, drugi pochylał się nad Żegostem. Prócz cichego wycia wiatru panowała martwa cisza. Tak martwa, że z ulgą powitaliby jakikolwiek głos, choćby nawet wilcze wycie czy stukot kopyt.

Milczeli, tylko Żegost pojękiwał czasem. Nie trzeba było medyka, by widzieć, jak bardzo jest z nim źle, i wątpić, czy dożyje świtu. Trawiła go gorączka tak silna, jak to się zdarza tylko u konających. Rzucił się czasem, majaczył w jakimś nie znanym im języku, rozpalone ciało przeszywały dreszcze, a nieprzytomny wzrok wznosił jeszcze bardziej lęk o jego życie. Kiedy indziej znowu opadał na posłanie, które wymościł mu z własnych płaszczy, i tylko ciężki, chrapliwy oddech świadczył, że wciąż jeszcze walczy ze śmiercią.

W każdym załamaniu cienia na skalnym zboczu widzieli skradającego się karła, a w wyciu wiatru zdawały się co chwila odzywać końskie kopyta, szczęk broni czy stłumione nawoływania.

Ale były to tylko złudzenia. Nikt nie zbliżał się do nich, nic nie mąciło ciszy. Wreszcie, po tej najdłuższej nocy w ich życiu, niebo zaczęło blednąć i ponad górami pojawiło się słońce.

Żegost żył jeszcze i nawet zdawało się, że gorączka powoli go opuszczała, wciąż jednak był nieprzytomny. Blizbor raz jeszcze opatrzył go dokładnie, ale nie znalazł żadnej rany —prócz kilku zadrapań od upadku na kamienie. Wtedy też dostrzegł na szyi Żegosta amulet.

Pomyślałby, że zrobiono go z kawałka obtopionego drewna, gdyby drewno mogło stopić się w ogniu, zamiast spłonąć. Wryto na nim drzewo o trzech pniach w wieńcu dębowych liści. Blizbor znał ten znak. Nic nie mówiąc, ostrożnie schował naszyjnik pod kaftanem wędrowca.

Całą noc milczeli, gdyż jakiś wrodzony rozsądek zabraniał im mówić o wszystkich, tak bliskich niebezpieczeństwach. Dopiero nad ranem Blizbor, widząc, jak Harsz wlewa w usta chorego ostatnie krople wody z bukłaka, odezwał się znużonym, chrapliwym głosem.

— To już na nic. Żaden człowiek nie przeżyje takiej gorączki.

— Żaden człowiek nie zdołałby pewnie podjąć walki z niewidzialnym jeźdźcem — odparł Harsz. — Póki oddycha, jest nadzieja.

Jakoż w istocie, Żegostowi nie było spieszo umierać, choć przyjaciółom każde jego tchnienie wydawało się ostatnim.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i Blizbor, zostawiwszy Harsza przy Żegoście, odważył się wreszcie odejść od przepaści w poszukiwaniu wody. Wrócił po długim czasie, przyniósł pełne

bukłaki i kilka wiązek drewna. W ciszy spożyli skąpe śniadanie. Cos przecież musieli jeść, a w sakwach pozostało im żywności tylko na jeden, najwyżej dwa posiłki.

Ponure milczenie towarzyszyło im przez cały dzień. Trochę przypominało to zimową bezczynność, tyle że wtedy siedzieli w ciepłym, bezpiecznym obejściu, a serca radowały im się myślą o zamierzonej wyprawie. Teraz w duszach zalegało kamienne zwątpienie, a gardła dławił strach przed niepojętą mocą, z którą przyszło im się spotkać. Od czasu do czasu spoglądali smętnie na zwieszającą się z drugiego brzegu w głąb przepaści linę, wraz z którą zerwała się ich więź z tamtym Światem.

Dopiero pod wieczór humory poprawiły im się nieco. Gorączka trawiąca Żegosta wyraźnie zmalała, oddech wyrównał mu się i chociaż wciąż ich nie poznawał, z wolna odzyskiwali nadzieję, że wyżyje. Potrzeba jednak było jeszcze jednej bezsennej nocy, spędzonej z toporami w dłoniach, żeby odzyskali chęć do rozmowy.

— Zdawało mi się, że nie ma w puszczy i na świecie mocy, o której bym nie słyszał — mówił gędziarz, przypatrując się wstającemu słońcu. — Wiem wiele o leśnych boginkach, o wilach, strzygoniach, rożenicach, utopcach i o demonach, których imion lepiej człowiekowi nie wymawiać. Ale o czymś podobnym nie słyszałem nigdy. Nawet Estarończycy, u których podobno spotyka się czasem stwory najstraszniejsze ze wszystkiego, co żyje na świecie, nie mówili nigdy o niewidzialnych jeźdźcach.

— Gdy niosłem Żegosta — rzekł Harsz — powiedział on jakieś imię. Nie wiem, kogo ono oznacza, ale wolę go nie powtarzać.

— I lepiej tego nie rób. Zdaje mi się, że potrafię to imię zgadnąć, bo wśród potężnych demonów, tych, które zasiadają w drugim kręgu siły, jest jeden, co zwykł objawiać się w postaci czarnego wilka. Ale niewiele to wyjaśnia sprawę, gdyż ten demon, o ile wiem, równie jak inne jest wrogi ludziom. A gdyby nie ten wilk, strach pomyśleć, co by się stało.

Gędziarz zadumał się.

— Kto by to nie był, przyszło nam stanąć twarzą w twarz z mocą, o której lepiej nawet nie myśleć. Bodaj piorun strzelił tego stolina, nim dotarł do Sternwarżowego dworzyszca.

— Bodaj mnie piorun strzelił, nim zachciało mi się tej wyprawy. Gdyby nie moje słowa, nie byłoby tego wszystkiego. Bogowie, czuję, że powinniśmy wracać do puszczy, póki jeszcze żyjemy. Jakoś już odechciało mi się złota stolinów.

— Wracać? Za dużo już przeszliśmy. Mniejsza już o ich skarby. I ja nie widzę drogi przed sobą, ale nie zawrócę, choćbym miał iść sam — westchnął ciężko. — Żeby tylko Żegost doszedł do siebie... Teraz rozumiem, że bez niego cała ta wyprawa tyle by miała sensu, co rzucanie kamieniami w niebo.

Harsz wsparł głowę na drzewcu topora.

— Teraz, gdy o tym myślałem, wydaje mi się, że niejedna moc miesza się w nasze sprawy. Jakby była jednak jakaś potęga, która chce, byśmy dotarli do celu wyprawy.

— Ja też tak sędzę — odparł Blizbor. — I myślę też, że jesteśmy już na ziemiach, którymi rządzą inne siły niż puszcza. Doprawdy nie wiem, czy będą one dla nas przychyłne.

Harsz tylko zacisnął dłoń na swoich niedźwiedzich kłach.

— Jeśli dane nam będzie przeżyć do następnego księżyca, może będą z was jeszcze ludzie. Tylko słuszniej byłoby rzec, że to my miesza się w sprawy obcych a potężnych mocy.

Po dwóch nieprzespanych nocach każdy myśli wolniej niż zwykle, toteż potrzebowali dłuższej chwili, aby dotarło do nich, że słowa te powiedział Żegost. W mgnieniu oka przypadli do niego z radosnym krzykiem.

Oczy miał otwarte i przytomne, choć brakowało w nich zwykłej wesołości. Gorączka już go opuściła. Był tylko bardzo słaby i kiedy mówił, musieli obaj milknąć, żeby usłyszeć jego słowa.

— Dajcie spokój, dobrzy ludzie — rzekł wreszcie, gdy już dali upust radości. — Na Swarga, wolałbym być ściskany przez niedźwiedzie... Uff — uniósł się z trudem z postania. — Lepiej byście okazali swą wesołość, dając mi cokolwiek do zjedzenia.

Resztki zapasów zniknęły błyskawicznie, gdyż Harsz i Blizbor też już nie mogli powstrzymać skrecającego ich głodu. Nie było tego wiele, więc raczej tylko oszukiwali brzuchy wodą z bukłaków.

— Trzeci dzień, mówicie — zastanawiał się Żegost. — To niemożliwe, żeby stoliny o nas nie wiedziały. Dawno już powinny tu być.

— Prędzej czy później je spotkamy. I wcale się do tego nie palę.

— Może i tak — zgodził się Żegost. — Przykro mi, że z mojego powodu zmarnowaliśmy tyle czasu. Jutro trzeba będzie ruszać dalej.

— Dokąd? — spytał Harsz.

— Do Gadającego Drzewa, jeśli umiesz je znaleźć.

— Prawie już o tym zapomniałem. Ale powinno być gdzieś blisko.

— Właściwie warto by ruszać już — Żegost oparł się o kamień i przymknął oczy. — Ale wybaczone mi, dobrzy ludzie, nie czuję się najlepiej. Bogowie... już mnie paliły płomienie. Długo żyję, ale nigdy jeszcze nie miałem tak blisko do niewiadomych stron...

— Co to było, Żegoście?

— Co to było? Sam do końca nie wiem, domyślam się tylko. To był ten, którego nie spotyka się dwa razy, poseł śmierci. Masz szczęście, że nie zdążyłeś dopaść krawędzi... zginąłbyś, nim zdążyłbyś to zauważyć. Za wszystkie skarby, jakie są na świecie, nie chciałbym go spotkać po raz wtóry...

— Powiedz jeszcze — zawahał się Blizbor. — A ten wilk?

— Bogowie! Kim by nie był, czcij go do końca życia, bo wszyscy tylko jemu je zawdzięczamy. Dajcie mi zresztą spokój. Człowiek ledwie wrócił z tamtego świata, a tu tylko pytania i pytania. Prędzej czy później dowiemy się wszystkiego albo przestanie nas to obchodzić.

Żegost, powiedziawszy to, odwrócił się i ułożył wygodnie.

— W życiu jeszcze nie czułem się tak zmęczony. Nie chce mi się nawet nabić fajki, a to naprawdę rzadko mi się zdarza. Jeśli chcecie mnie jeszcze o cokolwiek pytać, musicie z tym poczekać do jutra.

Chwilę potem spał już głębokim, zdrowym snem, którego nie odważyli się przerywać.

Słońce chyliło się już ku kosodrzewinie, ale nie dotrwali nawet do zmroku. Błogi spokój i ulga, jaką poczuli, zmorzyły ich tak, że nie rozpalając ognia, pokładli się byle gdzie i zasnęli niemal natychmiast.

Blizbor mówił potem, że choć nie było w tym nic niezwykłego po ostatnich przejściach, sen ten nie wydał mu się normalny. Plątały się w nim jakieś cudowne wizje, ciepła gospoda i ogień na palenisku, a zarazem był tak kojący, że następnego ranka nie czuli już ani śladu zmęczenia.

* * *

— No, wstawajcie już, dobrzy ludzie — obudził ich wesoły głos Żegosta. — Zawsze mówiłem, że wśród bogów musi być przynajmniej jeden taki, który rozmiłował się w głupcach. Nie wiem tylko, czy nie zeżłości się w końcu na nas, bo jak dotąd przysparzamy mu kłopotów ponad miarę. W każdym razie warto, byście mu podziękowali, bo równie dobrze mogliśmy się obudzić bez głów.

Słońce stało już wysoko, a od ogniska rozchodziła się miła woń pieczonego mięsa. Czując ją, nie mogli uleżeć ani chwili.

— Spokojnie, dobrzy ludzie — śmiał się Żegost, ściągając pieczeń z rożna i dzieląc ją. — Nie zróbcie sobie krzywdy. Starczy dla wszystkich na solidne śniadanie.

Jedli łapczywie, napełniając skręcone głodem kiszki, i dopiero gdy z całej uczyty zostały jedynie ogryzione do czysta kości, Blizbor, sieknąwszy ciężko, rozłożył się na kamieniu i rzekł:

— Niech mnie piorun spali, jeśli nie jesteś cudotwórcą. Skąd, na wszystkie moce świata, wzięłeś to wszystko?

Żegost zaśmiał się serdecznie. W ogóle cały tryskał radością, jakby wszystko, co się zdarzyło, było tylko snem.

— Ano stąd, gędziarzu, że stoliny nie mają zwyczaju polować na swych ziemiach i nietrudno robić to za nie. W każdym razie pochlebiam sobie, że jestem mniejszym głupcem od was, bo nie straciłem najpiękniejszego poranka, jaki tylko można zobaczyć w górach.

— Miałem dziwny sen — odezwał się Harsz i podobnie jak przyjaciele wyciągnął się z dłońmi splecionymi na brzuchu.

— Co tam sny... — zamruczał leniwie gędziarz.

— Śnił mi się człowiek ubrany w czern, wielki i potężny. Biło od niego strachem, zwłaszcza z jego oczu. Płoneły jakimś takim... zielonym blaskiem, sam nie wiem, jak je opisać... — tu przerwał, bo przypomniał sobie nagle, gdzie już widział te oczy.

— I co?

— Nic. Stał nade mną i bałem się go, ale potem spłynęła na mnie z jego spojrzenia jakaś ulga...

— Dajże spokój — przerwał mu Żegost. — Poranek już przespaliście, więc nacieszcie przynajmniej oczy widokiem zieleni, bo dalej będziemy oglądać tylko skały.

Wyciągnął z zanadrza swoją fajkę, nabił i przypalił wyciągniętym z ogniska węglem.

— Ech — westchnął, posmakowawszy dymu. — Świat cały się cieszy. Jak możecie tego nie widzieć?

— Wesoło ci dzisiaj, Żegoście.

— A pewnie. Mało wam jeszcze powodów do radości? Widać trzeba już być jedną nogą w płomieniach, żeby umieć docenić tę radość, że się żyje. Myślę sobie teraz, iż z naszą sprawą nie jest tak źle. Doprawdy, jak można się martwić w taki piękny, wiosenny dzień?

— A ta lina — powiedział Blizbor i wskazał głową drugi brzeg przepaści. — Chyba już tam zostanie na zawsze. Gdyby ktoś nas chciał szukać, zostawiliśmy po sobie piękny ślad.

— Tym, co mogliby nas tu szukać, takie ślady nie są wcale potrzebne — powiedział Żegost, nie przestając się uśmiechać. — Ale Harsz dobrze powiedział. Jest moc, która chce, byśmy dotarli do celu swej drogi, jaki by on nie był. Dobrze pocieszyć się tą myślą. — Znasz tę moc?

— Myślałem nad dalszą drogą — ciągnął Żegost. — Jeśli mamy szukać Gadającego Drzewa, trzeba nam iść skrajem szczeliny, w przeciwną stronę niż do kupieckiej polany. Tam urwisko wznosi się i przy dobrej pogodzie widać z niego przełęcz. Jeśli więc Harsz dobrze mówił, gdzieś tam musi to drzewo rosnąć.

— Myślę — powiedział gędziarz — że może lepiej i bezpieczniej byłoby iść wprost do jaskiń i niech się dzieje, co ma się dzieć.

— Sądziysz, że znajdziesz w górach wielką bramę, a przy niej rotę stolinów wskazujących drogę? Gdzie będziesz szukał wejścia do jaskiń? Jeśli stoliny będą chciały, znajdą nas. Dziwne, że dotąd się nie pokazały, ale nie ma co łamać sobie głowy.

Pogadali jeszcze trochę, aż ognisko wypaliło się do cna. Potem Żegost wystukał fajkę o kamień, popatrzył smętnie na resztki tytoniu pozostałe w kapciuchu i cała trójka przewyciężając błogość, jaka zdjęła ich po posiłku, zaczęła zbierać się do drogi.

Bez żalu zostawili miejsce, w którym spędzili tyle czasu. Wkrótce też ślady ogniska zniknęły im z oczu. Żegost, jak zwykle, szedł pierwszy i pogwizdywał cicho pod nosem.

Droga wzdłuż przepaści nie była trudna, czasem tylko przychodziło przeciskać się po ścieżce tak wąskiej, że jeden nieostrożny krok mógł wystarczyć do stoczenia się w bezdenną otchłań.

* * *

Słońce już się zniżyło, kiedy Żegost zatrzymał ich i pokazał na drogę za nimi.

— Widzicie?

— Widzę — rzekł wreszcie Blizbor, wpatrując się długo w dał. — Choć gdybyś mnie nie uprzedził, niczego bym nie dostrzegł.

Pomiędzy głazami widać było odległą, nie większą od mrówki postać.

— Idzie naszym śladem. Jeśli poczekamy tutaj, znajdzie nas przed wieczorem.

— Tak, widzę i ja — powiedział Harsz. — Jednak nie mogę poznać, czy to człowiek, czy stolin, czy jakieś inne lichy. Ale pewnie się nie pomylę, gdy powiem, że wreszcie znaleźli nas gospodarze tej ziemi.

— Kto by to nie był, w każdym razie nie czuję przed nim lęku, a to już dobry znak. Ale lepiej będzie, jeśli spotkamy się za dnia. — Sylwetka znikła za skałami, które dalej miały ją zasłaniać aż do miejsca, gdzie stali. Żegost skinął na przyjaciół: — Wróćmy parę kroków. Pamiętam po drodze miejsce, które doskonale się nada na to spotkanie.

Po jakimś czasie przysiedli wśród kamiennego usypiska. Spiętrzone skały tworzyły tu niewielką kotlinkę, której środkiem biegła ścieżka. Idąc nią, zostawiało się za plecami ukrytą wśród głazów niszę. Schowali się w niej, aby poczekać na nieznajomego.

Usłyszeli wreszcie jego kroki. Żegost podniósł się i wyszedł na ścieżkę. Stał na niej chwilę, po czym nagle roześmiał się wesoło.

— Witaj, dobry człowieku. Uważaj i na razie nie idź dalej, bo moi towarzysze gotowi ci z rozpędu obciąć głowę, zanim ją poznają.

Nieznajomy nie był stolinem. Na kamienistej ścieżce stał rostry wojownik w lekkiej zbroi z wielokrotnie zszywanego płótna, wzmocnionej żelaznymi ćwiekami. Na głowie lśnił mu slengański hełm z szerokim okapem, a na rękach stalowe harnasze. W prawej dłoni trzymał okrytą pokrowcem włócznię, a na pierś, zwieszała mu się bojowa maska, malowana w barwy Astarhów. Nawet jednak, gdyby zakrywała twarz, Harsz rozpoznałby go od razu po włóczni.

— Sternwarz! — zawołał radośnie i opuścił topór.

— Uff — odetchnął gospodarz, ogarniając ich wzrokiem. — No, więc jak dotąd, życie jeszcze wszyscy, Chwała puszczy... Dajcie spocząć, od kupieckiej polany gonię was niemal bez odpoczynku.

Usiadł na kamieniu, położył włócznię na kolanach i sięgnął po przytroczony do pasa bukłak.

— Już was prawie oplakałem — powiedział pociągnawszy łyk — kiedy zobaczyłem tę zwisającą w przepaść linę, bo chyba się nie mylę, że to wasza robota. Ale widzę popiół, czyli przynajmniej jeden wyszedł cało, ciekawe który? No i goniłem was, aż się zdyszałem. Cud, że was jeszcze zdążyłem dopaść. Gnam od Kneszy jak kozica. Chyba gdzieś po drodze wyrosły wam skrzydła.

Podniósł się i rozejrzał, czując na sobie pytające spojrzenia.

— Poczekajcie — rzekł. — Mam wam wiele do powiedzenia, owszem, ale pora jest sposobna, żeby poszukać miejsca na nocleg. Trochę znam tę okolicę, więc pozwólcie, że poprowadzę.

* * *

Zapadła już noc i księżyc powoli wznosił się ponad góry. Siedzieli wokół ognia w niewielkim zagajniku, u stóp rozłożystego dębu. Błaski płomieni skrzyły się na lśniących

ćwiekach zbroi, migotały na twarzy i włosach Sternwarża, błyszcząły na złożonym pod drzewem obok włóczni hełmie.

— Wicowaliśmy długo — snuł opowieść gospodarz — ale mało kto mnie słuchał. Zresztą za bardzo się nie sprzeciwiałem. Młody wtedy byłem, krew we mnie grała, w nas wszystkich... A może nas ten karzeł jakoś oczarował... Ludzie mówią, że od stolinów trzeba się trzymać z dala, bo władają nie pojętą dla człowieka mocą... tak to pewnie było. Powinniśmy na jego widok od razu zawrócić do domów. No bo jak to, stolin na drodze, siedzi, jakby tam na nas czekał? Ponoć one umieją zgadywać przyszłość i wiedzą o wszystkim, co się dzieje, nawet daleko od gór... Miał na sobie złotą zbroję, jak ten, co przylazł do mojego obejścia. Tylko że u niego cały pancerz nabijany był klejnotami. Oczy nam wyłaziły na to bogactwo, wszyscy aż cmokali z zachwytu. Ot — Sternwarż zamyślił się, targając, sumiaste wąsy — i daliśmy się poprowadzić jak woły. Zamroczyło nas to jego gadanie niby stary miód... Skarby, moc złota, klejnotów, bierzcie, co chcecie. Tylko ręką sięgnąć, tak. A tu, wiecie, jednemu powódź pole zmyła; innemu bydło zmarniało, zresztą, toż szliśmy na wyprawę, po łupy. Nawet jak w obejściu wszystko w porządku; kto by nie wolał jeść ze srebrnych mis niż z drewnianych. Ja wolałem. Skarby, bodaj by je piorun spalił! No, zapalili się wszyscy. Ihord najbardziej. Mało ze skóry nie wyskoczył. Wy go nie znaleźcie, ale co to był za człowiek! Tak właśnie jak Harsz mówił. Tylko mu ślepią świeciły niby wilkowi i aż się trząsał, kiedy tego słuchał. Od razu wiedziałem, że pójdzie, choćby sam. Ale nikt mu się nie przeciwiał, ani słowem. Dawno tak u nas mówiono, że kto z nim idzie, to jakby mu srebra w pas nasypano... Chociaż i to wiedzieliśmy, że pod żadnym innym wodzem nie jest tak łatwo oddać głowy... Ale żebyście słyszeli, jak ten stolin gadał! „Nie nasza moc, mówi, tylko wy ich możecie pokonać...”. Uwierzyliśmy, łupów nam było trzeba, a on gadał, gadał o tych skarbach, złoto, klejnoty, całe góry, tylko brać... „wszystko wasze, tylko ich pokonajcie...” —Oczarował nas, nie ma co, każdy stolin czarownik, ludziom się z nimi nie zadawać. Bogowie wiedzieli, co robią, że ich zamknęli w górach, nawet ziemi kazali się rozstać. Nie pomyśleliśmy o tym, poszliśmy. Tak było...

Sternwarż przerwał i przytknąwszy do ust bukiak, pił długo.

— O jaskiniach i tych ich cudach nie będę wam mówił, zresztą nawet gdybym chciał, nie umiem. Nie wiem, czy najlepszy gędziarz znalazłby tu słowa. Jedno tylko, co nas tam najbardziej zdziwiło: Niby wojna, a oni jakby to nie o ich skóry chodziło. Tu się biją, a o sto kroków dalej inni siedzą, ucztują, śpiewają sobie. Cudaczne plemię. Na mój rozum, jakby się wszyscy wzięli do toporów, sami by sobie poradzili. Ale co tam, wezwali nas, obiecali łupy...

— Zaraz — przerwał mu Żegost. — Jak to, powiadacie, wojna? Z kim?

— Widzicie — Sternwarż uśmiechnął się smutno. — Lezicie w te góry, a nawet nie wiecie co i jak. Te stoliny, które spotykają się z kupcami, to jedno. Ale głębiej pod ziemią żyją jeszcze inne. Ludzie ich nie znają. Nigdy nie wyłazą na powierzchnię, przynajmniej dotąd im się nie zdarzało, bo jak tam teraz jest, nie wiem. Nazywają je czarnymi stolinami. Niskie, są, pokraczne i niby łatwo je pobić... tyle że straszne ich mrowie, więcej chyba od tych, co potrafią gadać po ludzku. I czarują okrutnie. To przeciw nim właśnie poprowadził nas ten karzeł z Ihordem. Niewiele wam o nich powiem, bo mało wtedy dbałem, kto oni i czego chcą. Nie ja wiodłem wyprawę, uradzili, że idziemy, to i ja z innymi. Z początku nie szło nam źle, nacięliśmy ich sporo, bo raz, że te stwory nigdy ludzi nie widziały i chyba bały się nas, a dwa, że było nas wielu z włóczniami. A do człowieka z włócznią to one nawet nie miały jak podejść. Nie noszą toporów, tylko miecze i dzidy, krótkie takie, do niczego przy włóczni. Pierzchnęli do tej, jak ją zwać, świątyni. Stropy za sobą zawalili, ale stoliny zaraz pokazały nam inną drogę. I poszliśmy...

Pamiętam, jakżeśmy wtedy wędrowali. Pewni byliśmy, że dobrze jest, że nas te obiecane skarby nie miną. Ale to byli tylko pomniejsi wrogowie. Nie oni nas pokonali. Czar jakiś... sam nie wiem, nigdy czegoś takiego nie widziałem ani chyba żaden człowiek...

Sternwarz znowu umilkł na chwilę, szarpiąc wąsy, jakby szukał słów do swej opowieści.

— No więc Ihord wymyślił z tym stolinem, że ich zajdą innym chodnikiem — urwał sapiąc ciężko. — Nie potrafię tego opowiedzieć, zresztą długo by trwało. Wyleźli tam na nas, trochę się pogubiliśmy po ciemku, ale nacięliśmy drani sporo. Ja zostałem z częścią, bo mnie tam cenili za to, że dobrze obracałem włócznią, a Ihorda gdzieś zaniósł... Mówić trudno, dajcie jeszcze pić... Bałem się, tak, ja to mówię, bałem się, jak się jeszcze żaden człowiek nie bał. Nie znacie takiego strachu. Cisza była, zupełna cisza, nawet broń nie zadźwięczała. Tamci gdzieś poszli, nie wiem... i nagle on wylaźł z korytarza, cień jakiś, mara... Szedł tylko, a co kogo tknął, jakby go piorun strzelił, krwawe strzępy. Jednego po drugim, w milczeniu, ani jednego krzyku... Tylko dotykał dłonią, a z człowieka w jednej chwili kupa ochłapów...

Sternwarz umilkł. Dyszał ciężko. Po twarzy spływały mu krople potu, jakby raz jeszcze patrzył na to wszystko.

— Ja jeden ocalałem. Chcecie wiedzieć czemu? Bo uciekałem pierwszy ani się obejrzawszy na tamtych. Nic już nie wiem, co się działo, lałem jak pijany. Wreszcie mnie jakiś stolin wyprowadził na świat. Bogowie, co za strach. Przez całe lata wciąż to miałem w oczach, jak ginęli. Żaden nawet nie krzyknął, jakby nas oczarowano. Lata płynęły, a ja wciąż się bałem. Tak to i było. No, ale wróciłem. Chciałem was zatrzymać, nie dało się, trudno, taki los. Zmogłem się. Zginę razem z wami, jak oni — odetchnął głęboko. — Pokonałem ten strach. Nic gorszego od śmierci nas nie spotka. No, tyle. Nie mówmy o tym więcej.

Sternwarz przymknął oczy i zwiesił głowę. W blasku płomieni jego twarz zdawała się spokojna i pełna godności. Milczeli długo, bo zauważyli, jak zmęczyła go ta opowieść.

— Zdążyliśmy już poznać, co to strach — odważył się w końcu przerwać ciszę Blizbor. — I żaden nie myśli ci wyrzucać, że uciekłeś. Ja w każdym razie nie wiem, co bym wtedy zrobił.

Sternwarz uniósł głowę i popatrzył na księżyc.

— Już blisko — powiedział. — Teraz może dowiedzie się więcej.

— Blisko? — powtórzył pytająco Harsz.

— Księżyc — powiedział gospodarz. — Niech stanie u szczytu nieba. Byliśmy tu ze stolinami, one często przychodzą do drzewa po wróżby. Może i nam będzie dane je usłyszeć.

Uniósł się ciężko.

— Patrzcie na cień drzewa. Tu jest to miejsce, do którego szliście.

Zamilkli wszyscy, czekając w skupieniu. Księżyc wznosił się powoli i długi cień dębu z wolna przysuwał się do krawędzi przepaści. Wreszcie dotknął jej i w ciszy zalegającej dokoła, w ciszy, w której słyszeli tylko trzask płomieni i bicie własnych serc, rozległ się nagle szelest gałęzi. Poruszyły się nieznacznie raz i drugi, jak ludzkie ręce. Choć nie było wiatru, liście zaszumiały nagle i w tym szumie usłyszeli ciche, potężniejące powoli słowa pieśni.

Drzewo śpiewało:

Trzy skarby stworzył ciemny bóg własnymi rękami, a w każdym zawarł moc potężną...

...Pierwszy dał ludziom, bo na nich liczył najbardziej, i nie zawiedli go nigdy...

...Drugi mniej był potężny i na nic w walce, ale bez niego tamte dwa nie byłyby, czym są...

...Złotą koronę zaś dał swym synom, lecz ci go zdradzili i poniechali, skoro tylko pierwsze pioruny znalazły swój cel...

...Przeklął ich ciemny bóg, gdy zraniły go pociski rywala, a jego armia zginęła...

...Przeklął ich drugi raz, uciekając w najdalsze strony świata, lecz i tam dosięgły go pioruny Swarga...

...Przeklął ich trzeci raz, kryjąc się u korzeni świata, skąd nie miał wyjść, póki czas się nie dopełni...

...Powiedział: po wiek błąkać się będą w mrokach podziemi...

...Lecz nic się nie kończy dla bogów, którzy są wieczni i bawią się losami świata...

Milczeli i wsłuchiwali się z uwagą w słowa pieśni. Drzewo śpiewało dalej:

...Powiedział: wypali się jego moc, zgasną i w proch się obróćą jego słudzy, a wtedy moja moc spotęźnieje...

...A wtedy zejda się trzy skarby w jednym ręku i powstanie siła potężna, a niebo i ziemia znów staną się jednym...

...A wtedy znów staną bogowie do wałku lecz nie dojrzy tego niczyje oko...

...Lecz rzekł na to władca niebios: po kres dni tego świata słudzy moi będą stróżować i ścigać twych posłańców, póki nie nadejdzie czas i potężniejsi od nas nie przyjdą nas sądzić...

...Poty będzie trwał świat, póki bogowie pozostaną w niebiosach i u korzeni ziemi, a strażnicy ich i posłańcy nie zwyciężą się wzajem...

...Czekają trzy skarby od wieków na tego, który połączy je w jednym ręku...

...Czekają na chwilę, która wciąż może nadejść...

...Czekają bogowie, patrząc na świat, który napełnili życiem...

...A chwila sądu zbliża się, bo nawet wieczność musi się skończyć...

Drzewo umilkło. Nad górami znów stała cisza, w której słyszeli tylko trzask płomieni i bicie swoich serc. Czekali jeszcze, choć cień drzewa opuścił już przepaść i powoli sunął dalej jej skrajem.

Blizbor, który znał trochę dawne sprawy, więcej od innych zrozumiał z pieśni drzewa. W milczeniu opuścił głowę na piersi i zasłonił twarz rękami.

Po chwili cień drzewa raz jeszcze dotknął krawędzi urwiska, wyciągniętego w tym miejscu długą na kilka kroków szczeliną. Drzewo przemówiło po raz ostatni:

Kto nie chce patrzeć na drogę za sobą, ten musi się śpieszyć, nim stanie się to, co można jeszcze odmienić. Prosta jest wasza droga, a zacznijcie się w Awarorii Orlego Szczytu. Tam trzeba iść, nim stanie się to, co można jeszcze odmienić.

Tej nocy spali krótko, zmieniając się po dwóch w pełnieniu warty. Nic już więcej nie mąciło spokoju otulającego górskie szczyty.

* * *

Orlim Szczytem nazywali ludzie wysoką skałę, z każdego miejsca widoczną wyraźnie w łańcuchu gór Stolinhregdu. Często bowiem widywano wokół niej kołujące orły. Różnie opowiadano, ale na ogół wiadomym było, że orły ze Stolinhregdu służą podziemnym karłom. Może to od nich właśnie czerpały stoliny wieści o tym, co działo się w szerokim świecie. Kupcy, którzy przybywali do gór, mówili, że stoliny wiedziały już o zdarzeniach tak — dalekich i niedawnych, że ludzie mieli usłyszeć o nich dopiero wiele dni później. Większość z nich jednak przypisywało tę wiedzę czarom i na pewno przyczyniało się to do bojaźni, jaką ludzie otaczali mieszkańców gór.

Ale kiedy wędrowcy mozolnie pięli się przez skały ku Orlemu Szczytowi, nie widywali orłów wcale, jakby wyniosły się z tego miejsca. Droga była ciężka i mozolna, chwilami strome zbocza wydawały się zupełnie nie do przejścia i tylko Żegost umiał zawsze znaleźć miejsca, gdzie nieznaczne występy lub kępy mchu dawały jako takie oparcie dla rąk i stóp. Szli tak już trzeci dzień, spożywając ostatnie zapasy, a zbocza zdawały się całkiem wymarłe.

— Przechwaliliście te stoliny — sapał Harsz na równi z towarzyszami zaniepokojony tą ciszą. — Gdyby ktoś tak się włóczył po moim obejściu, jak my teraz łązimy po ich ziemiach, sto razy już bym mu wyłoił za to skórę.

— Kiedy byliśmy tutaj, całe te góry roily się od nich — odpowiedział mu za którymś razem Sternwarz. — Gdziekolwiek zrobiłeś krok, trafiałeś na całe dziesiątki. Nie wiem, co może oznaczać ta cisza. Nie pojmuję jej. Pocieszam się tylko, że w tych górach wiele jest rzeczy, których nie daje się pojąć ludzkim rozumem.

W ogóle jednak podczas wspinaczki niewiele mieli czasu na rozmowy, bo po całych dniach darli się ku szczytowi, chcąc go osiągnąć jak najprędzej, a z nadejściem nocy, skoro tylko znaleźli jakieś sposobne do tego miejsce, padali na posłania ledwie żywi ze zmęczenia i zasypiali niemal natychmiast. Przez trzy dni znaleźli tylko tyle czasu, żeby opowiedzieć Sternwarzowi zdarzenie przy skalnej szczelinie. Gospodarz wysłuchał opowieści Blizbora w milczeniu, od tego czasu jednak, podobnie jak i pozostali, patrzył na Żegosta innym niż dotąd wzrokiem.

Żegost wiedział zresztą dobrze, że od swej walki z niewidzialnym jeźdźcem stał się dla nich kimś innym. Jedyne z pozoru rozmawiali tak samo jak dawniej. Nie do pomyślenia już było, żeby Blizbor chciał mu zawiązywać kij na szyi albo przetrącać grzbiet. Kiedy wykładał, co jego zdaniem powinni zrobić i w którą stronę się udać, żaden nie ważył mu się zaprzeczać, w duchu uznając w nim wodza wyprawy. I chociaż Żegost lubił, jak każdy człowiek, by go ceniono i słuchano, brakowało mu bardzo tej zażyłości, jaka go przedtem, zwłaszcza z Blizborem, łączyła.

Nie to jednak było główną troską Żegosta. Chociaż żaden z wędrowców tego nie mówił, w nim i jego niezwykłych zdolnościach pokładali jedyne nadzieje na wyjście z tej przygody cało. Nawet Sternwarz, który opuścił dom nie po co innego, tylko aby zginąć razem z Harszem, po opowieści Blizbora nabrał jakby otuchy. Tymczasem Żegost, tak samo jak i oni, nie widział przed sobą drogi i nie bardzo wiedział, co robić, gdy już dojdą na Orli Szczyt. On, znający dobrze, co to strach i zgryzota, potrafiący zawsze cieszyć się chwilą, która jest, odsuwając myśli o przyszłych niebezpieczeństwach, teraz dusił w sobie szarpiący niepokój. Przywykł w życiu nadstawiać karku, ale własnego, i świadomość, że od jego słów zależą losy przyjaciół, ciążyła mu nieznośnie. Beztroska, z jaką wyruszał w góry, znikła. Czasem nawet chciał im powiedzieć o sobie wszystko, żeby nie spodziewali się po nim więcej niż po sobie samych, ale jakoś nie zdarzyła się ku temu okazja.

Nie dawał nic po sobie poznać, ale troski gryzły go na każdym kroku. Próżno odganiał je myślą, że bardziej niż ktokolwiek inny nadaje się do prowadzenia takiej wyprawy. Ba, gdyby byli w slengańskiej puszczy, w Maronarze czy Estaronie, nawet na morzu! Ale w tych górach czuł się równie obco jak pozostali. I w miarę gdy zbliżali się do szczytu, niepokój narastał w nim coraz większy.

Tymczasem żywność skończyła się, a pośród skalistych turni nie sposób było ją uzupełnić. Niewiele dało, że tego samego dnia wdarli się wreszcie na szczyt. Nie znaleźli tam nic prócz kamieni, nie chroniących nawet przed zimnym wiatrem. Dziesiątki razy obchodził Żegost skały, szukając najdrobniejszego bodaj śladu, szczeliny, czegokolwiek. Nic. Gołe skały, z rzadka porośnięte mchem.

Wszyscy czterej, głodni i zziębnięci, zdawali sobie doskonale sprawę, że jeśli coś się nie stanie, wyprawa skończy się smutno i nawet bez bohaterskiego czynu. Wracać tą samą drogą, po której się wspięli, było niepodobieństwem. Iść dalej nie było dokąd.

Nie mówili nic. Szczęściem, zmęczenie i osłabienie głodem nie pozwalało im myśleć zbyt wiele. Zbliżała się już noc. Wiatr przeszkadzał skrzesać ogień, zresztą, jak okiem sięgnąć, nie było nawet jednego patyka na rozpałkę.

— Ano, przyjdzie chyba żreć kamienie — burknął Blizbor i otulił się najszczelniej, jak potrafił, płaszczem. — Będzie, co ma być — dodał po chwili, ale jakoś niewiele ich to pocieszyło.

— Idźcie lepiej spać, dobrzy ludzie, zamiast gadać. Nie wiem jak wy, ale ja czuję po tych łamańcach wszystkie kości. Pomyślimy za dnia, wtedy świat zawsze weselej wygląda.

Jakoż zmęczenie okazało się silniejsze od głodu i kiedy księżyc otulił srebrną poświatą skulone w załamaniach skał sylwetki, wszyscy prócz Żegosta chrapali już w najlepsze. On jeden nie mógł zasnąć. Po stokroć przepatrywał wszystko, co zrobili dotąd, i nie potrafił odpowiedzieć, co dalej. Czuł to, co wcześniej, podczas jego choroby, przeżywali Harsz i Blizbor.

Wiatr wył, rwąc się na ostrych krawędziach skał, uderzał w twarz, wtlaczał oddech z powrotem do gardła. Więc — wołać go? Jeśli nie, zdechną tu wkrótce z głodu i zimna, nie oglądając nawet jaskiń. Dłoń sama sięga do sakwy po węzełek z urocznym ziele. Jak żywa staje Żegostowi przed oczami rozmowa przy ognisku nad przepaścią, gdy Harsz i Blizbor spali głębokim snem. Ale Jego można wezwać tylko raz i biada im, jeśli robi to w złej chwili. Przecież jeszcze nie konają z głodu. Jeszcze czas. Wyjmuje rękę z sakwy. Jeszcze czas. Następnej nocy, jeśli nic się nie zdarzy. Tyle przecież wytrzymają.

Księżyc chylił się już ku zachodowi, gdy zmęczenie i senność zmożyły wreszcie Żegosta, wciąż nie znającego odpowiedzi na żadne z cisnących mu się do głowy pytań.

* * *

Spał tylko chwilę. Obudziło go czyjeś szarpnięcie.

Otworzył oczy i podniósł się w jednej chwili, kłękając obok Sternwarza, który bez słowa ujął dłonią pokrowiec i zsunął go odrobinę z włóczni, tyle tylko, by można było dotknąć głowni palcem.

Klinga była ciepła, jakby wyjęta przed chwilą z ognia. Żegost wiedział, co to znaczy.

— Obudź ich — szepnął i odwrócił się. Przytulony do głazu wpatrywał się uważnie w okoliczne kamienie. Ale nie było widać pośród nich żadnego ruchu.

— Mieście oczy otwarte — powiedział cicho, gdy wszyscy przypadli już koło niego. — I bądźcie cicho. Ktokolwiek się tu zbliża, niech lepiej myśli, że śpimy.

Dłuższą chwilę leżeli bez ruchu, wypatrując oczy aż do bólu. Włócznia rozgrzała się tak, że Sternwarż, sycząc cicho, musiał oderwać palce od głowni. Jednym ruchem ściągnął pokrowiec i zawiesił go u pasa. W słabym świetle księżycy klinga zalsniła chłodnym blaskiem.

Niemal w tej samej chwili Harsz bez głosu ścisnął łokieć Żegosta i wskazał coś dłonią. Spojrzeli za nim.

Tuż poniżej szczytu, w zupełnie gładkiej skale, po której przechodzili w ciągu dnia wielokrotnie, otwierały się powoli niewielkie drzwi. Ciemny otwór był już dość duży, by mógł się w nim zmieścić dorosły mężczyzna. Wstrzymali oddech i przycisnęli się jeszcze mocniej do kamieni.

Po chwili na krawędzi otworu pojawiły się dwie ogromne, kosmate łapy, a za nimi wynurzył się z czeluści łeb stolina w żelaznym hełmie. Czerwone oczy zapłonęły w mroku, wypatrując na szczycie ruchu. Po chwili dłużej jak całe miesiące stolin poruszył się znowu, wylazł z otworu i stanąwszy na skale, wydobył zza pasa szeroki, zakrzywiony lekko na końcu miecz. Działo się to wszystko w nie zmaconej niczym ciszy.

Za pierwszym stolinem wygramolił się drugi, potem trzeci. Blask księżycy odbił się na gładkich ostrzach ich mieczy. Wszyscy mieli na sobie żelazne hełmy i kolczugi, a z ramion spływały długie do kolan czarne płaszcze.

Wreszcie, gdy z otwartych w skale drzwi wyszedł czwarty, bez słowa, nie spojrzawszy nawet po sobie, otoczyli szczyt i stąpając bezgłośnie, z wolna zaczęli skradać się do ukrytych wśród kamieni ludzi.

Wędrowcy nie mieli czasu, by się bać. Broń trzymali już w rękach, gotowi użyć jej w potrzebie, lecz na razie leżeli nieruchomo. Było to słuszne. Stoliny, upewniwszy się, że napadnięci śpią w najlepsze, nadchodziły nie spodziewając się walki.

Pierwszy poderwał się Sternwarz, gdy sunący na niego przeciwnik znajdował się już bliżej niż o dwa ludzkie kroki.

— Tarh! — ryknął i ciał na odlew włócznią. Ostrze świsnęło tylko, szybciej niż myśl, szybciej niż piorun, i zanim stolin zdążył pojąć, co się stało, straszliwa klingą zerwała mu łeb z karku z równą łatwością, jak wiatr porywa z gałęzi suche liście.

Okrzyk Sternwarza nie zdążył jeszcze przebrzmieć, a pozostałe stoliny otrząsnąć się z zaskoczenia, gdy inni ludzie runęli na nie, wywijając toporami. W mgnieniu oka następny hełm pękł jak skorupa jajka, rozłupany potężnym ciosem Blizbora. Harsz i Żegost mieli trudniejsze zadanie, ich przeciwnicy bowiem nie podeszli jeszcze tak blisko i zanim ich dopadli, zdolali zebrać się w sobie i wznieść broń do walki. Największy ze stolinów zastawił się mieczem, aż Harszowi topór zadrzał w garści, po czym uskoczył w kierunku otworu. Nim jednak do niego dopadł, Blizbor jednym uderzeniem zgasił go jak świecę, mimo kolczugi odwalając całe ramię wraz z mieczem.

Tymczasem czwarty stolin rzucił się z ochrypłym krzykiem na Żegosta. Ten odskoczył zwinnie, aż stolin zachwiał się od zamachu, a jego topór pękł z trzaskiem na kamieniach. Wtedy Żegost natarł na przeciwnika. Zwarli się przez chwilę. Wędrowiec nie mógł się mierzyć z siłą stolina, lecz że był od niego zwinniejszy, wywinął mu się jakimś sposobem z łap, obalił na ziemię i usiadł na karku. W rękę Żegosta błysnął nóż i po chwili stolin znieruchomiał, rżąc i kopiąc ziemię nogami. Konał już, gdy dopadł do nich Sternwarz i wyprowadził nieomylnie pchnięcie, tak że sztych włóczni, przebiwszy dwukrotnie kolczugę karła, zarył się głęboko w ziemi.

Dopiero w tej chwili zauważył Harsz piątego przeciwnika, który ledwie co wychyliwszy się z otworu, widząc klęskę swych pobratymców, chciał zniknąć w nim na powrót, nie dobywając nawet broni. W ostatniej chwili dogonił go i biorąc potężny zamach z obu rąk, zdmuchnął wystający ponad skałę łeb. Żelazny hełm potoczył się po kamieniach w dół. Bluzgający krwią, bezładny zewłok osunął się w głąb przejścia w skale, które, równie niespodziewanie jak przedtem się otworzyło, zaczęło się nagle zamykać.

— Na dół! Prędko — zawołał na ten widok Żegost i chwycił swą sakwę.

Dopadli szczeliny, która powoli się zwężała, i wskakiwali w nią jeden po drugim. Harsz zrobił to pierwszy, na wszelki wypadek wymachując toporem, Żegost ostatni, ledwie już przeciskając się pomiędzy kamiennymi brzegami. Chwilę potem szczelina bezgłośnie zawarła się nad nimi.

Stali mi twardej, kamiennej podłodze pochyleni, gdyż strop znajdował się tu znacznie niżej niż w pomieszczeniach budowanych przez ludzi. Z chwilą gdy szczelina w skale zamknęła się, otoczyła ich nieprzenikniona ciemność, tak gęsta, że niczego nie można było w niej dostrzec, nawet własnych dłoni. Harsz odruchowo nacisnął kamienną płytę, ale czuł, że nie będą już umieli jej otworzyć.

— Ogień — szepnął, niepotrzebnie, gdyż od dłuższego już czasu w mroku słyhać było stukanie krzemieni i spod palców Blizbora raz po raz tryskały iskry. W ich nikłym rozbłysku Harsz dostrzegł przed sobą szerokie kamienne stopnie i ostrożnie, badając stopą drogę, zaczął schodzić.

Chwycili się wzajem za ręce i szli tak w ciemności, niepewnie jak ślepcy. Po chwili mogli się wreszcie swobodnie wyprostować.

Stopni było tylko kilka. Dalej ciągnęła się gładka podłoga. Harsz zaklął cicho, potknąwszy się o coś miękkiego. Stanęli.

Wokół nich pojawiła się nagle dziwaczna, czerwona poświata, delikatna jeszcze, ale potężniejsza z każdą chwilą. Dzięki niej dostrzegli, że znajdują się w rozległej sali. Na wprost nich stał szeroki, długi stół, na którym wśród rozrzuconych bezładnie rupieci dostrzegł Blizbor dwie lampy. Odległe ściany zdobiły porozwieszane topory, miecze i tarcze.

Trwało chwilę, nim pojęli, że krwawa łuna bije od małego, kamiennego posążka ustawionego w rogu komnaty. Żaden z nich nie umiałby powiedzieć, kogo miał on przedstawiać. Z pewnością nie człowieka ani stolina. Wielki łeb z wyszczerzonymi kłami osadzony był na wąłym korpusie, po bokach zwisały równie wątle, krótkie ręce. Tyle tylko zdążyli dostrzec, nim poszątek, jakby rozsadzony sączącym się z niego światłem, zaczął pękać. Delikatne jak włosy rysy pokryły go gęstą siatką i po chwili z trzaskiem rozsypał się w proch. Na jego miejscu pozostała nad stołem nie większa od dłoni kula czerwonego światła. Blask wzmógł się, w jednej chwili w komnacie zrobiło się zupełnie jasno. Wypełnił ją też dźwięk podobny do tego, który wydają zderzone ze sobą ostrza włóczni, lecz znacznie dłuższy i potężniejszy.

Mrużąc oczy przyglądali się w przerażeniu, jak krwawa kula powoli unosi się znad stołu i podpływa do nich niby niesiona wiatrem. Blisko, coraz bliżej... Nie potrafili ruszyć się z miejsca, nogi wrosły im nagle w ziemię. Zresztą uciekać nie było dokąd. Ognista kula znajdowała się już na wyciągnięcie ręki, kiedy Żegost z krzykiem rozpaczy rzucił się wprost na nią i zasłonił przyjaciół. Sternwarz, odzyskawszy w tej chwili siły, zdążył podnieść włócznie, ale nie mógł uderzyć, gdyż znaczyłoby to za jednym ciosem zranić Żegosta. Odepchnął go na bok. Zakotłowało się. Krwawa kula ocierała się już prawie o pierś Żegosta, kiedy świsnęła włócznia Sternwarza. Przecięła kulę tak, jakby cięła powietrze, tylko na moment wokół klingi wykwitły płomienie. Chwilę potem kula upadła u stóp Żegosta. Po komnacie przebiegł błysk, w którym dostrzegli, jak ciało wędrowca kurczy się nagle w bólu, ogarnięte smugami krwawego blasku. Krzyknawszy krótko, osunął się na podłogę. Zarazem rozległ się nieludzki skowyt i drobna, utkana z czerwonego blasku postać o wielkiej głowie odleciała ku drzwiom, wyjąc przeraźliwie i ściskając przed sobą jakiś ciemny kształt. Harsz, nie namyślając się ani chwili, runął za nią. Ale po owym błysku komnatę zaległa znowu nieprzenikniona ciemność. Młody Tragży zdołał na osłep dopaść drzwi i zatrzasnąć je z hukiem.

Zapadła cisza, w której Blizbor rozpaczliwie usiłował skrzesać ogień. Udało mu się wreszcie chwycić iskrę na hubkę. Pośpiesznie zapalał stojące na stole lampy. Po chwili w komnacie zrobiło się znowu jasno, lecz teraz nie była to już upiorna, krwawa poświata, ale pełgający łagodnie ciepły poblask, przywodzący na myśl spokojne, drewniane dworzyszczce w puszczy i kufle ciemnego, krzepiącego piwa.

Żegost powoli gramolił się z kamiennej podłogi. Był blady jak trup i oddychał ciężko, ale poza tym wyglądał zupełnie normalnie.

— Na Swarga — odetchnął z ulgą Sternwarz. — Pewien byłem, że już po tobie.

— I ja tak sądziłem — odparł Żegost cicho. Zachwiał się, zaraz jednak złapał równowagę i stanął pewniej na prostych nogach. — Ale widać jeszcze nie przyszła moja godzina. Uff... Co za ból... No, już po wszystkim. Chyba miałeś rację Blizborze, któryś z opiekuńczych duchów musi mieć o mnie szczególne staranie. Dajcie spocząć — podszedł do ławy i starszy dłonią grubą warstwę kurzu, usiadł ciężko.

Dopiero teraz mogli spokojnie rozejrzeć się po komnacie. Walały się po niej w nieładzie połamane drzewce, miecze i topory, pokruszone tarcze. Pośród nich leżały trupy stolinów.— Tylko jeden z nich, ten bezgłowy na schodach, był świeży. Jedynie on też miał na sobie kolczugę i czarny płaszcz. Pozostałe, rozrzucone w nienaturalnych pozach po całej komnacie, okryte były strzępami różnobarwnych, spłowiałych już szat. Niektóre nie miały w ogóle zbroi, w jakimś tkwił jeszcze złomek dzidy.

Harsz pochylił się nad jednym z nich i usiłował go przewrócić, ale zetlałe truchło rozsypywało się niemalże od samego oddechu. Trupy były wyschnięte i szare jak gniazda os.

— Licho wie, od jak dawna tu leżą — mruknął na ten widok Sternwarz. Ostrze jego włócznie było poczerniałe, jakby okopcone. Stał sadzę palcami i nałożył na klingę pokrowiec. — Nie wiem, co tu się działo, ale z pewnością nie było to nic, co chciałbym oglądać na własne oczy.

Blizbor obchodził z uwagą komnatę. Przy każdym kroku spod stóp wzbijały się kłęby kurzu. Tu i ówdzie pod warstwą pyłu znać było na kamiennej podłodze ślady krwi.

— Więc to jest warownia Orlego Szczytu — westchnął Żegost. — Wiedziałem, że Gadające Drzewo nie mogło nas oszukać. Wygląda na to, że trzeba by podziękować tym, co nas napadli. Mądrzej byłoby z ich strony zostawić nas swemu losowi. Sami nigdy byśmy tu nie trafili.

— Bogowie — mruknął Blizbor przypatrując się to jednym, to drugim drzwiom komnaty. — Przysięgłbym, że odkąd mnie zbudziliście, upłynęły całe lata, a na świecie pewnie nie wstał jeszcze świt.

— Właśnie wstaje — Harsz od dłuższego czasu stał przy podłużnym, głębokim otworze w ścianie. — Popatrzcie. Kiedy się tu spojrzy, widać wszystko, jakby w ścianie wykute było przejście na świat. Ale gdy próbuję przełożyć tędy rękę, natrafiam palcami na kamień. Czuję wyraźnie: zwykły, chłodny kamień. Trudno to pojąć.

Stanęli przy nim, tylko Żegost pozostał na swoim miejscu. Przyglądali się w zadumie szczytom, nad którymi wstawał chłodny, rześki poranek.

Blizborowi widok ten przypomniawszy, nie wiadomo dlaczego, że od wczorajszego dnia nic nie miał w ustach. Niewiele myśląc powiedział to na głos.

— Czekałem tylko, kiedy sobie o tym przypomnicie — powiedział Żegost. — Bo ja zastanawiam się nad tą sprawą już od dłuższego czasu. Może i jesteśmy teraz bliżej celu, ale niewiele w tym widzę powodów do radości. Nawet jeśli jest w tej komnacie jakaś żywność, to pewnie równie świeża jak ci tutaj...

— Zbyt wiele chyba przeszliśmy, żeby bogowie pozwolili nam tak marnie skończyć.

— Wątpię, czy w podziemia stolinów zaglądną jacyś bogowie. A jeżeli, to pewnie tacy, co do których wolałbym, żeby o nas nie wiedzieli.

Harsz, w którego sercu po zwycięstwie nad stolinami wezbrało męstwo i otucha, wzruszył tylko ramionami.

— Nad czym tu myśleć? Idziemy dalej. Mogłem te drzwi zamknąć, więc pewnie będę mógł je otworzyć. Tamten, kimkolwiek by nie był, wyraźnie przed nami uciekał.

Mówiąc to podszedł do drzwi i chwycił za zwieszające się przy nich stalowe kółko.

— Zostaw — zatrzymał go Blizbor. — Odpocznijmy przynajmniej.

— Po co? Myślisz, że tam zaraz za progiem będzie leżała barania pieczeń? Licho wie, jak długa droga przed nami, więc lepiej zacząć ją, zanim zesłabniemy z głodu.

— Na Swarga, powiedz jeszcze raz o baraniej pieczeni, a urwę ci łeb!

Żegost powoli podniósł się z ławy.

— Harsz ma rację — rzekł. — Nie ma na co czekać. Ale nie mam ochoty spotykać się ponownie z tym stworem. Pójdziemy tędy — podszedł do drugich drzwi i pociągnął za żelazne kółko. Wrota uchylły się ciężko. — Chodźcie — powiedział i odwrócił się do nich.

— Co wam? — spytał po chwili, widząc, że przyglądają mu się jakoś dziwnie. Harsz zrozumiał to pierwszy. Obejrzał się na swój cień, na cienie przyjaciół podrygujące na podłodze w blasku lamp, znów popatrzył na Żegosta, na miejsce, w którym stał...

— Żegost... — powiedział przez zaschnięte nagle gardło.

W tym momencie zrozumieli, czym był ten ciemny kształt, z którym tajemniczy stwór wypadł z komnaty.

Żegost nie miał cienia.

Stali długo w milczeniu, wreszcie wędrowiec obrócił się do ściany i z wysiłkiem otworzył kamienne drzwi do końca. Za nimi ukazał się kręty, nieznacznie schodzący w dół korytarz.

— Nie ma na co czekać — powtórzył Żegost głucho. — Chodźmy.

* * *

Loch, którym szli, ciągnął się bez końca. Opadał delikatnie, skręcony jak kamienny powój na ogromnym drzewie. Było ciemno. Oliwa w zabranych z komnaty lampach wypaliła się już dawno i szli teraz w mroku, w którym nie sposób było nic dojrzeć. Mimo to nie zatrzymywali się nawet na chwilę. Harsz szedł pierwszy, trzymając się dłonią ściany, pozostali za nim, dla pewności chwyciwszy się wzajemnie za pasy. Zdawało im się, że ta wędrówka trwa już całe wieki. Ciągle w dół, z każdym krokiem coraz dalej od zielonych traw i błękitu nieba.

— Blizbor — mówi nagle Harsz po bardzo długim milczeniu, nie zatrzymując się.

— Czego? — odzywa się za nim zmęczony głos gędziarza.

— Nic, nic. Odzywajcie się czasem, bo nie wiem, czy jeszcze tam jesteście... tfu, co za ćma... żeby mi kto oczy wylupił, nawet bym się nie spostrzegł.

— Jestem — mruczy Sternwarż.

— I ja — odezwał się słabym głosem Żegost.

— Masz jeszcze siłę, żeby gadać? — pyta Blizbor.

— Siłę tak, tylko w gębie sucho.

— Zamknij się...

— Na Swarga, przecież dokądś musimy w końcu dojść... Żegost?

— Musimy, musimy. Gdyby ten loch nie miał wyjścia, powietrze byłoby zatęchłe, a nie jest. Cisza i zupełny mrok. W ciemności szelest stóp, z coraz większym trudem wleczonych po kamiennych płytach.

— Stójcie!

— Co? — chrypi Blizbor i z rozpędu uderza w plecy Harsza.

— Czekajcie... Niech to piorun, korytarz się rozłącza, jeden idzie w lewo, drugi w prawo. Nie zauważyłbym tego, ale wyciągnąłem w bok rękę. Czort wie, ile takich przejść już mineliśmy.

Cisza.

— Gdzie iść? Prosto? Żegost?

— Idź w lewo, dobry człowieku. Jak dotąd. Trzymaj się tej ściany, tak będzie najrozsądniej. Znów szelest stóp. Krok po kroku, wciąż w dół.

— Jesteście tam?

— Jestem.

— Jestem.

— Ja też.

Żegost potyka się nagle, szarpie Blizbora za pas.

— Stać!

— Nie, nie trzeba. Wszystko dobrze, idźmy.

Ile to już trwa? Po zgaśnięciu lamp z początku próbowali liczyć kroki, ale dawno zgubili rachunek. Zmęczenie staje się już silniejsze od ludzi. Coraz trudniej poruszać się, machinalnie przesuwać nogi, śpiąc przy tym niemal. Blizborowi snuje się po głowie fragment jakiejś starej opowieści, o której pewien był, że już dawno ją zapomniał. Ale to tylko kilka zdań, bez początku i końca, parę słów obija się pod czaszką, jakby szukały drogi wyjścia i nie mogły jej znaleźć. „Zupełnie jak my w tych ciemnościach” — miga mu w nagłym przeblasku przytomności.

— Jesteście tam?

— Jestem.

— Tak.

— Tak...

Harsz siedzi przy biesiadnym stole w obejściu swego ojca. Na palenisku płoną sosnowe polana, Jarda tuli jego dłoń do swego ciepłego boku. Powoli wchłania w siebie chłodne, cierpkie piwo, kufel po kufelu. Mógłby wypić całe piwo, jakie jest w Isthornie i jej okolicach.

Gwar. Śmiechy. Piwo. Chłodne i gorzkawe, rozlewa się ożywczą wilgocią po spieczonym gardle...

— Jesteście tam?

Uderzenie czołem w chłodny kamień przywraca mu przytomność. Ojcowskie obejście znika. W gardle już ani kropli śliny. Skręcony głodem brzuch przy każdym kroku odzywa się dotkliwym bólem. Piwo... na Swarga... — wraca mu świadomość, potrząsa głową, żeby odgonić zwidy. Ponoć tak duch człowieka błąka się przed samą śmiercią. Czy to już?

— Harsz?

— ...jestem...

Żegost znowu się potyka.

— Stać! Nie, nie trzeba — jego schrypnięty głos ledwie słycać.

Szelest stóp. Zakręt.

Bogowie, ile czasu tak idą? Dzień? Rok? Zdaje się, że doszliby już do granicznej rzeki.

— ...i przeklął bogów, wyciągając ku niebu zaciśnięte pięści... zaciśnięte pięści...

— Blizbor!

— Nic, nic. Już w głowie mi się coś...

Jak długo to może jeszcze trwać? Wciąż ta sama, gładka ściana pod palcami.

— Może... kręcimy się w koło?

— Nie, dobry człowieku. Ciągle idziemy w dół, czuję... Szelest stóp. I znowu ktoś się potyka.

— Jesteście tam?...

— Stójcie — odzywa się Sternwarz. — Trzeba odpocząć. Jeszcze chwila i przewracamy się wszyscy.

— Nie siadać — mówi Żegost. — Nie podniesiemy się... nie siadać — powtarza rozpaczliwie.

Ale rozsądek mówi co innego, a ciało nie chce już słuchać. Osłabłe nogi uginają się same, ściana przesuwana się pod plecami.

Ciężkie oddechy. Zwieszona głowa opiera się na kolanach.

— Jesteście...?

Ursz Żarghanza w obu dłoniach podaje Marszowi puchar napełniony piwem. Piwo, chłodne jak studzienna woda, odżywcze, zyciodajny płyn. Pij, Harsz! Pij — szepce pochylona nad nim Jarda. Gwar i śmiechy. Na palenisku płoną sosnowe polana. Piwo, zimne aż do bólu zębów...

Patrz, Harsz... ktoś podsuwa mu pod oczy pochodnię. Blask razi mimo przymkniętych powiek.

Harsz budzi się ciężko. Ostatkiem sił, jakie może z człowieka wykrzesać tylko najgłębsza, przedśmiertna rozpacz, podnosi się z wolna na kolana, wstaje trzymając się ściany. Nie, to jeszcze nie teraz. Jeszcze choć kilka kroków... choć kilka...

Blask. Mruży oczy i potrząsa głową, ale światło nie znika. Bogowie i demony! Światło! Bije delikatną poświatą zza załomu korytarza. Przyzwyczajone do ciszy uszy łowią wyraźny szelest...

— Światło! Światło! Żegost, Blizbor, Sternwarz! Światło!

Cztery trupy ślaniają się w korytarzu, unoszą się z trudem. Tak, światło jest wyraźne. Migocze po gładkich, kamiennych ścianach. Zbliża się.

— Światło...

Znikają przywidzenia. Co oznacza to światło? Wrogów czy przyjaciół? Mdlejące dłonie z trudem unoszą topory. Wracają resztki sił. Sternwarz sięga ku głównej włóczni, ale zatrzymuje rękę. Zawsze będzie czas, by zdjąć pokrowiec. Wysuwa się tylko przed Żegosta, osłabłego i mającego za całe uzbrojenie nóż i krótki miecz zabitego stolina.

Światło zbliża się. Razi przywykłe do mroku oczy. W końcu zza załomu wyłaniają się stoliny z pochodniami. Kilku. Sporo. Zatrzymują się zdziwieni na ich widok. Szepczą coś między sobą.

— Hresztergh... Gerdhardasr... — rzuca chrapliwie jeden z nich.

Sternwarz wysuwa się chwiejnym krokiem naprzód. Staje o trzy kroki przed nimi, światło pochodni igra setką blasków na jego hełmie i zbroi. Opiera włócznię o ziemię i lekko zsuwa z niej pokrowiec. Dotyka palcami główki, by po chwili zasłonić ją z powrotem.

Stoliny nie przypominają tych, które napadły ich na Orlim Szczycie. Ich hełmy są głębokie, osłaniają policzki, na lśniące zbroje mają narzucone szkarłatne kaftany i płaszcze. W świetle pochodni widać, że sierść pokrywająca ich ręce jest brązowa.

Szepczą wciąż między sobą, wyraźnie zaskoczone tym spotkaniem. Długie, dwusieczne topory trzymają wciąż w pogotowiu, ale nie atakują, zastanawiając się, czy te dziwne stwory są wrogami, czy przyjaciółmi.

Po chwili długiej jak wieczność Sternwarz z trudem dobywa z siebie jedno tylko słowo:

— Ihord — mówi. — Ihord.

Jego głos rozbrzmiewa w ciszy korytarza i odbija się echem od kamiennych sklepień.

— Ihoor — powtarza jeden ze stolinów, a z jego głosu znać, że słyszał już to imię. — Szahr ohr Ihoor... hrogar, orgharsz szaar...

Sternwarz powtarza jeszcze raz „Hord”, po czym z wolna osuwa się ku ścianie i zastyga wsparty o ratyszczę włóczni. Widzi jeszcze kątem oka, jak stolin obraca się, mówi coś do swoich. Szepczą chwilę między sobą, dopytują się. Silne, pewne dłonie chwytają półtych wędrowców, podnoszą ich, niosą gdzieś...

* * *

Nakarmieni i napojeni przez stoliny, zbudzili się w wielkiej komnacie, której ściany i wysokie sklepienie ozdobiono misternymi ornamentami. Pełno w niej było kryształowych lamp rzucających silne, ale nie rażące dla oczu światło. W blasku tym skrzyły się toczone w półprzezroczystym zielonkawym kamieniu kolumny, złocenia i kamienie upiększające sprzęty. Aż mrużyli oczy od tego bogactwa, jakim nie mógłby się chyba poszczycić żaden z ludzkich królów. Ale nie była to wcale sala żadnego dostojnika ani księcia stolinów. Tak wyglądały prawie wszystkie nie opuszczone jeszcze komnaty w podziemiach.

Pośrodku sali, na rzeźbionym w takim samym zielonym kamieniu fotelu, siedział stolin. Złotą, wysadzaną klejnotami zbroję okrywał szkarłatny, pobłyskujący na fałdach złotem płaszcz. Złotem był też nabijany pas stolina, a w jego klamrze lśnił ogromny rubin. Za pasem zatknięty miał krótki, jednosieczny miecz o bogato zdobionej rękojeści. W zwykłym czasie zapewne długo wytrzeszczaliby oczy na to bogactwo i dziwili mu się bez końca. Ale teraz jakoś nie robiło to na nich wrażenia. Zresztą Sternwarz, który pierwszy podniósł się z posłania, widział już kiedyś nie mniej zdobne i bogate wyroby stolinów. Pamiętał też dobrze, do czego ich widok doprowadził jego towarzyszy.

— Witajcie, przybyszu — rzekł stolin. — Dla ludzi upłynęło sporo czasu, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. I chociaż dla stolinów lata płyną wolniej, nie mogę powiedzieć, żebym nie uważał tego rozstania za długie. Zbyt wiele przez ten czas przeżyliśmy trosk i nieszczęść.

— Witajcie — mruknął Sternwarz i schylił nieco głowę. — I dla mnie te lata nie były beztraskie. Co stało się z moimi towarzyszami?

— Pytasz, choć znasz odpowiedź. Prócz jednego zginęli wszyscy dawno. Opowiem i o tym, niech jednak najpierw zbudzą się twoi przyjaciele. Zbyt smutne to sprawy, żeby powtarzać je każdemu z osobna.

— Witajcie — rzekł ponownie, kiedy słuchali go już wszyscy. — Cieszy mnie wasze przybycie, choć jest za późno, by coś odmienić. Dopełnia się nasz czas, przynajmniej w tych górach. Taka chwila zawsze musi w końcu nadejść, mimo że nikt nie wierzy, iż stanie się to za jego życia... Cóż, wiele jest do opowiadania. Wiem, że macie za sobą ciężką drogę, posilcie się zatem, ja zaś będę mówił.

Po chwili jedli już przyniesiony na złotych tacach chleb — czy raczej coś, co chleb przypominało, oraz dziwne, szare i pomarszczone owoce. Nie wyglądały apetycznie, ale smakowały wybornie. Do popicia dostali wyrabiany przez stolinów napój, niepodobny w smaku do niczego, co znali, ale mający taką samą krzepiącą moc, jak piwo albo miód.

Stolin nie zaczynał jeszcze opowieści, bo czekał, aż zaspokoją pierwszy głód. Siedział nieruchomo, ze zwieszoną na pierś głową. Wydawał się bardzo stary i bardzo zmęczony.

— Żał mi was, wędrowcze — powiedział nagle, gdy zauważył, iż Żegost nie ma cienia. — Kiedy to się stało?

— Był wtedy świt, ale błakając się w ciemnościach, straciłem rachubę czasu. Zdarzyło się to w warowni Orlego Szczytu — tu Żegost opowiedział dokładnie o nocnym napadzie i spotkaniu ze świetlistą zjawą.

Stolin słuchał uważnie, kiwając w zamyśleniu głową.

— Doprawdy, wolałbym was witać lepszą wieścią — powiedział w końcu. — Ale według waszej rachuby czasu zostałam wam mniej niż jeden dzień życia.

— Słabnę coraz bardziej, prawda, czuję to. Ale wkrótce wstanie nowy księżyc, wtedy odzyskam cię i siły.

— Niestety, przyjacielu — stolin pokręcił głową, machinalnie zwracając się do niego mniej uroczyście. — Nie będzie ci dane tego doczekać. Spotkaliście się z czarem, któremu ludzie nie potrafią się oprzeć. Od niego właśnie wyginęła wyprawa Ihorda. Nie mogłem nic zrobić, bo nas się ten czar nie chwyta, i nie wiedziałem, że demon gór ma taką moc. Tam, w warowni, stanął przed wami jego cień. Czarne stoliny zawsze noszą ze sobą posążki swego pana. Jest w nich zawarta ledwie nieznaczna część jego siły, ale i to wystarcza, by zapewnić im powodzenie. Kiedy na świecie wzejdzie i ponownie zajdzie słońce, twój cień wyruszy, by cię znaleźć i zabić. Tak, odkąd go straciłeś, upłynęły już trzy ludzkie dni. Cienia opętanego czarem demona gór nie można pokonać. Możesz tylko opuścić swych przyjaciół, inaczej zginą oni wraz z tobą.

— To nie może być — przerwał twardo Blizbor. — Cokolwiek ma się stać, będzie udziałem nas wszystkich.

— Kto wie... — zamyślił się stolin. — Gdy patrzę na ludzi, żałuję gorzko, że bogowie poskąpili nam tego ognia, który was ożywia. — Cóż... — uniósł głowę. — Dobrze. Poza Sternwarzem nie znacie mnie jeszcze. Nie powiem wam swego imienia, bo dla ludzkich uszu byłoby za długie i zgoła niezrozumiałe. W waszej mowie zwałbym się Gasziranem, niech więc tak zostanie. Od lat byłem najwyższym magiem plemienia spod gór, władcą świątyni stolinów, gdzie ukryta była nasza moc. A teraz, gdy zginęli już wszyscy nasi królowie, mnie obrano wodzem tej garstki, która jeszcze pozostała wierna swemu rodowi i starym prawom. Wodzem, który musi patrzeć na śmierć swego ludu. Zrobiłem wszystko, co mogłem zrobić, aby temu zapobiec, ale moje serce nie jest przez to spokojniejsze. Sprowadziłem ludzi do jaskiń, czego nie uczynił nikt, odkąd góry stały się naszym domem. Ale to już nie mogło się na nic zdać, tak jak na nic była ofiara mego syna. To on poszedł do was z listem Ihorda, choć mówiłem mu, że na wszystko jest za późno. Dziwię się, że list ten dotarł do was, bo serce dawno powiedziało mi, że mój syn umarł.

— Przyszedł do nas okryty ranami, nawet złota zbroja go nie ochroniła. Nie mogliśmy mu pomóc.

— Nie płaczę po nim. Jest szczęśliwy, że nie musiał patrzeć na zagładę swego rodu.

— Wciąż mówisz rzeczy, których nie pojmujemy — odezwał się Sternwarz. — Na Swarga, cóż się z wami stało? Czemu wciąż mówisz o zgubie swego plemienia? Czyżby te czarne pokraki, których tyle nacięliśmy z towarzyszymi, mogły wytepić was do szczytu? Gdy przybyłem tu z Ihordem odzyskać zagarnięte przez nie skarby, w górach pełno było ludu...

— A dziś większość korytarzy jest ciemna i pusta jak ten, w którym znaleźli was moi zwiadowcy, a w innych rozpanoszył się sługa ciemnego boga. Wtedy, gdy łudziłem was złotem i klejnotami, nie chciałem wam mówić wszystkiego. Źle pojąłem sens starych przepowiedni. Teraz już wiem, z jaką mocą przyszło nam walczyć, i wiem, że nie podoła jej żadna siła na świecie. Tak, plemię stolinów ginie, przyszła nasza zguba, a z nią przybliżyła się znacznie godzina zagłady dla ludzi i nawet dla leśnych boginek, bo te opuszczają świat ostatnie, tak jak pierwsze się na nim pojawiły.

Podniósł do ust puchar ze złocistym płynem i pił powoli. Wreszcie odstawił pusty kielich i zaczął opowieść:

— Życie stolina jest długie, o wiele dłuższe niż człowieka. A przecież rzadko zdarza się, by w swym życiu przeszedł wszystkie korytarze wykute przez pokolenia naszych przodków we wnętrzu gór. Niegdyś więcej nas było... cóż, niegdyś cały świat, z morzami i lasami, należał do nas, a ludzie jeszcze się nie narodzili. Ale to dawne czasy, o których nikt już prócz nas nie pamięta. Gdy zeszyły na świat dzieci władcy piorunów, a ciemny bóg skrył się u korzeni świata, plemię stolinów z wolna zaczęło marnieć. Nie pojmowaliśmy tego. Wciąż było nas wielu, ciasno było naszym przodkom w jaskiniach, wciąż ryli nowe. Tylko powoli ubywało nas... gdy w jednych lochach buchnęły płomienie, w innych zjawiała się woda, zostawiliśmy je bez żalu, mieliśmy dość miejsca gdzie indziej. Opuszczaliśmy i takie, gdzie powietrze było złe albo skała ścian nie dość zdobna. W końcu i takich niechaliśmy, co wydawały nam się zbyt dalekie. A dziś już całe moje królestwo mogę obejść w jeden ludzki dzień.

Tak, od walki bogów nasze plemię skazane było na powolne, bardzo powolne wymieranie. Trwało to przez wieki i pewnie trwałoby jeszcze przez wiele lat, gdyby nie demon gór.

Nikt nie wie, jak dawno zagnieździł się w opuszczonych przez nas grotach. Może był tam od zarania świata, a może przybył dopiero niedawno. Bo z początku nie wiedzieliśmy, jaka moc stoi za czarnymi stolinami. Czarne stoliny. Tak by to brzmiało w waszej mowie...

Rozmnożyły się przez te wieki. Wylęgły się w mroku u korzeni gór, wykarmiły kamieniami. Może to on je stworzył, a może tylko przepoczwarzył nasze plemię. Z czasem musieliśmy raz po raz ustępować im z niższych sal, zawałając za sobą stropy. Ale wciąż chciały więcej. Niedawno dopiero pojęliśmy, że władą nimi sługa ciemnego boga. Ten, który przyszedł, by połączyć trzy skarby w jedną rękę...

— Na Swarga! — zakrzyknął Harsz, przypominając sobie słowa drzewa. — Trzy skarby ciemnego boga... dla ludzi, stolinów i boginek...

— Tak — skinął głową stolin. — On sam odszedł ze świata, ale jego słudzy, pozostali. Jego to mocą siły czarnych stolinów rosły, podczas gdy nasze malały.

— Jakżeż więc? — spytał Sternwarz. — Mówicie, że to tyle lat. I że było was wtedy wielu. Nie mogliście zetrzeć ich w proch, jeszcze przed wiekami, nim urosli w siłę?

— Tak, powinniśmy to zrobić. Dawni królowie zblądzieli. Nie pojęli, co może przynieść przyszłość. Nie dziwię im się. Przecież mieliśmy dość miejsca dla siebie. Owszem, co rusz ścierały się straże, ale wojowników nie było dość, żeby pokonać czarne stoliny. Życie płynęło jak zawsze, porządkiem uświęconym od wieków. Nie pojmujecie tego, wiem. Ludziom dano podłe ciała, tak kruche, że mgnienie oka wystarczy wam za całe życie, od narodzin do śmierci. Dlatego potraficie śpieszyć się, płonąć wysokim ogniem i cały swój czas spędzać w nie pojętym dla nas pędzie. I dlatego też nigdy nie możecie zaznać szczęścia. Ale dla nas życie człowieka ta ledwie moment. Nasza moc, to moc trwania. Nie dano nam tej siły, co wciąż każe szukać i zdobywać i nie pozwala spocząć w miejscu...

Gasziran opuścił głowę i sięgnął po puchar. Upił trochę i mówił dalej.

— Tak trwało przez wiele lat. Ta wojna wciąż się wzmagala. W końcu całe góry zatrzęsły się od szczęku broni i wtedy zaczęli nasi królowie rozumieć powagę tego, co się dzieje. Ale już było za późno. Pokonano nas. Nie orężem, nie czarem nawet, ale zdradą. Strażnicy świątyni przyjęli służbę demona gór. Korona wpadła w jego ręce... sam wtedy ledwie uszedłem z życiem. Ale wciąż jeszcze nie wiedziałem, kto stoi za czarnymi stolinami. Odnalazłem starą przepowiednię, że jeśli ludzie w porę znajdą się w świątyni, może się nie stać to, co ma się zdarzyć. Ale było już za późno... ludzie zginęli. Demon gór ukazał się po raz pierwszy. I coraz większa liczba stolinów poddawała się jego władzy. Może nawet tych opętanych jego czarem, ośleptych i ogłuchłych jest już więcej niż czarnych stolinów...

— Skoro to czar, można go pewnie odwrócić?

— Ten czar nie pokona nikogo, kto sam tego nie zechce. A łatwo zdradzić, gdy nie ma się już nadziei, jak my jej nie mamy. Nie miłujemy życia tak jak ludzie, bo duch stolina wraca po śmierci w inne ciało i nigdy nie umiera, póki trwa jego ród. Ale to właśnie, wieczne trwanie naszego plemienia, jest nam najmilsze, najdroższe ze wszystkiego. I może ci, co zdradzili, woleli, by stoliny istniały choćby pod władzą ciemnego boga, niż miałyby nie istnieć w ogóle. Brakło im wiedzy, że jeśli trzy skarby znajdują się w jednym ręku, czas się dopełni i wszystko, co żywe, zginie ze świata.

Korona stolinów... jeden z trzech skarbów. Tu właśnie, w świątyni, przechowywana była od niepamiętnych czasów. A teraz wpadła w ręce czarnych stolinów. Nie dało się jej odzyskać. Odepchnięto nas od świątyni, nasza moc przepadła... Czarne stoliny porwały nasze kobiety, te zresztą zawsze podatniejsze były na czary demona gór... prawie ich już nie ma wśród wiernych. Musimy zginąć i tak. Ale widocznie demon gór nie chce czekać. Może i z innymi skarbami ciemnego boga dzieje się coś złego na szerokim świecie? Nie wiem. Dość, że czarne stoliny kują nowe korytarze. Są już nad nami i pod nami, wszędzie. Niedługo runą na nas. A kiedy zginiemy, kiedy czarne Stoliny bez reszty zawładną górami, ruszą dalej, do puszczy, na równiny, aby szukać dwóch pozostałych skarbów...

Gasziran umilkł, kryjąc gestem zupełnie ludzkim szczeniasty pysek w szerokich dłoniach. Trwało to długo.

— Czas już na mnie — rzekł wreszcie Gasziran. — Muszę rozważyć spokojnie, czy wasze przybycie cokolwiek zmienia i co najlepiej teraz uczynić. Choć nie sądzę, byście potrafili odmienić los. Pomówimy zresztą o tym później. Teraz idę do moich wojowników. Przyślę tu kogoś, by posłużył wam za przewodnika.

— Nie powiedziałaś nam, co się stało z Ihordem — spytał jeszcze Sternwarz, zatrzymując stolina już w drzwiach.

— Umiał ustrzec swój cień. Przez długie lata walczył razem z nami przeciw czarnym stolinom, ale interesowała go tylko świątynia. Obmyślił plan jej odzyskania... może i dobry, gdybyśmy mieli więcej wojowników. Dlatego właśnie was wzywał. Jednak gdy powiedziałem mu, że mój syn zginął i że nie przybędziecie, wziął garść moich wojów i poszedł z nimi w ciemne korytarze. Nikt ich więcej nie oglądał. Mam nadzieję, że Ihord nie żyje.

Nie pojęli z początku jego słów. Jeden Blizbor zrozumiał, co miały one znaczyć: „Mam nadzieję, że nie spotkał go los gorszy od śmierci”.

* * *

Po wyjściu Gaszirana długi czas siedzieli w zadumie, nie mogąc niczego postanowić. Nie znali podziemi — nie zdawali sobie nawet sprawy, gdzie są ani gdzie jest świątynia.

— Bogowie, gdybym wiedział wcześniej — westchnął w końcu Żegost i osunął się na obite złotogłowie łóżko. — Korona stolinów! Tyle jest na szerokim świecie gór, w których

schroniły się niedobitki stolinów, a ona cały czas była właśnie tutaj. Ledwie parę dni drogi, tuż pod ręką. Któż mógłby pomyśleć?

— Wiem tylko tyle, że drugi raz już nie ucieknę — rzekł Sternwarz. — Chcę zginąć z wami, jeśli tak już musi być.

— Więc to korona była tym skarbem obiecywanym Ihordowi? — spytał Harsz.

— Nie było o tym mowy. Opowiadał nam wtedy o złocie i klejnotach, o tej koronie pierwszy raz usłyszałem.

Blizbor w milczeniu opatrywał swój topór, gładząc palcami jego ostrze.

— Czuję, że przynajmniej czeka nas lepsza śmierć niż sześnięcie z głodu w jakimś ciemnym lochu. Bogowie, nie na nasze siły jest to zadanie, ale musimy je podjąć, skoro nie ma w pobliżu nikogo silniejszego.

— Tak właśnie jest, jak rzekłeś.

To powiedział Zegost. Siedział nieruchomo i wpatrywał się w płomienie na palenisku, jakby w nich właśnie szukał odpowiedzi na swoje pytania. Otworzył na chwilę sakwę, sięgnął po węzełek z urocznym zieleń, wydawało się, że chciał sprawdzić, czy jest tam nadal. Ale po chwili zamknął ją bez słowa.

Czekali długo. Sznur, którym stoliny mierzyły czas, zdążył dopalić się do połowy, nim wreszcie przyszedł zapowiadany przez Gaszirana przewodnik. Był to groźnie wyglądający stolin w poobijanej zbroi. Jak wszystkie stoliny, mówił ochryple i gardłowo, rozciągając słowa, tak że slengañska mowa brzmiała w jego ustach jak zgrzytanie stali po kamieniu.

Rzucił na stół swój hełm, szeroką, mocno okutą tarczę odstawił pod ścianę, po czym usiadł ciężko w kamiennym karle. Za pasem tkwił mu topór, którego jedno ostrze było wyszczerbione.

— Witajcie — powiedział. — Możecie nazywać mnie Szerinem. Wybaczenie, że tak długo musieliście na mnie czekać, ale źle się u nas dzieje i mało kto ma czas, by oprowadzać was po jaskiniach.

— I my mamy niewiele czasu. Nie przybyliśmy tu, by podziwiać wasze bogactwa. Dowiedzieliśmy się już, że Ihord poległ, ale to nie zwalnia nas ze słowa, które dał przed laty waszemu wodzowi. Chcemy iść do świątyni.

Stolin pokiwał głową.

— Ihord — w jego ustach brzmiało to „Ihoor” — był mężnym człowiekiem i jeśli jesteście do niego podobni, winien może jestem więcej szacunku, niż to okazałem. Ale wybaczenie, przybyłem tu prosto z ognistej pieczary, gdzie wiele czasu spędziłem z toporem w garści. Dziś znowu czarne stoliny próbowały przedrzeć się przez pieczarę. Odparliśmy je, choć z naszego oddziału nie zostało już więcej niż czterdziestu wojowników, a z nich mało który jest bez szwanku. Nie będzie nowych. Korytarze w ognistej pieczarze są wąskie i do ich obrony wystarczy mała siła, bo walczyć tam może najwyżej po trzech z każdej strony. Większość tych, którzy pozostali, strzeże kryształowej groty, ale długo to już nie potrwa. Czarne stoliny kują nowe sztolnie. Słychać to w wielu miejscach. Gdy przebiją się przez skały i zajdą nas od tyłu, skończą się nasze czasy w tych górach. Zbyt mało mamy wojowników, by strzec wszystkich granic, a i z tych, co pozostali, wciąż kogoś ubywa... Tak, ale nie o tym miałem mówić. Ihord nic nie zdołał swoim męstwem. Wziął wielu najdzielniejszych i poprowadził ich na pewną śmierć. Wszystkie drogi do świątyni są już w rękach wrogów. On spróbował przejścia przez jaskinię śmierci, przekłute miejsce, które otwiera się pod górą, zwaną przez was Szedny Werh...

— Wiem, o jakiej górze mówisz — przerwał mu Sternwarz. — To pierwszy szczyt Stolinhregdu, daleko od północy.

— Stamtąd właśnie miał zejść do świątyni jaskinią śmierci, w której przez wieki chowaliśmy zmarłych... Nie wiem, czy tam dotarł, czy może już wcześniej dopadli go

wrogowie. Dość że była to myśl szaleńcza. Gdyby miał ze sobą pięć setek wojów, to byłoby to jeszcze za mało, aby dostać się do świątyni.

Zegost podniósł się nagle i zaciskając pięści na pasie, stanął przed Szerinem.

— Dość tego — powiedział twardo. — Jedno, co tu słyszymy, to to, że wasz koniec jest bliski. Na Swarga, język mnie świerzbi, by rzec, że po prostu na nic lepszego nie zasłużyliście. Czy potraficie już tylko siedzieć i lamentować, czekając, aż wrogowie przyjdą poderżnąć wam gardła? Czy i nam każecie robić to samo? Przeszliśmy trudną drogę. Stawiliśmy, czoła słudze złych sił, który tropił nas aż do wielkiej przepaści. Nie robiliśmy tego po to, żeby teraz siedzieć w tej komnacie. Jeśli potrafisz nam wskazać drogę do świątyni, zrób to, a jeśli nie, pójdziemy sami gdziekolwiek przed siebie!

Stolin dłuższą chwilę siedział nieruchomo i przyglądał się Żegostowi ze zdumieniem.

— Jedyna droga do świątyni wiedzie przez kryształową grootę — powiedział wreszcie. — Most tamtejszy jest wciąż w naszych rękach, ale zaraz za nim zaczyna się władza demona gór. Nikt tamtędy nie przejdzie nie zauważony. Jeśli jednak chcecie, zaprowadzę was tam. Tak zresztą kazał mi nasz wódz.

— Od dawna jesteśmy gotowi do drogi.

Szerin podniósł się i skinąwszy głową, by szli za nim, skierował się ku drzwiom komnaty.

* * *

Blizbor wiele potem opowiadał o jaskiniach stolinów i o cudach, które w sobie kryły, a których mieszkańcy puszczy nawet nie umieliby sobie wyobrazić. Potrafił o nich mówić całymi dniami, wciąż przypominając sobie nowe szczegóły. Sam jednak przyznawał, że wtedy, gdy szli za Szerinem, nie mieli zbyt głowy do podziwiania misternie rzeźbionych sklepień, wspartych na wysokich kolumnach, ani zdobiących ściany rzeźb i ornamentów, ani nabijanych kruszcem i szlachetnymi kamieniami płyt, po których stąpali. Widok tego labiryntu, w jaki pokolenia stolinów zmieniły stworzone przez bogów górskie groty, bardziej ich przerażał, niż zachwycił. Żaden z nich nie potrafił ogarnąć myślą płataniny lochów, tuneli i sztolni, przez które szli, żaden też nie wiedział, gdzie są i w jakiej stronie znajduje się ich kraina. — Nie wszędzie podziemia wyglądają tak jak tu — mówił Szerin. — Zostało nam niewiele z dawnego królestwa stolinów, ale jest to najstarsza i najpiękniejsza część podziemi. Każdy kamień gładzono tu i ozdabiano przez setki lat.

Szerin bez trudu prowadził ich przez gąszcz identycznych pozorów z pozorów korytarzy, w ścianach których istniały wejścia do rozległych komnat. Miejscami stropy były tak niskie, że musieli schylać głowy, to znów otwierały się wokół nich ogromne przestrzenie, zdolne pomieścić spory zagajnik. Ściany tych grot pokrywały wykute w skale kruźganki, z których można było przejść do setek rozgałęziających się korytarzy, a u sklepień zwieszały się lampy ze złota i górskiego kryształu.

Szli w ciszy, raz po raz tylko dobiegały ich z dala stłumione okrzyki, tupot nóg albo szczęk broni. Nieliczne stoliny mijane po drodze zdawały się ich nie zauważać. Czasem tylko pozdrowiały Szerina podniesieniem dłoni i chrapliwym mruknięciem, po czym szły w swoją stronę, rozmawiając w niezrozumiałym dla ludzi języku. Jedynie z ich głosów mogli rozeznaczyć gorycz i smutek, gdy czasem któryś opierał bezsilną dłoń na głowni przytroczonego do pasa topora.

To wspinając się po stromych schodach, to znów schodząc w dół, dotarli wreszcie do ogromnej groty, której ściany lśniły tysiącem uwieczonych w górskim kryształku iskier. Nie było tu lamp — w poprzek groty biegła szeroka na pół strzelenia z łuku przepaść, z głębi której bez ustanku biły płomienie, rozświetlając wszystko złotopurpurową łuną. Brzegi przepaści spinał potężny most, cały zrobiony z górskiego kryształu. Zdawało się w blasku płomieni, że wypełnia go ogień. Był wprawdzie wygładzony i ozdobiony podobnie jak

oplatające grootę krużganki, widzieli jednak od pierwszego spojrzenia, że nie został on wybudowany przez stoliny. Tak wyciosali grootę bogowie. Niegdyś mostów było więcej, łączyły oba brzegi ognistej przepaści wyżej i niżej, teraz jednak pozostały z nich tylko kamienne złomki, sterczące bezradnie nad otchłania.

Po obu stronach mostu przechadzali się lub siedzieli nieliczni wartownicy, chroniąc się za kamiennymi poręczami i usypiskami. Więcej stolinów obozowało w wejściach korytarzy i na krużgankach. Pośród nich spotkali i Gaszirana, który stał w rozwidleniu lochów i rozmawiał z jednym z wojowników. W swej złotej zbroi, roziskrzonej setką poblasków, zdawał się górować nad swym rozmówcą.

— To Skarh, on dowodzi obroną groty — objaśniał Szerin — Wczoraj, nim znaleźli was zwiadowcy, naszym wrogom udało się tam przerzucić kładkę — wskazał dłonią na złomki mostu, głęboko w dole przepaści. — Sroga to była walka, ale zepchnęliśmy ich w końcu. Skarh dzielnie się tam spisał, jak na wodza przystało. Nikogo jednak to zwycięstwo nie cieszy, bo wiemy dobrze, że była to tylko próba. Zbyt mało nas, by upilnować wszystkie wejścia do kryształowej groty.

Gasziran tymczasem odprawił Skarha i zbliżył się do nich.

— Siądźcie, gdzie wam będzie wygodnie — rzekł. — Podjąłem decyzję. Jeśli nadal zamierzacie iść do świątyni, będzie nam po drodze.

— Powiedzieliśmy raz i nie zmienimy słowa — odpowiedział mu Żegost. — I ja po drodze zdecydowałem się, co nam trzeba robić. Kiedy wyruszaliśmy z domu, nie wiedzieliśmy, po co idziemy w góry i co nas tu wzywa. Rozważyłem jednak znaki, które widzieliśmy, i przygody, które spotkały nas po drodze. Nie wszystkie jeszcze rozumiem, ale jedno jest dla mnie pewne. Ktoś potężny wyraźnie chciał, byśmy ruszyli, i czuwał nad nami, byśmy tu dotarli. Nie jesteśmy sami. Może w tym właśnie jest nadzieja, której tak bardzo wam brakuje. Czuję całym sercem, że świątynia jest naszym przeznaczeniem i jeśli cokolwiek mamy zdziałać, moi towarzysze muszą się tam dostać.

Usiedli wraz z Gasziranem pomiędzy dwoma wielkimi kolumnami z kryształu. Gasziran wydał jeszcze kilka poleceń, po czym zwrócił się ku nim. Wtedy Żegost zaczął mu pokrótce opowiadać dotychczasowe dzieje wyprawy.

— Nie myśleliśmy o tym dotąd — mówił ni to do mego, ni do swych towarzyszy. — Ale ten, który przyszedł do nas z listem Ihorda, musiał po drodze stoczyć ciężką walkę. Jego zbroja była porąbana, a jedno tylko przychodzi mi na myśl ostrze, które mogłoby przebić taki pancerz. To miecz niewidzialnego jeźdźca. Słyszałem już kiedyś o nim, dawno temu, lecz wtedy skłonny byłem uznać to za jedną z wielu bajek, jakimi straszą się przy winie Estarończycy. Ten jeździec wyruszył na świat przed wiekami, w zaraniu dziejów, gdy bogowie wspierani przez ludzi i wszystkie inne stworzenia na świecie toczyli ze sobą największą ze wszystkich wojen. Jednak nie opuścił świata wraz ze swym panem. Krąży po nim posłuszny jego rozkazom, ucieka zawsze przed silniejszym od siebie, a jest bezlitosny dla słabszych. Kto wie, czy nie należymy do jedynych ludzi, którzy widzieli go i mogą o tym zdarzeniu opowiadać.

— To, że syn mój sprostał w walce takiemu przeciwnikowi, jest pociechą dla mego serca — rzekł Gasziran.

— Wiesz dobrze, że nie byłby do tego zdolny. Skoro więc, choć ranny, dotarł do nas, to znaczy, że ktoś mu w tej walce pomógł. Ktoś, kto mógł się mierzyć z niewidzialnym jeźdźcem.

Stolin zdjął z głowy złoty hełm i w zamyśleniu tarł dłonią czoło.

— Przekonałeś mnie, człowieku. Dziwne to, bo dźwigam na sobie mądrość długiego żywota, trwającego podług waszej rachuby sześć setek lat, a wy przynieśliście mi nagle nadzieję, której dotąd nie mogłem dojrzeć mimo całej swej wiedzy.

— Powiedz lepiej, że właśnie przez nią. Zbyt wielka mądrość przygniata tylko jak ogromny głaz, nie pozwala usłyszeć głosu własnego serca. Lepiej jest nie patrzeć zbyt daleko. Myślę, że zawsze, przynajmniej wśród ludzi, więcej działali ci, co kierowali się porywem serca, niż mędrzy. Słyszałeś pewnie o estarońskim królu Othomarhu. Właśni jego ludzie uważali go za szaleńca, gdyż za nic miał uczone rachuby i wciąż porywał się na rzeczy nieosiągalne. A jednak to on właśnie, nie uczoney Arrain czy rozważny Haramer, doprowadził swoje królestwo do szczytu potęgi.

— Prawda — mruknął Sternwarz. — Toż udało mu się pobić nawet Hodbora, a nie było w dziejach Slengu większego wojownika.

— Nie będę się z tobą spierał, Żegoście. Mimo że twe słowa wydają mi się nierozsądne, wydarzenia zdają się przyznawać ci rację. Postanowiłem już, co uczynimy, a wasza opowieść utwierdziła mnie w tym.

Mówiąc to Gasziran obrócił się w stronę, gdzie z głębi korytarza wmaszerowywał właśnie na krużganek oddział stolinów. Ich tarcze lśniły w jaskrawych płomieniach, a purpurowe blaski pełgały po hełmach i ostrzach toporów.

— Ściągnąłem tutaj prawie wszystkich, choć wiem, że niedługo już otworzą się nowe korytarze i wrogowie zaleją nasze jaskinie. Z początku chciałem bronić swego władztwa od wszystkich stron i w miarę potrzeb stopniowo cofać się ku złotej sali, sercu królestwa stolinów. Nie wątpię, że ku niej właśnie kierować się będzie natarcie wrogów. Zmieniłem jednak ten zamiar. Skoro dopała się sznury, a na świecie ponad górami wstanie świt, ruszymy do natarcia przez ten most. Myślę, że tego czarne stoliny najmniej się spodziewają. Zdążyły przekonać się już, że zawsze postępuję, rozważnie i staram się unikać nadmiernych strat. Tą siłą zdołamy się chyba przebić przez pierwsze linie wrogów. Ilu ich tam jest, nie wiem. Być może zdołają nas zatrzymać. Jeśli jednak przejdziemy, jest szansa, że zmylimy pogoń i zdołamy dostać się do świątyni. Sam powiodę. Koniec i tak jest już pewny, a gdzie godniej mi umierać niż właśnie tam, w świątyni, którą przez tyle lat miałem w swojej pieczy?

— Pierwszy raz, odkąd tu przybyliśmy, słyszę słowa, które mogą uradować serce mężczyzny — odezwał się Sternwarz. — Po co przed laty, gdy byłem tu po raz pierwszy, mamieś nas opowieściami o skarbach? Gdybym wiedział wtedy od początku, z kim walczyliśmy i o co, może bym nie stchórzył...

— Sam tego wtedy do końca nie wiedziałem. I obawiałem się, że jeśli powiem wam całą prawdę, odejdziecie stąd. Demona zwyciężyć może tylko demon. Ale nie na to liczyłem, że go pokonacie — Gasziran pokręcił głową. — Sam właściwie nie wiem na co... Znam wszystkie przepowiednie, a jest ich wiele, wśród nich tak stare, że nikt już dziś ich nie rozumie i nie przypisuje im żadnego znaczenia. Jedna z najstarszych mówiła, że gdy wszystko już zawiedzie, uratować nas może sprowadzenie do świątyni ludzi, ale nie może to stać się za późno. Mówiłem wam już o niej. Przez ostatnie lata zastanawiałem się nad tym i utwierdziłem w przekonaniu, że właściwy czas był wcześniej, nim świątynią zawładnął demon gór. Może jednak... Zaległa cisza.

— Musicie iść do świątyni — powtórzył wreszcie Żegost.

— Musicie? — Blizbor pierwszy otrząsnął się ze zdziwienia. — Czyżbyś ty nie szedł z nami?

— Dla mnie przeznaczone jest inne zadanie. Nie, nie myślcie, że brak mi odwagi. Ale Gasziran powiedział rzecz bardzo słuszną: demona pokonać może tylko inny demon. Na nic tu ludzka moc, choćby był wśród nas sam Gaszron Mocarny. Na świat musi wydostać się wieść o tym, co tu zastaliśmy. Ja jeden to potrafię... Muszę opuścić jaskinię, poczuć wiatr na policzkach. Nie pytajcie mnie o nic, bo nie usłyszycie odpowiedzi, choć mam nadzieję, że zdążycie ją zobaczyć.

Patrzyli na niego i nic nie rozumieli.

— Nie pojmuję, o czym mówisz — rzekł Gasziran. — Zresztą wyjść stąd jest równie trudno, jak dojść do świątyni. Istnieje wprawdzie jedna stara sztolnia, która łączy nas ze światem, i nie sądzę, by ktoś jej bronił. Ale prowadzi ona donikąd. To tylko stary kanał, doprowadzający powietrze do najniższych poziomów.

— Muszę tak zrobić — Żegost podniósł się powoli. — Każ, żeby ktoś wskazał mi drogę.

Gasziran otwierał już usta, nie zdążył jednak odpowiedzieć. Żegost zachwiał się nagle w pół słowa i bez jednego nawet jęku osunął się na ziemię. Przypadli do niego. Twarz miał bladą, pokrytą kropelkami potu, zęby zaciśnięte. W szklistych oczach dostrzegli cierpienie.

Z gardła dobył mu się bolesny skowyt. Poczuł nagle, jakby rozrywano go na dwoje, drąc trzewia i gruchocząc kości. Gdyby Sternwarz nie przytrzymał go z całej siły, rozbiłby sobie głowę o kamienie, wijąc się z bólu.

— Na Swarga! — krzyknął przerażony gospodarz, trzymając go za ramiona. — Co z tobą, Żegoście?

— On kona... — wyszeptał Harsz, pomagając Sternwarzowi.

— Nie — Gasziran pokręcił tylko głową. — To minie za chwilę. Czyżbyście już zapomnieli? Mija trzecia noc, odkąd skradziono mu cień.

Żegost zwinął się jeszcze kilka razy, po czym jego ciało nagle osłabło i miękko osunął się na ramiona przyjaciół. Westchnął ciężko i przymknął powieki. Przed oczyma wirowały mu jakieś obrazy, widział drzewa, z którymi zdążył się w swym długim życiu zaprzyjaźnić, twarze ludzi dawno już nieżyjących, skały estarońskich wąwozów, równiny Maronaru, brzegi morskie i słońca pustynię południa. Wszystkie kraje, które znał, wszystkie imiona, które słyszał, przemknęły nagle przez niego, by zginąć w ciemnym, ogarniającym wszystko wirze.

Otworzył oczy po chwili, która jego przyjaciołom zdawała się trwać całe miesiące.

— Pamiętam, tak samo było z Naborem Nawranżą z wyprawy Ihorda — ciągnął Gasziran.

— Trzy dni minęły... Gdzieś daleko stąd twój cień powstał mocą czarów demona gór. Wyruszy wkrótce, by cię zabić. Nie znam niczego, co mogłoby ten czar zniweczyć. Cóż mogę ci więcej powiedzieć, Żegoście.

Żegost był słaby jak dziecko. Z ledwością podniósł do ust podany mu kubek ze złocistym płynem. Pił długo, zanim poczuł się mocniejszy.

— Sami widzicie — powiedział wreszcie spokojnym z pozoru głosem. — Nie mogę z wami pozostać. Muszę ruszać, i to czym prędzej.

— Nie zdołasz wyjść z jaskiń — przerwał mu Gasziran. — Nim dotarłbyś do wyjścia ze sztolni, ogarnęłaby cię znowu słabość większa od tej.

— A jednak muszę. Od tego zbyt wiele zależy, żebym poddał się nawet nie próbując.

— Nie — powiedział Harsz i podniósł się nagle. — Ja podejmę twoje zadanie. Gasziran ma rację. Jak długo tu szliśmy? Ile trzeba sił, by wydostać się z powrotem?

Żegost milczał, ważąc jego słowa. Wiedział dobrze, że moc, z jaką przyjdzie spotkać się Harszowi, przerasta jego siły.

— Wiem, że pewnie nie zdaję sobie sprawy, na co się porywam — rzekł Harsz, jakby zgadując jego myśli. — Ale żaden z nas tego nie wiedział, gdy wyruszaliśmy. Czuję, że powinienem cię zastąpić.

Przez długą chwilę Żegost wahał się jeszcze, nim rzekł.

— Dobrze. Widać tobie to jest pisane, nie mnie. Ruszaj więc co żywo.

— Wrócę, jeśli zdołam — mówił Harsz i począł żegnać się z przyjaciółmi.

— Chcę, żebyś to wiedział — Sternwarz zbliżył się do niego, opierając dłonie na jego ramionach — bo może już nie będzie mi dane cię zobaczyć. Gdybym zginął, a tobie udało się powrócić, wszystko, co mam, należeć będzie do ciebie. Taka jest moja wola i przed odejściem powiadomiłem o niej włodarza Isthorny.

Harsz bez słowa pochylił się do jego kolan, ale gospodarz powstrzymał go i przycisnął do szerokiej piersi. Obaj nie potrafili powstrzymać łez, które nagle nabiegły im do oczu.

— Spiesz się — powiedział Żegost sięgając do sakwy.

* * *

Bitwa w kryształowej grocie rozpoczęła się jednak wcześniej, niż to Gasziran zamierzył. Sznury nie zdążyły się jeszcze dopalić, gdy do groty wpadł zziębnięty posłaniec. Już biegnąc poprzez długie, wyciosane w kryształ schody, krzychał: „Wrogowie w wysokiej komnacie! Szkarłatna brama w ogniu!” Ludzie co prawda nie rozumieli jego słów, lecz nietrudno było zgadnąć, jakie wieści przynosi.

Po chwili z przeciwległej strony groty dobiegł ich narastający łoskot. Jednocześnie ze wszystkich niemal wyjść runęła fala czarnych stolinów. Jak groźny pomruk niosła się po podziemiach, ustokrotniona echem, ich złowroga pieśń. Trudno było dosłuchać się w niej melodii czy słów, ale była z tego jednostajnego krzyku kilkuset gardzieli jakaś niepojęta groza.

Gasziran zdążył rzucić na most jeden ze swych oddziałów, nim czarne stoliny dotarły do przegradzającego drogę kamiennego szańca. Na nim dwie rotę starły się potężnie, aż echo tego starcia obito się po wszystkich korytarzach. Szeregi walczących stłoczyły się na moście i nastawiły ku sobie tarcze. Tnąc, depcząc się i tratując, syjąc trupami w przepaść i zlewając kryształ krwią, odpychały się nawzajem o kilka kroków to w jedną, to w drugą stronę. Wkrótce jednak stało się jasne, że czarne stoliny biorą górę. Z wolna, krok po kroku, zbliżały się do drugiego końca mostu. Już opanowały szaniec i rozsypały go, torując drogę nowym oddziałom, wciąż ukazującym się po przeciwnej stronie groty.

W tym pierwszym starciu ludzie nie brali udziału. Stali na czele oddziału, który Gasziran przygotowywał do walki, i szykował właśnie do uderzenia. Sternwarz powolnym, dostojnym ruchem odsłonił włócznię, zawiesił pokrowiec u pasa, po czym, trzymając broń w zgięciu łokcia, zasłonił twarz bojową maską, malowaną w cztery kolory rodu Astarhów. Blizbor dobył swego topora i oparty na nim śledził z uwagą bój, który toczył się opodal, nieco niżej, niż znajdował się kryształowy most. W wielu miejscach bowiem czarne stoliny starały się przerzucać nad przepaścią długie, żelazne kładki lub zaczepiać nad nią liny. Sypały się na nich pociski rozstawionych wzdłuż rozpadliny procarzy Gaszirana, w końcu jednak na jednym ze zburzonych mostów udało im się dopiąć swego. Po wybiciu do nogi obrońców przebiegały teraz nad otchłanią długim, nie kończącym się szeregiem. Ten i ów zachwiał się trafiony kamieniem z procy i runął w płomienie, lecz reszta nie dbała o to i mknęła dalej.

Przed oczami mignął Żegostowi Skarh, który na czele kilkudziesięciu wojowników pędził w otwierający się niedaleko korytarz. Gasziran krzyknął coś za nim, lecz w bitewnym zgiełku Skarh nie usłyszał jego słów.

Idąc z odsieczą, postąpił słusznie, lecz w złej chwili ogołocił most z obrońców. Zaledwie ucichły ich kroki, po przeciwnej stronie pojawił się nagle nowy oddział wrogów. Ze swego miejsca ludzie nie mogli dostrzec końca wylewających się z trzech naraz korytarzy szeregów. Widzieli tylko wzniesiony nad nimi czarny buńczuk, spod którego zwieszały się aż do ziemi pokryte tajemniczymi znakami wstęgi.

Obrońcy mostu nie mogli wstrzymać impetu, jakim nowa fala czarnych stolinów zasilila natarcie. Piędź po piędzi ustępowali z mostu, zaścielając go trupami. Stało się jasne, że za chwilę pierzchną.

Gasziran krzyknął coś w swoim języku, wskazał toporem most, stanął obok ludzi i w pierwszym szeregu ruszył do bitwy. Wydawało się, jakby odmłodził nagle o wiele lat.

— Za mną! Tarh! — krzyknął Sternwarz, rzucając się za stolinem z nastawioną do boju włócznią.

Nie tracąc ani chwili, ruszyli biegiem za nimi.

Czas był najwyższy, bo wrogowie dochodzili już do przeciwległego brzegu przepaści, by rozlać się po nim groźną, niepowstrzymaną falą. Zdążyli jednak dopaść ich niemal w ostatniej chwili i w ten sposób zaczęła się głęboko pod górami walka, jaką nawet w tamtych dobrych czasach, kiedy po ziemi chodziło jeszcze wielu mężnych wojowników, trudno było zobaczyć.

Oto już, minawszy osłabłych od długiego boju i tracących nadzieję obrońców, wpadają jak burza w ciżbę wrogów, kładąc pierwsze szeregi pokotem. Włócznia Sternwarża lśni jak piorun, dwoi się i troi w jego rękach, spada na łby i ramiona przeciwników, tnie kolczugi i hełmy, jakby zrobione były z drewna, a nie z żelaza. Czarne stoliny zatrzymują się przerażone widokiem strasznych, ogromnych wojowników, z którymi żaden z nich dotąd się nie spotkał.

Kątem oka Sternwarż widzi Blizbora. Ten, chwyciwszy topór w obie dłonie, wali na odlew, aż posoka tryska na wszystkie strony. Pod jego uderzeniami tarcze i hełmy pękają jak gliniane garnki. Obok niego walczy Żegost. W bojowym szale wracają mu siły. Obraca krótkim mieczem zwinnie i z rozważą, przykładając się do każdego ciosu tylko tyle, ile potrzeba. Miecz w jego ręku wije się jak żmija, zbija zasłony, omija nastawione tarcze i co chwila grzęźnie bezbłędnie w nie chronionych kolczugą szyjach. Na drugim skrzydle, koło Sternwarża, stanął Gasziran, bijąc w uniesieniu toporem jak za dawnych lat, zanim starość i wiedza przygięły go do ziemi i odebrały nadzieję i wolę do walki. Za tą czwórką posuwa się powoli fala stolinów.

Już są przy końcu mostu. Czarne stoliny zdążyły wreszcie otrząsnąć się z zaskoczenia, przypomnieć sobie opowieści o mieszkańcach nadziemnego świata, których można przecież pokonać tak samo jak każdego innego wroga. Widzą zresztą, że jest ich tylko trzech. Nacierają zewsząd, pchani przez dalsze szeregi. Ale ludzi ogarnia już szal bitwy, nie lękają się ogromnej liczby wrogów. Przed Blizborem co chwila robi się pustka. Z pianą na ustach, z obłędem w twarzy, nie dbając o własne życie, rzuca się w największą gęstwę wrogów, kładąc ich, jak wiatr wykłada łany zboża. Idący obok Sternwarż walczy w nie mniejszym uniesieniu, ale jest zbyt starym i wyćwiczonym wojownikiem, żeby tracić rozsądek. Siedzi uważnie nieprzyjaciół, z pozoru spokojny, skupiony, z wyrobioną latami ćwiczeń sprawnością, uderzając zawsze tam, gdzie trzeba. Krwawe ostrze, wiedzione nieomylnym, tkwiącym we krwi każdego prawdziwego woja instynktem, nie zatrzymuje się ani na chwilę, płata głowy i ręce wrogów, zanim byliby w stanie sięgnąć przeciwnika.

Taka walka więcej jest warta niż całe życie spędzone na gorzkich rozważaniach w zawartym na głucho dworzyszczu. Po to tu przyszedł. Nie zatrzyma się teraz, nie zwolni ruchów. Przemógł strach, przemógł słabość. Wrócił. Zginie, ale pokaże najpierw, co był wart. Świst ciętego powietrza nie milknie ani na moment. Zaklęty w stal włóczni demon opije się dziś krwi, wzmocni, jak jeszcze nigdy dotąd.

Długo już trwa walka. Wbici w ciżbę czarnych stolinów, otoczeni z trzech stron, nacierają nadal. Już są przy wznoszącym się nad szykiem wrogów buńczuku. Świst włóczni i oto buńczuk chwieje się, potyka, znów się unosi, podtrzymany czyjąś dłonią, i wreszcie upada na kamienie, gdy doskakuje do niego wywijający okrwawionym toporem Blizbor. Sternwarż o dwa kroki, tuż za szeregiem żelaznych tarcz, dostrzega nagle stolina, w obu rękach unoszącego ponad głową kamienny posążek, identyczny jak ten, który widzieli w warowni. Bez chwili namysłu rzuca się ku niemu, rozwalając każdego, kto odważa się stanąć mu na drodze. W końcu sztych włóczni grzęźnie w piersi stolina, posążek spada na ziemię i kruszy się na proch. Już powstaje z jego okrucichów złowroga, czerwona poświata, gdy Gasziran, wyciągnawszy ku niej rękę, szepcze jakieś zaklęcie. Z jego dłoni spływa obłok błękitnej mgły i w jednej chwili tłumi krwawy blask.

Niemal w tej samej chwili szeregi wrogów łamią się nagle i pierzchają w popłochu. Teraz ludzie i stoliny Gaszirana widzą przed sobą plecy nieprzyjaciół. Pędzą za nimi, wpadają w labirynt ciemnych korytarzy. Kryształowa grota została już daleko z tyłu. Stoliny rozlewają

się po rozgałęzionych na wszystkie strony lochach, w pogoni za pierzchającymi wrogami. Dobrze by było położyć jeszcze choć kilku, a potem nawet zginąć, byle z tą radością zwycięstwa.

Wokół robi się pusto. Gasziran odwraca się, szuka wzrokiem swoich. Jest ich tylko kilku, reszta rozbiegła się w pogoni. Chce skrzyknąć ich do kupy, obsadzić znowu most, dać strudzonym mięśniom chwilę odpoczynku. Tak, koniecznie powinien to zrobić, inaczej następne natarcie przetoczy się przez kryształową grootę i zdepcze tych nielicznych, którzy tam zostali.

Ale kryształowa grota jest już i tak stracona. Oddziałek Skarha był zbyt mały, żeby na dłuższy czas powstrzymać wdzierającą się przez lukę w obronie falę. A jeśli nawet, czarne stoliny przyjdą z góry lub z boków. Kilkanaście lat trwająca granica jego władztwa, oparta na sześciu ogromnych salach połączonych ze sobą gęstwą korytarzy, pękła w zbyt wielu miejscach, żeby dało się ją utrzymać.

I po chwilowym upojeniu zwycięstwem powraca znów gorycz nieuchronnej klęski. Gasziran przystaje, zdejmuje hełm, ociera dłońmi twarz.

— Świątynia... — szepcze Żegost, wspierając się na ramieniu stolina. — Świątynia...
Gasziran kiwa głową i wskazuje okrwawionym toporem kierunek.

* * *

Tymczasem przeciwnicy przyszedli do siebie szybciej, niż można by się spodziewać. Nowe, przybyłe nie wiadomo skąd oddziały opanowały ogołocony z obrońców most, inne ruszyły w pościg za tymi, którzy przebili się do niższych korytarzy. Zwycięska pogoń zmieniła się w ucieczkę, w płataninie lochów zapanował na dłuższy czas zamęt i niemal każdy oddział był zarazem gonionym i goniącym. Z wolna jednak czarne stoliny brały górę. Porozrywany na kilka, kilkanaście toporów liczące grupy oddział Gaszirana został w końcu otoczony w dziesiątkach komnat, gdzie długo jeszcze pojedyncze gromady miały bronić się zaciekle, nie wiedząc o sobie nawzajem.

Ludzie wraz z Gasziranem i kilkoma jego podwładnymi zdołali wymknąć się pogoni. Szli teraz w kierunku świątyni, klucząc wśród korytarzy. Nieśli tylko jedną pochodnię, by nie zwrócić na siebie uwagi.

— Czy to daleko? — spytał wreszcie Blizbor.

— Prostą drogą dotarlibyśmy w pół dnia. Tak, jak teraz prowadzę, potrwa to trzy razy dłużej. Jeśli, oczywiście, po drodze nikogo nie spotkamy, a trudno na to liczyć.

Szli szybko, skręcając często. Stoliny szeptały coś między sobą.

— Na Swarga, pięknie stawiałeś, Blizborze — powiedział Sternwarz. — Bogowie nie poskapili ci siły. Powinieneś być wojownikiem, nie gędziarzem.

— Gędziarzowi też się to czasem przydaje, jak widziałeś. Choć nie myślałem nigdy, że na przykład będę musiał kiedyś trzymać linę, na której wisi dwóch ludzi. — Zamyślił się. — Szkoda, że nie przybędzie tu ten, co nam wtedy pomógł. Odszedł w las i nie wiem nawet, kto to był.

— Odwiedził nas jeszcze — odezwał się podtrzymywany przez gędziarza Żegost. — Tej nocy, gdy zasnęliście obaj, po moim ozdrowieniu. Nie budziłem was, bo zwykłym ludziom źle jest stawać twarzą w twarz z taką mocą, nawet jeśli jest im życzliwa.

Gasziran wysforował się nieco naprzód, a otaczające ich stoliny nie pojmowały ludzkiej mowy. Mogli rozmawiać swobodnie.

— Zwykłym ludziom — powtórzył Sternwarz. — Na Swarga, kim ty jesteś, Żegoście, że tak mówisz? Zastanawiałem się nad tym całą drogę, więc czy mógłbyś mi zdradzić swą tajemnicę choć teraz, skoro za każdym kamieniem czai się być może nasza zguba?

— Jestem człowiekiem tak samo jak i wy — odparł Żegost. — I zapewne tak samo jak i wy zginę bezsensownie w tych lochach. Ta moc, jaką mi dano, nic nam tutaj nie pomoże.

Na rozkaz Gaszirana idący przodem stolin zgasił pochodnię. Posuwali się teraz w absolutnym mroku i w ciszy, gdyż zgiełk walki, został daleko za nimi.

— Bogowie — mówił Blizbor. — Co za gęźbę mógłbym teraz ułożyć! A przecież, choć wprawiam się w tej sztuce od dziecka, nawet ja z trudem znajduję słowa na opisanie tego, co stało się naszym udziałem.

— Cóż ci teraz z tego przyjdzie, nawet gdybyś umiał je znaleźć?

— Nie wiem. Ale gęźby są jak ludzie. Jedne młode jeszcze i nierozważne, inne stare i pełne powagi. Jedne niosą łzy, inne naukę, albo napełniają serce radością, albo nadzieją, albo rozpalają w nim płomień, który nigdy już nie gaśnie. Są i takie, które nie dojrzały jeszcze do tego, aby je opowiadać, bo brak im zakończenia. Ale gęźciarze przekazują je sobie, żeby kiedyś, gdy bogowie zamkną już losy tych, o których opowiada historia, można je było posłać między ludzi. Pamiętam jedną z takich opowieści i im dłużej nad tym myślę, tym bardziej upewniam się, że ma ona z nami wiele wspólnego...

— Dajże spokój, dobry człowieku.

— Niech mówi. Na razie mamy czas, a nie chcę wciąż myśleć o tym, co może nas spotkać za chwilę.

— To będzie bardzo krótka opowieść, bo mój mistrz przekazał mi tylko jej początek. Działo się to ponoć dawno temu, gdy ludzi nie było jeszcze w puszczy zbyt wielu i żyli w takim oddaleniu od siebie, że od jednego obejścia do drugiego iść trzeba było wiele dni. A puszczańskie siły nie darzyły ich wówczas taką niechęcią jak dziś i nie starały się im szkodzić.

— Piękne czasy — mruknął Sternwarz. — I czemuż to nie jest tak dziś?

— Bo ludzie bywają przewrotni, a na pewno są odmienni od wszystkiego, co żyje na świecie. Nieraz nawet bez złej woli zrażali do siebie puszczańskie stwory, a te są mściwe i nie zapominają niczego. Tak się zaczyna ta opowieść, że zdarzyło się pewnemu człowiekowi, którego imię dawno już zginęło w niepamięci, spotkać w lesie boginkę. Urzekła go jej piękność i w jednej chwili rozmiłował się w niej tak gorąco, jak to się dzisiaj już nie zdarza, bo z każdym pokoleniem z wolna wygasa w ludziach ten żar, jakim napełnił ich stwórca. Leśna pani też pokochała urodziwego młodzieńca i odtąd przy każdej pełni księżyca spotykała się z nim pośród leśnych ostępów. Ale ludzkie szczęście trwa krótko wkrótce z ich miłości zrodziło się dziecko i królowa puszczy dowiedziała się, co łączyło jej poddaną ze śmiertelnym człowiekiem. Strach, jaki gniew przeszedł wtedy przez puszcze, aż drzewa drżały i szumiały po całych dniach, choć nie było wiatru. Co królowa kazała zrobić z matką dziecka, tego nie wiem, ale człowiek, który odważył się pokochać boginkę, zapłacił drogo za swą zuchwałość. Od tego też czasu królestwo boginek jest dla ludzi zamknięte i biada każdemu, kto by go szukał.

Tu Blizbor przerwał na chwilę i sięgnął po bukłak. Sternwarz westchnął ciężko, bo słowa gęźciarza przypomniały mu potężne, zielone drzewa rozkołysanej wiatrem puszczy, zapach trawy i ziół w słoneczne dni i wszystko to, czego nigdy dotąd sobie nie cenił, a co nagle stało mu się droższe niż cokolwiek innego na świecie. Żegost milczał.

— A co stało się z tym dzieckiem? — spytał wreszcie gospodarz.

— O tym właśnie mówić będzie ta gęźba, jeśli ją ktoś kiedyś ułoży. Zebrał się wtedy wielki sąd demonów, by zdecydować, co począć z chłopcem należącym zarazem do obu światów. Długo radzili władcy puszczy i w końcu postanowili, że przypadnie mu los człowieka. Dano mu długie życie i oszczędzono starzenia się, ale zarazem wlano mu w serce ludzką niepewność, żeby nigdy nie wiedział, gdzie i kiedy dopełni się jego los. Rozpalono w nim ludzki płomień, żeby dążył do rzeczy wielkich i wiecznych i żeby nieobce mu były ludzkie zgryzoty. I napełniono mu serce tęsknotą na miarę bogów, tęsknotą za tym, czego ludzką

naturą nie da się objąć, aby nigdy nie był syty życia i wszystkiego, co go w nim czeka. I tak osądziwszy, władcy puszczy posłali go w świat.

— Gadasz jak to gędziarze, niby prawdziwie, a inaczej. Zresztą, na Swarga! — Żegost zezłościł się nagle. — Czemuż ta historia akurat teraz ci się przypomniała!

— Bo umiem patrzeć i myśleć.

Umilkli i nigdy więcej nie mieli już do tej rozmowy powrócić.

Tymczasem stanęli u progu wielkiej sali, nie tak może ogromnej jak kryształowa, ale podobnie jak ona pełnej wejść, krużganków i tak samo przeciętej ognistą przepaścią. Ściany jej były czerwone, poorane białymi żyłkami, a mosty nad przepaścią stały nienaruszone, jako że sala ta nigdy nie była broniona. Opuszczono ją bez walki, kiedy czarne stoliny zdobyły świątynię.

Teraz sala zdawała się pusta. W półmroku, rozpraszanym przez nieliczne lampy, nie dostrzegali nikogo.

Gasziran wydał szeptem jakiś rozkaz, po czym odwrócił się do ludzi.

— Zdaje się, że mamy więcej szczęścia, niż odważyłem się spodziewać. Musimy tędy przejść nie zauważeni i jeżeli to się uda, uwierzę chyba w możliwość dotarcia do świątyni.

Szli ostrożnie, najciszej jak potrafili. Byli już w połowie drogi, tuż koło spinającego brzegi przepaści mostu, kiedy po drugiej stronie z ciemnego korytarza wymaszerował nagle oddział czarnych stolinów. Na ich widok zatrzymały się zdumione, po czym rzuciły się biegiem w kierunku mostu.

Dopiero tutaj mieli możliwość przyjrzeć się lepiej sługom ciemnego boga i ocenić trafność nazwy, którą usłyszeli od Gaszirana. W istocie stwory te przypominały do złudzenia stoliny i niewątpliwie od nich musiały pochodzić. Były tylko nieco niższe i węższe w barach, oczy miały większe i dłuższe ręce. W oddziale znajdowało się też kilka stolinów, dla ludzi nie różniących się niczym od wojowników Gaszirana. Czarne stoliny wyglądały przy nich niepozornie. W istocie były od nich znacznie słabsze, lecz za to bardziej odporne na głód i zmęczenie. Długie włosy, pokrywające ich ciała, miały barwę głęboko czarną, aż pobłyskującą granatowo, tak że lśniąca w szerokich pyskach kły zdawały się jeszcze bielsze niż w rzeczywistości.

Przeciwników było niewielu, a ucieczka mogła tylko spowodować nadejście następnych, toteż nie czekając nawet na komendę, ludzie, a za nimi cały oddziałek Gaszirana popędzili również do mostu. Mieli bliżej, więc po chwili przebiegli nad przepaścią i stanęli twarzą w twarz z wrogami.

Ale czarne stoliny nie uderzyły. Zatrzymały się nagle, przez ich gromadę przeszedł pomruk, po czym raptownie rozpierzchły się niczym sterta liści uderzona wiatrem. Nie gonili ich. Jakaś niepojęta groza przeszła nieoczekiwanie serca ludzi i stolinów. Gasziran pierwszy dostrzegł jej powód.

— Hreargh! Uciekać! — zabrzmiał jego okrzyk, odbijając się wielokrotnie od wysokich sklepień.

Z przeciwka sunęła ku nim jakaś ciemna postać, z każdym krokiem odcinająca się wyraźniej od słabego światła lamp. Postać utkana z mroku, lekka i zwiewna, a zarazem pełna niepojętej siły. Wydała im się znajoma, a każdy jej ruch potęgował to wrażenie.

Sternwarz ukrył twarz w dłoniach, Blizbor jęknął ciężko i opuścił topór. Tylko Żegost stał nieporuszony, błądzący, z przerażeniem zastygłym na twarzy. Drżąc cały, bezwiednie zacisnął dłonie na poręczach mostu. Z ust dobywał mu się krótki, urywany świst.

Postacią, która się do nich zbliżała, był jego cień. Skradziony mu w warowni Orlego Szczytu, wracał teraz. Nic go nie mogło powstrzymać. Jakiś nieszczęsny stolin, który nieostrożnie zapędził się za pierzchającymi i nie zdążył uciec przed cieniem, dotknięty tylko jego ręką w jednej chwili rozpękł się bezgłośnie na okrwawione strzępy. Cień nawet na moment nie zwolnił kroku. Zbliżał się z każdą chwilą.

— Uciekać! — powtórzył silnym głosem Sternwarz, oderwał oniemiałego Żegosta od kamiennej poręczy i rzucił go ku otwierającym się w ścianie grotę korytarzom. Zbiegli z mostu, ale już po chwili stało się dla nich oczywiste, że cień jest szybszy. Przystanęli, nie wiedząc, gdzie szukać ratunku.

Cień wciąż się zbliżał.

Blizbor rozpaczliwie rzucił się ku kolumnie podpierającej strop jednego z korytarzy. Oplótł ją rękami, szarpnął raz i drugi ze wszystkich sił. Stojące w pobliżu stoliny pojęły jego myśl i skoczyły mu na pomoc. Po chwili kolumna, pchana ich potężnymi ramionami i rąbana toporami, przesunęła się z trzaskiem, wyrwana ze swego miejsca. Cień dochodził już do krawędzi przepaści.

Słyszeli nieraz o nadludzkiej sile stolinów, ale pierwszy raz mogli zobaczyć jej popis. Jeden z karłów pochwytał kolumnę, jakby była to zwykła belka, i podszedłszy kilka kroków do mostu, rzucił ją przed siebie.

Cień był już w połowie mostu. Rzucona kolumna nie dosięgła go, spadła tuż przed nim. Od tego upadku most pękł na dwie połowy i zapadł się z hukiem. Dostrzegli jeszcze wyciągnięte ręce cienia, usłyszeli jego głuchy, odległy krzyk i wszystko zniknęło im z oczu. Z przepaści strzelił na moment wysoki słup ognia, docierający niemal do sklepienia grotę.

Stali długą chwilę w milczeniu.

— To go nie zabije — powiedział w końcu Gasziran. — Zaraz tu wróci. Prędko, w korytarz! Zawalić strop!

Pobiegli we wskazanym przez Gaszirana kierunku. Na końcu Sternwarz, który włókł za sobą wciąż osłupiałego Żegosta. Stoliny wywalały jedną po drugiej podtrzymujące sklepienie kolumny, rąbały toporami ściany. W końcu usłyszeli za sobą łoskot osypujących się kamieni.

* * *

Odbiegli kilkadziesiąt kroków, nim osłabły zupełnie Żegost osunął się na podłogę. Sternwarz i Blizbor usiłowali go podnieść, ale wędrowiec przelewał im się przez ręce. Ledwie znalazł siłę, by wstać.

— Zostawcie mnie — dyszał. — To na nic... Przyszła moja pora. Każdego to czeka... Bogowie, tyle jest jeszcze rzeczy, których nie zdążyłem poznać...

— Nie zostawimy cię samego. Doprawdy, Żegoście, nie mam nadziei, żeby się z tobą podzielić, ale w każdym razie nie zostaniesz tu sam, choćbyśmy mieli nieść cię na plecach.

— Połóżcie mnie. Zbiorę siły... słuchajcie...

Stoliny, zbite w gromadę, rozmawiały między sobą i prychały gniewnie, wyraźnie zezłoszczone tym postojem, kiedy rozsądek nakazywał uciekać jak najdalej.

— Posłuchajcie — powiedział Żegost, odetchnąwszy chwilę. — Jego nikt nie pokona. W końcu nas dopadnie i wtedy zginiemy wszyscy. A on ściga tylko mnie. Słuchajcie — mówił dalej, uciszywszy ich gestem dłoni. — Nie ma innej drogi. Do nowego księżyca zbyt daleko. Póki świeci ten, on ma moją siłę. Tę, która mogła mierzyć się z niewidzialnym jeźdźcem. Sam muszę go spotkać. Wy idźcie do świątyni.

— Jeśli trzeba, zginiemy razem z tobą — powiedział Blizbor podnosząc Żegosta.

— Odejdź, głupcze! — wędrowiec wyciągnął nóż, ale Blizbor odebrał mu go jedną ręką i wsadził z powrotem za pas tak łatwo, jakby miał do czynienia z dzieckiem.

— Spieszcie się! — naglił Gasziran. — Słyszę kroki! On się zbliża!

— Słyszycie? Uciekajcie czym prędzej! Moja śmierć i tak już jest przesądzona! — zawołał Żegost.

Blizbor, nachylając się nad nim, dobył tylko topora i nieznacznie zwrócił się w stronę, z której dochodziły coraz wyraźniejsze kroki. Sternwarz stanął bez słowa obok, dopinając bojową maskę. Światło pochodni wyostrzyło jej żółto-czarne rodowe barwy, skrzyło się na

złotej zbroi Gazirana, rzucało krwawe blaski na posepną twarz Blizbora. Obok nich zostały tylko dwa stoliny, reszta rozpięchła się na odgłos kroków.

— Jeśli coś wam kiedyś uczyniłem złego — powiedział Żegost, z trudem unosząc się i opierając o ścianę — proszę, wybaczcie mi. Niech przejdę na tamtą stronę nie dźwigając niczyjego żalu.

— I ty nam przebacz.

Kroki zbliżały się coraz bardziej. Korytarzem nadchodził człowiek trzymający w ręku coś, co wydawało się pochodnią i świeciło błękitnym blaskiem. Miał na sobie szeroki hełm z sięgającym ramion okapem i pełną, slengańską zbroję, tak że w pierwszej chwili zdawało im się, że to znów cień, tyle że Sternwarża. Ale Sternwarżowy cień był na swoim miejscu. Człowiek, który się do nich zbliżał, nie niósł włóczni, a malowana w barwy Horżych maska zwisała mu na poluzowanych rzemieniach aż na pierś. Szedł sztywnym krokiem, oczy miał szkliste, niewidzące, a twarz nieruchomą, jakby wyrytą w kamieniu. Sternwarż pierwszy poznał tę nieludzko spokojną twarz. To był Ihord Horży.

Staął o kilka kroków i patrząc gdzieś ponad ich głowami, powiedział głucho:

— Wzywa was władca gór, sługa pana świata.

Wyciągnął przed siebie rękę. To, co wzięli za pochodnię, było w istocie długą, kościaną laską, której koniec rozszerzał się w kulę z misternie wyrzeźbionej siatki. Ihord rozwarł palce i laska powoli, jakby zrobiono ją z ptasiego puchu, opadła na podłogę. Kiedy dotknęła kamienia, siatka, w której uwięziony był drgający ogień, pękła i błękitny blask otoczył ich ze wszystkich stron.

Zdążyli tylko jeszcze poczuć, jak ściany, podłogi i sklepienia, wyrwane tajemniczą mocą z posad, obracają się wkoło niczym kamienny kołowrót.

* * *

Harsz, odkąd opuścił przyjaciół, nie zatrzymywał się ani na chwilę. Przydzielony mu przewodnik, niski i pokra: czny stolin o szerokim pysku, doprowadził go do wejścia niewielkiego korytarza, z którego ciągnął wyraźny, chłodny powiew. Tu przystanął, kręcąc na wszystkie strony szerokim łbem. Gasziran wyznaczył go na przewodnika, ponieważ brał on często udział w spotkaniach z kupcami i zdołał opanować dość dobrze ludzką mowę.

— Dalej trzeba prosto — powiedział stolin chrapliwie, zniekształcając słowa. — Poszedłbym z wami, ale mi trzeba wrócić, powiezieć, co słyszę.

Harsz nie zrozumiał. Stolin chwycił jego dłoń i przyłożył do ściany. Kamień drgał co chwila lekko, ledwie wyczuwalnie. Dopiero teraz Harsz usłyszał odległe, głucho stukanie.

— Kują — stolin odwrócił się. — Prosto — powtórzył jeszcze i odszedł w stronę, z której przybyli.

Harsz pochylił głowę i ruszył korytarzem przed siebie. Był szeroki, ale bardzo niski. Im dalej, tym sklepienie opadało niżej, aż w końcu Harsz musiał się poruszać na czworakach. Pęd powietrza był coraz silniejszy, ale młody Tragży nie zwracał na to uwagi. Zapomniał o wszystkim prócz lęku o pozostawionych swemu losowi towarzyszy. Szedł już długo, kiedy dobiegł go stłumiony, daleki zgiełk. Zrozumiał, że to zaczęła się w głębokich sztolniach zapowiedziana przez Gaszirana walka. W pierwszej chwili chciał zawrócić i biec na pomoc towarzyszom, ale przemógł tę pokusę i tylko bardziej jeszcze przyśpieszył kroku.

Sam nie potrafiłby powiezieć, jak długo to trwało. Parł uparcie przed siebie, nie dbając o zgubiony gdzieś po drodze topór i sakwy, straciwszy rachubę czasu i odpędzając od siebie złe myśli. W podziemiach zdążyła przebrzmieć walka, padła kryształowa grotka, a on wciąż szedł przed siebie, najszybciej jak potrafił, zdzierając do krwi dłoń i kolana. Wreszcie dotarł do szerokiej gardzieli, która była wylotem lochu.

Wtedy dopiero zrozumiał, co znaczyły słowa Gaszirana, że droga ta prowadzi donikąd. W ogromnej pieczarze, która otworzyła się przed Harszem, mogłoby się wprawdzie zmieścić kilka kupieckich wozów, ale dalej podłoga i sklepienie urywały się nagle, jakby obcięte toporem któregoś z bogów. Wyrzał ostrożnie; we wszystkie strony ciągnęła się wokół gładka, pionowa ściana. Identyczna, równie gładka i nie dająca się objąć wzrokiem ściana majaczyła daleko przed nim. Znajdował się w głębi skalnej rozpadliny, którą mozolnie przechodzili po rzuconej przez Żegosta linie.

Na świecie trwała noc. Gdyby bardzo się wychylił, mógłby dostrzec rozgwieżdżone niebo, ale nie odważył się tego zrobić, bojąc się upadku w niezmierną otchłań.

Dyszząc ciężko i ocierając pot z czoła, wydobył z zanadru wiązkę drew i krzesiwo. Wkrótce udało mu się rozniecić w kącie pieczary niewielkie ognisko. Odczekał chwilę, aż dobrze się rozpali, po czym rozsypawszy otrzymany od Żegosta woreczek, wysypał uroczne ziele w ogień. Strzeliły w górę żółtozielone płomienie. Harsz odwrócił się plecami do lochu, stanął na samym brzegu przepaści, zwinął dłonie wokół ust i zawołał trzykrotnie:

— Strzybog! Strzybog! Strzybog!

Cisza. Wiatr poniósł jego okrzyk, odbijając go echem od ścian przepaści. Ogień dopalił się i zgasł. Cisza. Harsz usiadł na kamieniu i opuścił głowę. Serce biło mu mocno, omal nie rozsadzając piersi.

Nadleciał. Potężny wiatr zerwał się znad puszczy, zwichrzył korony prastarych dębów i buków, zmierzwił gąszcz kosodrzewiny. Na chwilę podmuch zawinął w pieczarze, sypiąc w oczy Harsza piachem i suchymi liśćmi. Nad krawędzią skały zapłonęła nagle jasność i z tej poświaty utkał się zarys ogromnego mężczyzny w czarnym płaszczu. Cień osłaniał jego twarz i zaciśnięte na pasie dłonie. Tylko spod kaptura lśniły zielonym ogniem wielkie, przenikliwe oczy. Tyle biło z nich mocy, że Harsz, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czyni, upadł na twarz i przyciskając się do skały, drżąc z przerażenia, czekał, co stanie się dalej.

— Podnieś czoło, synu śmiertelnych — dobiegł go potężny głos władcy puszczańskich wichrów. — Czemu ty mnie wzywasz? Gdzie jest ten, którego zwiecie Żegostem? Czyżby nie było go już wśród żywych?

— Panie — wyszeptał Harsz — kiedy go opuszczałem, żył jeszcze, lecz zniewolił go podstępny czar demona gór, sługi ciemnego boga, który zamieszkał w tych jaskiniach i wygubił stolinę. Posłał mnie do was, abym powtórzył wam wszystko, co się z nami działo.

— Mów.

Harsz długo opowiadał o warowni Orlego Szczytu, o koronie stolinów i zgubie górskich karłów, wreszcie o postanowieniu swych towarzyszy, by przedrzeć się do świątyni.

— Trzeci skarb! — dobiegł go głos demona, gdy skończył opowieść. — Więc oto okazał się być w tych górach. I to wy, śmiertelni ludzie, odważacie się po niego sięgnąć! Doprawdy, nawet tych, dla których wieczność jest tylko zmrużeniem powiek, potrafi czasem zadziwiać wasze plemię, tak na pozór nikczemne, a sięgające chwilami rzeczy niedostępnych władcom świata.

— Panie — zdobył się na odwagę Harsz, bijąc czołem o kamienie u stóp Strzyboga. — Wybaczcie mi moją śmiałość, ale tylko wy jedni możecie uratować moich przyjaciół. Na nic ich siła przeciw mocy demona gór... Nie dla siebie proszę, bo ludzkie życie i tak trwa tylko chwilę, lecz błagam was o ratunek dla świata, póki jest czas i trzy skarby nie zeszyły się jeszcze w jednym ręku.

— Milcz! — rozkazał groźnie Strzybog.

Harsz przycisnął się jeszcze mocniej do kamieni, drżąc ze strachu i od bliskości niewyobrażalnej dla ludzi potęgi.

— Mogłem na prośbę leśnej pani czuwać przez swych poddanych, byście dotarli do celu. Mogłem, gdy było trzeba, ratować was przed sługą ciemności. Jednak zejść do jaskiń nie

mogę, gdyż taki jest porządek świata, który tylko ktoś równie szalony jak wy może odważyć się zakłócać. Korzenie gór nie należą do mojej mocy. Ale dobrze powiedziałaś, że nie jest to sprawa ludzi: Nie była nią od pierwszej, chwili, skoro leśna pani zechciała o nią zadbać. Czekaj tu mego powrotu!

Potężny podmuch ogarnął znów pieczarę i ucichł. Gdy Harsz podniósł głowę, w grocie było znów spokojnie, jakby nic nigdy tu się nie stało.

Młody Tragży usiadł pod ścianą i ze złożonymi rękami i opuszczoną głową czekał na spełnienie się losu.

* * *

Ocknęli się na kamiennej płycie, otoczonej z dwóch stron ogniem, po bokach zaś zamkniętej złotymi ścianami. Wysokie sklepienie i podpierające je kolumny skrzyły się całe od wielkich jak ludzkie pięści rubinów i diamentów. Nie mniej zdobne były ściany. Nawet półprzezroczysty, zielonkawy kamień, na którym leżeli, nabijany był złotem w niezrozumiałe dla ludzi znaki. Gdziekolwiek padał ich wzrok, lśniły nagromadzone przez wieki bogactwa, jakich mieszkańcy puszczy dotąd nie potrafili sobie nawet wyobrazić.

Gładka podłoga ułożona była w szereg płyt wznoszących się niczym schody ku ogromnemu, skrzącemu się w blasku płomieni ołtarzowi. Ale każdy stopień tych schodów oddzielała od poprzedniego szeroka szczelina, z której bezustannie strzelały dobywające się gdzieś z trzewi ziemi płomienie. Tylko dwie szczeliny oddzielały ich od ołtarza. Na dobrą sprawę mogliby bez trudu dorzucić do niego toporem.

Na środku ołtarza leżała niezwykła, ogromna korona, otoczona blaskiem tak silnym, że zdawały się przy nim gasnąć nawet bijące z posad świata płomienie. Ledwie mogli na nią patrzeć, mrużąc oczy. W tym potężnym blasku korona sprawiała wrażenie, że wiruje, drga, jakby poruszała się przed ich oczami własną mocą.

Zostało ich tylko czterech. Stoliny, poza Gasziranem, znikły. Podnosili się powoli, świadomi, że cokolwiek by się nie stało, są u celu wędrówki. Tylko Żegost siedział nadal na kamiennej płycie, niezdolny ustać na własnych nogach. Dyszał ciężko i głowa chyliła mu się ku ziemi, ale umysł miał jasny i trzeźwy jak zawsze. Rzut oka starczył mu, aby się przekonać, że z tego miejsca nie ma ucieczki. W przeciwległej ścianie widniały wprawdzie drzwi, ale tuż obok nich tkwił nieruchomy jak posąg Ihord, trzymając w dłoni obnażony miecz.

— Oto więc jesteście w miejscu, do którego dążyliście — odezwał się w świątyni potężny, ustokrotniony echem głos. — Tu dopełni się wasze przeznaczenie. Podziwiałem wasz upór, odkąd zstąpiliście do jaskiń. Podziwiałem już i to, że dotarliście tutaj i nie powstrzymali was inni słudzy mojego pana. Widzicie, że potrafię docenić męstwo, jakie dane jest ludziom. Lubię wasze plemię, a wy przypominacie mi wielu ze swych najdzielniejszych przodków, tych, którzy trwali do końca przy mym panu.

Zdawało się, że głos dobiega zewsząd. Choć rozglądali się bacznie, nie mogli dostrzec tego, kto do nich mówił. Tymczasem głos ciągnął dalej:

— Zasłużyliście na ten zaszczyt, by zginąć przed mym obliczem. Ale ja nie pragnę waszej zguby. Co łączy was z tymi nieszczęsnymi pokrakami, gnuśniejącymi od wieków w lochach? Czyż mój pan nie obdarzył waszego plemienia licznymi łaskami? Doprawdy, oto ja, władca tych gór, przyznaję, że jesteście wielkimi wojownikami, ale wojownikami ślepyimi i służącymi złej sprawie. Ogromne było wasze zaślepienie. Jednak możecie je jeszcze odkupić. Wzywam was — wróćcie do tego, któremu z prawa winni jesteście posłuszeństwo, a nie zabraknie wam ani dóbr, ani sławy.

Niezwykły czar, który tkwił w tym głosie, sprawiał, że słuchając go popadali w coraz większe zaślepienie, a gdzieś w sercach poczęła się rodzić rozpaczliwie odpędzana myśl, że

nie mogą zrobić nic rozsądniejszego, niż przyjąć służbę ciemnego boga. Jeszcze nie wzrosła w słowa, jeszcze żaden nie odważył się tej myśli wypowiedzieć, ale nie potrafili jej odgonić.

— Na tej służbie niczego wam nie zabraknie — podjął głos po chwili. — Po cóż tu przybyliście? Po skarby — oto macie je, więcej, niż dotąd byliście w stanie objąć myślą. A może trzeba wam władzy, władzy, z jaką nie mógłby się zmierzyć żaden z ziemskich królów? Czego wam jeszcze trzeba?

Niespokojny wzrok Żegosta zatrzymał się na zastygłej w bezruchu postaci Ihorda zamienionego czarem w bezwolny posąg. Pokusa prysła w jednej chwili.

— Tego, co jest mi potrzebne, ty nie możesz mi ofiarować — powiedział Żegost czując, jak z każdą chwilą wraca mu spokój.

Głos demona zamienił się nagle w szydery śmiech. — Nie ma na świecie rzeczy, której nie mógłbym objąć swą mocą. Czego pragniesz? Mów, rozkazuję!

Żegost milczał przez chwilę i spoglądał na wyraźnie wahających się towarzyszy.

— Od czterech dni nie zapaliłem fajki. Tytoń skończył mi się, nim jeszcze weszliśmy do jaskiń.

Czar prysnął.

— Chcieliście — zabrzmiało w świątyni niby trzask pękającej skały.

Dostrzegli, jak przez zamknięte drzwi sączy się jakiś ciemny kształt. Urosła z niego wyraźna smuga, jakby dymu, a z niej powstała ciemna postać, ta sama, którą widzieli w czerwonej grocie. Cień Żegosta ruszył w milczeniu ku wędrowcom, wbijając w nich zimne niczym stal spojrzenie.

Blizbor rozejrzał się gorączkowo, ale prócz gładkich ścian nie dostrzegł niczego. W rozpacz rzucił przed siebie toporem. Trafił, lecz topór zapłonął tylko, a jego ostrze pękło i upadło z brzękiem na kamienie. Cień szedł dalej. W świątyni znów rozległ się szydery śmiech demona.

— Żelazo go nie pokona — powiedział cicho Gasziran.

— Moja broń to nie tylko żelazo — odrzekł Sternwarż, blednąc nagle, jakby sam przeraził się swej myśli.

Stolin nie usłyszał jego słów.

— Alhavadr — powiedział. — Czas już umrzeć. Wysunął się przed pozostałych i rozłożywszy szeroko ręce, począł wykrzykiwać szybkie, niezrozumiałe zaklęcia. Cień zatrzymał się nagle, zdawało się, że wyrosła przed nim niewidzialna ściana. Wsparł się w tę ścianę dłońmi i przez moment mocowali się tak ze sobą. Ale cień był silniejszy. Nim zdążyli pojąć, co się dzieje, Gasziran runął na kamienną płytę, bluzgając krwią. Cień znów ruszył naprzód.

— Stary durniu — nie cichł śmiech demona. — Oto i koniec, na jaki zasłużyłeś!

Cień był już o siedem, sześć, pięć kroków. Zbliżał się powoli, rozkoszując się widokiem bezbronych, opartych o ścianę ludzi. „Będzie, co ma być” — przemknęło przez myśl Blizborowi. Przymknął oczy, pochylił głowę i czuł, jak opuszczają go siły.

I wtedy Sternwarż poruszył się nagle, zrywając z włóczni pokrowiec. Sądził, że w porywie rozpacz pragnie rzucić się na spotkanie niechybnej śmierci, ale nie — obrócił się i całą mocą uderzył ostrzem w ledwie widoczne spojenie ściany; Klinga weszła w nie do połowy. Natężywszy wszystkie siły, aż żyły wystąpiły mu na skroniach, ściągnął ratyszczce do siebie i wymówił słowo, które przekazał mu ojciec, a które ten znał od swego ojca. Słowo rządzące włócznią.

Klinga pękła z hukiem. Ułamana nasada wraz z drzewcem upadła na ziemię. Wokół niej, w srebrnym obłoku, powstał uwolniony demon, przybierając postać zbrojnego wojownika o przejrzystym ciele ze srebrnej poświaty. Stał przed Sternwarżem i patrząc na jego twarz, zapytał tylko:

— Czy wiesz, co uczyniłeś?

Gospodarz w milczeniu skinął głową. W jednej chwili srebrzysty demon skoczył ku cieniowi i zwarł się z nim potężnie. Zakotłowało się od dziesiątków błyskawicznych, niemal niedostrzegalnych dla ludzkich oczu ciosów. Trwało to jednak ledwie chwilę. Demon włóczni zdusił cień w potężnym uścisku, zdławił go i rozerwał, aż cień rozwiął się niczym dym, niczym garść pyłu rzuconego na wiatr.

Żegost z przeraźliwym krzykiem znieruchomiał na kamieniach.

Demon zawrócił, podszedł do Sternwarza i objął go w milczeniu. Gospodarz nie bronił się. Opuścił głowę i nic nie mówiąc odwzajemnił uścisk. Srebrny wojownik rozpląnął się tak samo jak cień. Ciało Sternwarza osunęło się z głuchym odgłosem na płyty posadzki i zostało tak, znieruchomiełe i martwe.

Blizbor, oddychając ciężko, potoczył wzrokiem po rozrzuconych wokół trupach. Ale nie — Żegost żył jeszcze. Poruszył się niemrawo, usiłował wstać i bezsilny opadł znów na kamienie. Wielka doprawdy siła tkwiła w tym człowieku, ale teraz widocznym było, że jego płomień już dogasa.

Gędziarz uniósł pusty, przepełniony rozpaczą wzrok ku ołtarzowi. Zdawało się, że oddzielające ich od korony płomienie przygasają, ale to wzmagał się bijący od ołtarza blask, nabierając jednocześnie, krwawej barwy. Przy ołtarzu pojawił się demon gór. Był wielki, rozdętym łbem dosięgał niemal sklepienia świątyni. Ujął w dłonie koronę i prostując się powoli, unosił ją ku swoim skroniom.

* * *

Znów wicher wtargnął do pieczary, zakręcił żwirem i suchymi liśćmi. Harsz pochylił głowę. Jego serce pełne było pustki. Cały czuł się pusty, jakby wydrążono go, a pozostawiono jedynie skórę. Tylko jak czarny głaz zalegała w nim gorycz, że oto los się dopełnia, a on nic już więcej nie może uczynić i niczego zmienić.

Strzybog przez długą chwilę wpatrywał się w niego płonącymi oczyma, w końcu wyciągnął prawicę. Zaciskał w niej krótką buławę w kształcie wilczej głowy.

— Weź to — powiedział. — Na świecie dzieją się rzeczy, o których twoje plemię nie ma pojęcia. Źle będzie, jeśli korona pozostanie w rękach sługi ciemnego boga. Daj dłoń!

Harsz podniósł się sztywno, jakby powodowany nie swoją siłą. Wyciągnął rękę przed siebie, unosząc głowę. Na chwilę jego wzrok spotkał się z płonącymi zielenią oczami demona. Poczul, jak to spojrzenie przepala jego trzewia, zmienia serce w popiół.

Stał i zaciskał w wyciągniętej dłoni buławę Strzyboga, choć paliła mu palce niczym płomień.

— Żadnemu śmiertelnikowi od stworzenia świata nie dano takiej potęgi, jak ta, którą trzymasz w dłoniach. Nie waz się jej nadużywać! Oto moja moc, zanieś ją do świątyni!

Harsz poczuł nagle, jak wzbiera wokół niego potężny wir powietrza i unosi go w górę. Zebrał się w sobie, wskakując na wiatr jak na wierzchowca. Skinął lekko buławą i oto wicher poniósł go ku czarnemu wyjściu lochu.

— Ruszaj! — usłyszał jeszcze za sobą głos demona.

* * *

Serce Blizbora wypełniła ostatnia, przedśmiertna rozpacz, która pozwala nieraz ludziom dokonać rzeczy dla nich niewyobrażalnych. W głowie kołatała mu jedna myśl, aby nim zginie, sięgnąć jeszcze przekłętogo demona. Swojego topora już nie miał. Broń Gaszirana leżała przy jego trupie, zbyt daleko, a włócznia Sternwarza była złamana. Za pasem Żegosta dostrzegł jednak szeroki, jednosieczny miecz i nie namyślając się ani chwili, rzucił się ku

niemu. Zacisnął dłoń na rękojeści i unosząc broń do góry, z ochrypłym krzykiem runął na oślepek ku ołtarzowi.

Wpadłby w płomienie i spłonął w nich niechybnie, ale demon, wciąż trzymając koronę przed twarzą, zmarszczył tylko lekko brwi i Blizbor zastygł w pół kroku, jak zmieniony nagle w kamień. Tuż przed jego twarzą biły w górę płomienie, czuł ich żar, kaftan i koszula zaczynały się na nim tlić, lecz nie mógł nawet drgnąć. Krzyk zamarł mu w gardle. Tylko rozszerzone, wbite w demona oczy świadczyły, że jeszcze żyje.

— Nawet mnie potraficie zadziwić — odezwał się demon, wciąż trzymając koronę przed twarzą. — Tak łatwo was zabić, a tak trudno zwyciężyć. Doprawdy, wolałbym was widzieć wśród swoich sług. Ale trudno: gińcie zatem.

Blizbor poczuł nagle, że się dusi, czerwone i złote kręgi zatańczyły mu przed oczami, obraz wypełnionej krwawą poświatą, migoczącej płomieniami świątyni zaczął się rozmazywać, zanikać. Do jego uszu dobiegł ogromny, potężniejący z każdą chwilą szum, szum puszczy rozkołysanej wichrem. Był pewien, że to już przedśmiertny zwid, gdy ostatkiem wzroku dostrzegł, jak ściany i sklepienie świątyni zaczynają drżeć, jak jakiś niepojęty podmuch wyrwa demonowi koronę, którą prawie już założył na głowę, i toczy ją po kamiennej podłodze. Wszystko złało się w jeden dźwięk. Wycie wiatru, huk wzdymających się nagle płomieni, ryk demona, który niczym piorun rzucił się za koroną. Jednak nie dopadł jej: moc wiatrów zacisnęła go w śmiertelnym uścisku, odrzuciła pod ołtarz, rozerwała, rozwiąła. Kątem oka dostrzegł jeszcze Harsza, jak stoi na kamiennych płytach świątyni, pełen potęgi, niczym jakiś bóg. Z jego prawej dłoni zrywał się wicher, który pochwycił koronę i niósł ją gdzieś, ku rozwartym nagle wrotom, poza świątynię. Kamienne ściany i sklepienia zdrząły od spotkania się potężnych mocy, zaczęły pękać, rozpadać się. Z góry posypały się ułamki rubinów i kamienne okruchy. W mgnieniu oka wszystko pokryło się siatką rosnących z każdą chwilą pęknięć, ołtarz zapadł się z trzaskiem i wraz ze szczątkami demona runął w płonące, roztopione żarem ściany. Tylko echo jego potwornego krzyku brzmiało przez długi czas w górskich korytarzach.

Blizbor zdążył jeszcze dostrzec, że dłoń Harsza rozpala się nagle wysokim płomieniem, i osunął się w ciemność. Nie czuł już, jak wiatr unosi ich z kamieni, lekko niczym ptasie pióra, i niesie na swych skrzydłach przez szerokie korytarze i groty. Nie widział też pękających i zapadających się w głąb ziemi skał świątyni stolinów.

* * *

Harsz budził się powoli, nie pojmując, gdzie jest ani co się z nim dzieje. Dopiero po długim czasie rozpoznał pochylającą się nad sobą twarz.

— Żegost!

Wędrowiec zaśmiał się szczerze i serdecznie, tak jak to tylko on potrafił.

— Na Swarga! — zawołał. — Czy już ci mówiłem, że twoja bystrość mnie przeraża? Niechże cię uściskam, stary druhu. Sprawileś się lepiej, niż ktokolwiek by to potrafił.

— Więc żyjemy... — szepnął Harsz i odwzajemnił jego niedźwiedzi uścisk. Serce wypełniła mu ulga, ale nie było w niej radości. Spojrzał na swoje dłonie, pomarszczone, suche dłonie starca. Nie musiał szukać zwierciadła, by się przekonać, że włosy ma siwe, a na twarzy zaległy mu się pierwsze zmarszczki. Wiedział, że nie będzie już nigdy tym beztróskim młodzieńcem, który wiosną opuszczał rodzinne strony, że ta moc, którą mu na krótką chwilę dano, przepaliła go na wylot, zostawiając tylko szlakę, pusty, wyżarzony zewłok. Wiedział, że ta pustka, którą odczuwał, już go nie opuści. Nie czuł radości. Nie czuł nic. Serce zmieniło mu się w popiół.

W milczeniu, patrząc w ziemię, uściskał Blizbora.

— Nie rozmawiasz przecież z trupami — zaśmiał się gędziarz i poklepał go po plecach.

— Sam nie wiem... może już wszyscy jesteśmy po tamtej stronie. Gdy widziałem was w świątyni, myślałem, że nie żyjecie.

— Chorowaliśmy długo, dobry człowieku. Jak widzisz, na świecie zdążył już wstać nowy księżyc, choć ledwie do niego dotrwałem. Taki demon gór — to jednak nie byle co...

— Tak... — odpowiedział. — Teraz to wiem, że z demonami nie można zwykłemu człowiekowi zadawać się bezkarnie. Czy Sternwarz...? — zapytał, choć domyślał się odpowiedzi. Jednak nawet żalu nie potrafił w sobie wzbudzić, mimo że chciał.

— Zginął, ale każdy by pragnął mieć taką śmierć jak on. Zresztą wszystkim nam niewiele brakowało. Gdyby nie ty...

— Nie ja sprawiłem to, co się stało. I nie mnie za to dziękujcie — powiedział Harsz głucho. Długo siedzieli przy jego łożu, zamyśleni i milczący.

* * *

Spędzili w górach jeszcze parę tygodni, z wolna wracając do sił i odzyskując utracony spokój. Znaleźli też czas na obejrzenie cudów kryjących się w jaskiniach. Karły pokazywały je im chętnie, nie tajiły niczego, choć z natury są plemieniem bardzo skrytym i pilnującym swych tajemnic. Wiedziały jednak, jak wiele mają do zawdzięczenia tym trzem ludziom, i nawet Skarh, który został następcą Gaszirana, kłaniał im się za każdym razem aż do ziemi.

Dziwne to może, o czym mówił Blizbor, ale bogactwa, które widzieli, nie rozpałały już w nich tego ognia, który zazwyczaj budzi złoto w sercu człowieka. Może gędziarz miał rację, że było go u stolinów za wiele. Kto bowiem jedynie u obcych kupców widuje czasem drobne, złote monety, dla tego sto dukatów czy cała góra złota znaczą tyle samo: więcej, niż można pojąć.

Dość, że dni upływały im w dostatku i spokoju. Czarne stoliny poukrywały się w najciemniejszych lochach i przez wiele lat nie miały mącić ładu w jaskiniach. I w końcu spokój ten i dostatek poczęły ich nużyć, zwłaszcza Żegosta. Żaden bowiem człowiek nie przywykł do życia wśród kamieni i nawet największe bogactwa nie mogą mu zastąpić słońca i błękitnego nieba.

Nadszedł więc wreszcie dzień, kiedy postanowili wyruszyć na powrót do puszczy. Skarh na czele swego ludu żegnał ich długo i wylewnie, po stokroć zapewniając o wdzięczności swojej i swego plemienia aż po kres świata. Obdarowywał ich wielkimi skarbami, ale przyjęli z nich ledwie trochę srebra, tyle, by nie uginać się w drodze pod jego ciężarem. I tak wszystko, co mógł im Skarh ofiarować, było niczym wobec tego, co widzieli w świątyni, a jednocześnie to, co wzięli, wystarczało, żeby w rodzimej puszczy zażywać dostatków do końca życia.

— Na cóż złoto wędrowcowi — śmiał się Żegost. — Gdybym wziął je ze sobą na gościniec, musiałbym bić się i każdym, kogo bym spotkał. Zresztą, tak po prawdzie, nie przyszedłem tu po skarby, ale po przygody, a na ich brak nie mogłem się uskarżać.

— Tyle lat obywałem się bez złota — mruknął tylko Blizbor, a Harsz powiedział, że widok bogactwa przypominałby mu sprawy, o których wolałby zapomnieć.

— Nie pojmuję was — odrzekł na to Skarh. — Ale rozumiem, że odmawiacie nie po to, by okazać nam wzgardę czy niechęć, nie będę zatem nalegać. I tak zresztą nie mam skarbów dość wielkich, żeby was godziwie wynagrodzić. Przyjmijcie jednak przynajmniej te dary, bo ich wartością jest nie złoto, ale czar, który w nich zakłęto. Chociaż nie mamy już korony i nigdy nie odzyskamy dawnej mocy, ten czar nie straci swej siły.

Skinął na stolina, który trzymał drogocenną, pięknie rzeźbioną szkatułę, i otworzywszy wieko, wydobyl z niej trzy krągłe kamienie: błękitny, zielony i żółty. Każdy zawieszony był na cienkim, złotym łańcuszku.

— Ten naszyjnik, gędziarzu, pozwoli ci składać, pieśni lepsze od innych. Ciebie, wędrowcze, ochroni w drodze i ustrzeże przed złymi ludźmi. A tobie, skoro zechcesz osiąść,

na gospodarstwie, zapewni dostatek i powodzenie we wszystkim, co zechcesz uczynić. I ponadto bądźcie pewni, że zawsze, jeśli zajdzie potrzeba, znajdziecie w jaskiniach przyjaciół gotowych poświęcić swe życie, byle tylko wam pomóc.

Podziękowali za dary i pożegnali się uroczyście, życząc stolinom, by ich plemię trwało w szczęściu i spokoju aż po kres świata, i opuścili jaskinię. Bez trudu trafili na przełęcz, a stamtąd ruszyli prostą drogą ku Kneszy i dalej, do Sternwarżowego obojścia.

Sam Blizbor niewiele opowiadał o tej drodze, mówił, że przy tym, co przeszli wcześniej, zdawałoby się to nudne. Na świecie złociło się lato, do żniw było jeszcze daleko i każde drzewo, każde źdźbło trawy tętniły radością i zachwytem. Chciwie też słuchali po gospodach opowieści o wyprawach, o tym, że księstwo Orwanu całkiem już zostało zawojowane przez Vorgów i rozsądny gospodarz nie ma tam czego szukać, o wiosennym wiecu w Ranżnarze, estarońskich kupcach, słowem o wszystkich tych zdarzeniach, które składają się na puszczańskie życie, a które nagle stały się ich sercom bardzo drogie. I nawet Blizbor cieszył się, że drzewa są zielone, a niebo błękitne i że słońce świeci.

* * *

Siedzieli przy palenisku w starym dworzyszczu Sternwarża, z którego wczesną wiosną wyruszali w nieznane. Popijali piwo i gawędzili o różnych rzeczach, tak jak to było zimą. Ale rozmowa niezbyt się kleiła. Harsz siedział milczący, z głową opuszczoną na piersi, zupełnie jak niegdyś Sternwarż, którego nie pogrzebane ciało zostać miało na wieki w ruinach świątyni. Zmienił się. Wiedział to dobrze, wiedzieli też Blizbor i Żegost. Lecz czy było o czym mówić? Posyłając Harsza na spotkanie ze Strzybogiem, Żegost zdawał sobie sprawę, że jeśli nawet chłopak to przeżyje, nie będzie już nigdy tym, kim był. Czy miał prawo go tam posłać? Czy było warto? Blizbor, gdyby znał te myśli wędrowca, zapewne skinałby tylko głową i mruknął, że nie rzecz zastanawiać się nad losem, jaki człowiekowi dano. Toteż Żegost nie myślał go pytać. Była to jedna z tych wielu spraw, do których miał powracać myślą jeszcze wiele, wiele razy i nigdy nie znaleźć odpowiedzi.

Ale wtedy, gdy popijali piwo wpatrując się w pełgające na palenisku płomienie, Żegost odsuwał od siebie te pytania. Następnego ranka postanowił odejść, choć Harsz nalegał, by pozostał u niego na następną zimę. Musiał iść dalej, gdziekolwiek. Odkąd odzyskał cień, na który wciąż od czasu do czasu spoglądał przez ramię, jakby chciał się upewnić, czy tkwi na swoim miejscu, zawładnęła nim znowu ta tęsknota, która wciąż pędziła go przez świat. Pamięć podsuwała mu wciąż od dawna już nie oglądane obrazy. Okrzyk mew i szum morza. Zapach morskizyny wyrzuconej na piaszczyste plaże. Łodzie uwiązane do drewnianych pali skrzypią, stukając o siebie, kołysane falami. Niemal chciałoby się wybiec z izby w pół słowa i pędzić przez lasy, przez równiny ku morzu. Zbyt blisko był śmierci, aby nie czuć, jak szybko upływa czas, jak zbliża się nieuchronny kres ludzkiego życia, który dopaść go może w każdej chwili. Szkoda każdego dnia nie spędzonego w drodze...

Blizbor trzymał na kolanach swą lutnię i od czasu do czasu przejeżdżał palcami po strunach, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nie straciły tonu. Mówił o Ihordzie Horżym. Skarh wyjaśniał im, że w ostatniej chwili, gdy moc władcy wichrów pokonała demona gór, Ihord musiał otrząsnąć się z czaru, jaki nim zawładnął. Tak samo otrząsnęły się z niego te stoliny, które niegdyś przeszły na służbę ciemnego boga.

— Pomyślcie — mówił gędziarz — co się musiało z nim dziać, gdy ocknął się nagle w walącej się świątyni, pośród tych wszystkich skarbów, do których tak wytrwale dążył. I gdy pojął, iż musi zginąć wraz z nimi. Powiadają, że duchy nie pogrzebanych nie opuszczają świata, lecz pozostają w tych miejscach, które za życia były im szczególnie drogie. Nie chciałbym nigdy znaleźć się tam, gdzie znajdowała się świątynia stolinów. Cóż — westchnął

— taki był jego los. Nie myślmy o nim źle. Co by było, gdyby nie jego list? — Odstawił kufel na stół i rozejrzał się po twarzach przyjaciół, ale nie znalazł w nich odpowiedzi.

— Gadam i gadam, a wy nie słuchacie — zezłościł się. — Trzeba mi było zostać u stolinów! Doprawdy, pewnie znalazłbym w nich wdzięczniejszych słuchaczy.

— Zamyśliłem się — powiedział Żegost potrząsając głową. — Bo widzisz, dobry człowieku, zrozumiałem chyba wreszcie, po co to wszystko było. Otóż wszystko zdarzyło się po to tylko, żebyś mógł ułożyć nową, zajmującą opowieść i bawić nią słuchaczy. Nie złość się Blizborze. Każdy chciałby, żeby śpiewano o nim gędźby, zwłaszcza jeśli dobrze się one kończą. I gdyby słuchał nas zacny Sternwarz, też pewnie byłby rad, że jego imię nie zginie w ludzkiej pamięci.

W tej chwili na palenisku trzasnęło polano, strzelając w górę wysokim, błękitnym płomieniem. Pochylili na chwilę głowy, czując, że może to duch gospodarza daje im jakiś znak z tamtego świata.

— Tak — mruknął Harsz. — Zapewne byłaby to ciekawa gędźba i słuchaliby jej ludzie na szerokim świecie. Ale kto by wiedział, co naprawdę kryje się w słowach? Ja tego dawniej nawet nie przeczuwałem, gdy słuchałem twoich opowieści. Trzeba dopiero przeżyć taką historię, aż do końca.

— Nic na tym świecie się tak naprawdę nie kończy — powiedział Blizbor poważnie. — I gędziarze wiedzą o tym najlepiej. Wszystko, co się stanie, ktoś kiedyś podejmie i dopisze dalszy ciąg do naszych słów i czynów. Z naszej wyprawy też wynikną kiedyś pewnie zdarzenia, które spotkają naszych wnuków.

— Sam widzisz — przerwał mu Żegost. — A teraz przypomniałem sobie, że dotąd nie dokończyłem jeszcze pewnej pieśni, którą przerwałeś mi pospołu z jakimś wilkiem na, początku drogi. Czas to wreszcie zrobić.

Po czym przepłukawszy gardło piwem, uniósł głowę i zaśpiewał:

O, miła, już wiosna, miłości to czas,
Hej, nonny, ninny, nonny!
Nie czekaj, nie zwlekaj, pocałuj choć raz,
Hej, nonny, nonny, hej!

Blizbor zaśpiewał razem z nim, a w końcu nawet Harsz uśmiechnął się słabo i przyłączył do refrenu:

Bo droga daleka i ruszać już czas,
A ptaki śpiewają dokoła!
Więc przytul i nie broń mi siebie w ten czas —
Dopóki na miłość jest pora!

Piwo pieniało się w kufkach, na palenisku trzaskały płomienie, a za częstokołem szumiała odwieczna puszcza, i tak właśnie, wesołą piosenką na Sternwarzowym dworzyszczu, zakończyła się wyprawa po skarby stolinów.

* * *

Tak się jakoś złożyło, że Blizbor, Harsz i Żegost nigdy już więcej nie mieli się razem spotkać. Harsz osiadł na stałe w obejściu Sternwarza i poślubił Jardę, córkę Hrawdera Brzezdy. Los sprzyjał mu we wszystkim i wkrótce zaśląnął jako jeden z najbogatszych gospodarzy w całym Slengu. Rychło też zdobył sobie wśród sąsiadów, którzy nie mogli zrozumieć zmian, jakie w nim zaszły, miano godnego następcy dziwactw Sternwarza. Choć

żywna mnożyła mu się, plony zbierał obfite i wkrótce doczekał się dorodnego syna, nie sprawiał wrażenia szczęśliwego. Snuł się po swoim obejściu ponury i milczący, a uśmiech nigdy nie gościł na jego twarzy. Ilekroć w puszczy zawiął wiatr, opadały go czarne myśli i nawet najbliżsi nie odważali się wtedy przerywać jego zadumy. Potężne moce, z którymi przyszło mu się spotkać, pozbawiły go sił i postarzyły tak, że kiedy umarł, ledwie trzy lata po wyprawie, wezwani do pochówku żercy pewni byli, iż obrządzają ciało starca.

Blizbor po śmierci Harsza nie odwiedzał już więcej podgórskich okolic, choć zwyczajem przyjętym w jego cechu każdego lata odbywał długie wędrówki po puszczy. Zdobył sobie sławę najlepszego gędziarza w dziejach Slengu i w końcu osiadł na dworze Komesa Ranżnaru jako nadworny gędziarz Goszbor. Tam też dożył swoich dni, otoczony szacunkiem i uznaniem. Właśnie na dworze Goszboru ułożył opowieść o wyprawie po skarby stolinów, która poprzez wiele pokoleń dotarła aż do naszych czasów.

Co do Żegosta, ten nie zmienił swych zwyczajów i jak zawsze wyruszał każdej wiosny na dalekie wędrówki. Znano go w Estaronie i Maronarze, bywał częstym gościem wśród żeglarzy z Berghu i w dalszych jeszcze krajach. Do dziś krąży o nim tyle różnych opowieści, że nie sposób powiedzieć, kiedy i jak rozstał się z tym światem. To pewne, iż żył jeszcze długo, a że nie mógł z woli bogów osiąść w jednym miejscu, niewiele było w owych czasach dziwnych i tajemniczych wydarzeń, w których w ten czy inny sposób nie wzięłyby udziału. Lecz te rzeczy nie należą już do historii, którą wam tu opowiedziałem.

luty–marzec 1987

Uwagi tłumacza

Z wielkim niepokojem oddaję w ręce czytelników książkę będącą owocem moich wieloletnich starań o popularne wydanie zabytków literatury slengańskiej. Przyznam, że inaczej sobie wyobrażałem ich prezentację przed masową widownią. Bariery językowe i kulturowe, które musiałem jako tłumacz pokonać, w znacznym stopniu zaważyły na ostatecznym efekcie mojej pracy. Choćby więc z tego względu uważam za niezbędne opatrzenie publikowanych przekładów garścią informacji; czytelnikowi nie obeznanemu z tematem pomogą one w odczytaniu slengańskich opowieści, zaś dla badaczy dawnej kultury estarońskiej stanowić będą wyjaśnienie przyczyn licznych niedostatków mojego przekładu, z których doskonale sobie zdaję sprawę.

W przeciwieństwie do dość dobrze już poznanej literatury estarońsko–maronarskiej literatura Slengu jawi się dzisiejszemu badaczowi jako dziedzina pełna tajemnic i niespodzianek. Z epoki, która nas tu interesuje (schyłkowy okres panowania pierwszej dynastii estarońskiej, to jest lata 560–700 według kalendarza Askiburionu), nie zachowały się prawie żadne źródła pisane. Sławny „kodeks ranżnarski”, zawierający spisywane za czasów Malgrana i jego następców dzieje władców Slengu, stanowi wprawdzie nieocenione źródło historyczne, jednak dla badacza dawnej kultury slengańskiej zawiera materiał bardzo skąpy.

Wiemy, że Slenganie posługiwali się pismem od czasów najdawniejszych. Znamy ich oryginalny, runiczny alfabet, niepodobny do pism estarońskiego czy orwańskiego. Niestety, Slenganie używali do pisania materiałów nietrwałych — przeważnie kory niektórych drzew, najprawdopodobniej specjalnie do tego celu spreparowanej. Pergamin stosowano bardzo rzadko, zapisywano na nim jedynie teksty najistotniejsze, głównie religijne, przepowiednie oraz kroniki, do których należy wspomniany już „kodeks ranżnarski”. Nic nie wskazuje, by w omawianym okresie utrwalano teksty o charakterze literackim. Dochowane do naszych czasów pieśni i gędźby funkcjonowały w tradycji ustnej, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Dopiero znacznie później, blisko dwa stulecia po panowaniu Rohafta Samozwańca, zaczęto je spisywać, przy czym nie Zawsze dbano o zachowanie wierności

wobec oryginału. Nierzadko przykrawano stare opowieści do współczesnych gustów, zmieniano wątki bądź łączono je z innymi. Skądinąd w ciągu wieków zmieniały się także same gędzby; kolejni gędziarze usuwali z nich rzeczy, które przestały interesować słuchaczy, dodawali pierwiastki nowe. Stąd też obraz dawnego Slengu, zawarty w znanych nam opowieściach, bywa momentami niespójny i sporo w nim oczywistych anachronizmów.

Na znaną nam dawną literaturę Slengu składają się przede wszystkim pieśni i gędzby. Co do pieśni, znamy wiele ich rodzajów: biesiadne, obrzędowe, związane z określonymi pracami. Stosunkowo najwięcej zachowało się pieśni śpiewanych na łupieskich wyprawach, kierowanych na terytorium Orwanu. Do takich należy piosenka śpiewana przez Żegosta w Opowieści o wyprawie po ukryte w górach skarby stolinów (gdyż tak brzmi dokładny przekład tytułu). Domyślam się, że sposób, w jaki starałem się ją oddać, ściągnie na moją głowę liczne zarzuty znawców problemu. W istocie, pieśni slengańskie w niczym nie przypominały naszych. Ich charakterystyczna, oryginalna metryka opierała się na rytmicznym powtarzaniu w wersach głosek krótkich i długich, przy czym, jak się zdaje, dość swobodnie przesuвано akcenty (w dawnej mowie slengańskiej akcent spoczywał w zasadzie na pierwszej sylabie, nie było to jednak regułą). Rymów Slenganie nie stosowali w ogóle, często natomiast używali ekspresywnych, onomatopeicznych wyrażeń bez określonego znaczenia, służących jedynie podtrzymaniu rytmu pieśni. Wszystko to sprawia, że slengańskie pieśni nie dadzą się w zasadzie przełożyć na nasz język. W piosence Żegosta pozwoliłem sobie na bardzo dowolny przekład, chcąc uzyskać lepszy efekt u czytelnika. Wiernie natomiast przełożyłem pieśń Gadającego Drzewa (lub „śpiewającego drzewa”, bowiem slengańskie „nawar’ –” oznaczać może zarówno mowę, jak i śpiew). Ocenę tych zabiegów pozostawiam czytelnikowi.

Przekład zachowanych dotąd slengańskich pieśni i ich naukowego opracowania nie podjął się na razie nikt. Nieco lepiej przedstawia się sprawa z gędzbami. Konsekwentnie będę tu używał tego słowa, w przeciwieństwie do stosowanych przez niektórych badaczy określeń „gawęda” lub „opowieść”, uważam bowiem, iż najlepiej oddaje ono istotę rzeczy. Slengańska gędzba była bowiem gatunkiem z pogranicza poezji i prozy; używana w niej silna rytmizacja zdań wskazuje, iż była przeznaczona do swoistej melorecytacji, przy której gędziarz akompaniował sobie na instrumencie przypominającym nieco lutnię (słowo „lutnia” użyte w przekładzie jest uproszczeniem, nie jedynym zresztą, o czym dalej). Będąc „gawędą” lub „opowieścią”, była zarazem rodzajem pieśni. Jednoznacznie potwierdzają to zapisy w źródłach.

O gędzbach można by w ogóle napisać bardzo dużo. Żadna uroczystość w Slengu nie mogła się obejść bez gędziarza. Słuchano go zresztą chętnie, gdziekolwiek i kiedykolwiek się pojawił. Melodyjne, nastrojowe opowieści oddziaływały silnie na słuchaczy, dawały im zarówno wzruszenia, jak i nauki moralne czy wreszcie informację o ważnych wydarzeniach. Tematami gędzby były zdarzenia legendarne i mitologiczne, ale też i najnowsze, opowiadały one równie często o bogach lub dawnych herosach, jak o wyprawie, która powróciła zeszłej jesieni. Od gędziarza wymagano nie tylko, by mówił zajmująco i pięknie, lecz przede wszystkim, by opowieść jego pozostawała w zgodzie z faktami. Dlatego też wszystkie zachowane gędzby uzupełniają się wzajemnie i składają na obraz dziejów puszczańskiej krainy od czasów mitycznych aż po najnowsze.

Konfrontując ten obraz ze świadectwami kronik, zarówno „kodeksu ranżnarskiego”, jak i zapisów estarońskich i orwańskich, można pokusić się ów miarę dokładne zrekonstruowanie kultury tego kraju i jego dziejów. Pozwolę tu sobie na pobieżne ich streszczenie w nadziei, że czytelnika, którego zainteresowały Hrebor cudak i Skarby stolinów, sprawy te nie znużą.

Niewielki ten i słabo zaludniony kraj leżał na północnym wschodzie Estaronu. Od Orwanu, a później państwa Yorgów, oddzielał go łańcuch „gór przetrwania”, zwanych też „górami stolinów”. Położony był wśród bagnisk, porośnięty gęstą, miejscami niemożliwą do przebycia

puszczą, co w sposób decydujący zaważyło na jego historii i kulturze. O pierwotnych jego dziejach wiemy niewiele. Osobiście skłaniałbym się ku hipotezie, według której naród slengañski powstał ze stopienia się pierwotnych, dzikich mieszkańców borów z uciekinierami z Estaronu. Niedostępne lasy i trzęsawiska były bowiem od najdawniejszych czasów wymarzoną azylą dla uchodźców z przeżywanego wciąż nowe wewnętrzne zawieruchy królestwa. Dowodzi tego ogromne podobieństwo języków obu krajów. Choć nikt tego dotąd naukowo nie dowiódł, wydaje mi się rzeczą oczywistą, że wywodziły się one ze wspólnego prajęzyka. Jego rozwój w Estaronie i Slengu poszedł potem w innych kierunkach, Estarończycy zgubili półsambgłoski i nosówki, podczas gdy mowa Slengan stała się twarda, nosowa i dźwięczna, obfitująca w charakterystyczne, dźwięczne „n”. Warto by się pokusić o dokładniejsze zbadanie jej rozwoju, zwłaszcza że spora część zachodzących w nim zjawisk — jak na przykład tak zwany „pełnogłos” — ma swe analogie w niektórych wymarłych już językach ziemskich. Mimo jednak znacznych różnic w fonetyce i fleksji zachowane podobieństwo obu języków było spore. Estarończyk i Slenganin mogli się z łatwością porozumieć bez tłumaczy, tym bardziej że — co jest kolejnym dowodem słuszności przytoczonej wyżej tezy — ich wierzenia również były do siebie bardzo podobne. Kult naczelnego, piorunowładnego bóstwa — Swarga, mity o pierwotnej walce bogów, o stworzeniu boginek, ludzi i stolinów zdradzają na pierwszy rzut oka estarońskie pochodzenie. Zarazem przechowały się w Slengu pierwotne wierzenia mieszkańców puszczy. Slengañski bór pełen był mniej lub bardziej potężnych istot demonicznych, złośliwych i wrogich człowiekowi, przed którymi należało zabezpieczyć się umiejętnym postępowaniem i odpowiednimi zabiegami magicznymi. Przy czym, jak się wydaje, estarońska mitologia, słońca i piorunów interesowała głównie kapłanów i gędziarzy, którym dostarczała natchnienia. Natomiast wiara w rozmaite spaleńce, utppce, wiły, strzygi, chowańce, rozenice i dziesiątki innych istot demonicznych zamieszkujących puszcę oraz związany z nią kult ognia jako miejsca, w którym świat realny styka się ze światem nadprzyrodzonym, były w Slengu niezwykle silne jeszcze przez wiele wieków. W zachowanych gędźbach wezwanie „Na Swarga” powtarza się setki razy. Nie zdarza się, by któryś z bohaterów zawołał „Na Strzyboga!”. Przebywający gdzieś wśród obłoków władca piorunów był dla Slengan istotą abstrakcyjną. Puszczański demon stanowił natomiast siłę groźną i bliską, z którą szaleństwem byłoby igrzać, choćby tylko przez wymienianie na głos jej imienia. Do dziś zresztą zachowały się ślady tych wierzeń, na przykład w niechęci do mówienia o własnym powodzeniu i chwaleń swego losu, owego przysłowiowego już wśród cudzoziemców „wiecznego narzekania”. Chociaż dziś, oczywiście, jest to tylko nawyk i nikt nie lęka się, że nieopatrznie rzucone „jestem szczęśliwy” może ściągnąć na niego gniew złośliwych demonów.

Izolacja, w jakiej przez wieki znajdował się Sleng, zakłóciła poważnie jego rozwój społeczny. Podczas gdy w Estaronie, Berghu czy Orwanie dość szybko wykształciła się silna władza króla lub księcia i nastąpiło rozwarstwienie na zamknięte stany arystokracji, rycerstwa i plebsu, w Slengu wprost przeciwnie, władza słabła i ulegała decentralizacji. Na czołowe miejsce w państwie wysunął się stopniowo wiec, w którym zgodnie z obyczajem miał prawo brać udział każdy gospodarz. Początkowo stanowił on tylko rodzaj rady zwoływanej w wypadku wojny. Za Hodbora uzyskał prawo rozsądzania sporów i zaczął odbywać się regularnie, początkowo raz, a później dwa razy do roku. Ostateczny triumf wiecu, jako decydującej o wszystkim instytucji w państwie, nastąpił po śmierci Malgrana, kiedy to właśnie wiec uzyskał prawo wyboru jego następcy.

Nie znano w ogóle w Slengu pojęcia „dobre urodzenie”, nigdy nie wykształciły się tam zamknięte stany. Dzisiejszy gospodarz mógł jutro pójść: z torbami, dzisiejszy pacholek mógł wrócić z wyprawy z bogatym łupem i stać się najzamożniejszym gospodarzem w okolicy, a nawet sięgnąć po władarstwo w osadzie. W czasach dominacji wiecu rody zatraciły do reszty swe dawne znaczenie i jeśli ktoś powoływał się na swą przynależność do któregoś z nich,

czynił to li tylko dla splendoru. Nigdy zresztą slengańskie rody nie były instytucją w naszym tego słowa rozumieniu. Stanowiły raczej coś w rodzaju szkockich klanów. Członkowie rodu zobowiązani byli do wzajemnej pomocy i solidarnego występowania na zewnątrz (sławne „prawo wróżdy”, które spowodowało tyle zamętu w dziejach Slengu), ale przynależność do rodu nie dawała sama przez się dostępu do zaszczytów ani bogactw. Członkowie rodu niekoniecznie byli ze sobą spokrewnieni; często przyjmowano do nich ludzi innej krwi, a za szczególnie rażące złamanie prawa i obyczaju można było zostać z rodu usuniętym, jak się to zdarzyło Hreborowi. Czym były i jak funkcjonowały rody, widać zresztą dobrze w Hreborze cudaku, gdzie opisano czasy rozkwitu tej instytucji. W okresach późniejszych przyjęło się pomijanie nazwy rodowej i przyjmowanie przydomka patronimicznego, jak „Hrewodowic” czy „Dażgradowic”. Warto dodać, że na przykład sławiony w licznych gędźbach palatyn komesa Goszpora, Horbesz Gonzwa, w ogóle nie należał do żadnego rodu, a jego pochodzenie byłoby według estarońskich pojęć mocno wątpliwe. Nie przeszkodziło mu to w zdobyciu powszechnego szacunku i sięgnięciu po najwyższe zaszczyty.

Mimo swych niewątpliwych związków z Estarończykami Slenganie zawsze zachowywali wobec nich daleko idącą powściągliwość lub wręcz wrogość. Jak sądzę, zadecydowała o tym przede wszystkim opisana wyżej odmienność obu państw. W gędźbach mówi się o Estarończykach pogardliwie, jako o „pachołkach” wdrożonych do słuchania cudzych rozkazów, najczęściej zaś po prostu kpi się z nich jako z „ostatnich cudaków”. Wspomnienie najazdu Othomahra Szalonego, o którym mówi nie tylko Hrebor cudak, ale też wiele innych gędźb, na pewno również nie usposobiało Slengan przychylnie wobec mieszkańców królestwa. Podbój ten zresztą, krótkotrwały, bardziej o łupieżczym niż politycznym charakterze (wbrew zamierzeniom Othomahra), nie spowodował bezpośrednio żadnych zasadniczych zmian w Slengu. Wprawdzie władcy Slengu aż do czasów Rohała Samozwańca składali symboliczną daninę każdemu nowo wstępującemu na tron królowi, a kraj ich był przy wielu okazjach wymieniany wśród dziedzicznych ziem pana Askiburionu, ale zależność ta była w istocie rzeczą polityczną fikcją i pozorem.

Warto tu dorzucić kilka słów o księciu Hodborze, wspomnianym kilkakrotnie w Hreborze cudaku, jego to bowiem rozważna polityka sprawiła, że hołd, który złożył Othomahrowi po nieudanych próbach odparcia jego najazdu, był w istocie zwycięstwem Slengan, nie rycerzy estarońskich. Hodbor, przyjmując pozorną zależność, uchronił się przed konfrontacją z potęgą ościennego królestwa, której słabo zaludniony Sleng nie byłby w stanie, mimo sprzyjających warunków geograficznych, na dłuższą metę poddać. Chroniąc w ten sposób granice swego władztwa przed rycerzami, otworzył je jednocześnie dla estarońskich kupców. On właśnie rozpoczął budowę pierwszego w Slengu gościńca przejezdnego o każdej porze roku. Chętnie też przygarniał światłych Estarończyków, którzy na jego dworze mogli schronić się przed gniewem swego króla. Dla kultury Slengu było to niestety korzystne. Dokonał tego w najtrudniejszej chwili, gdy Estaron znajdował się u szczytu swej potęgi; fakt jednak, że dzieło Hodbora kontynuowali jego następcy, dowodzi, iż nie był jedynym wytrawnym politykiem w swym rodzie. Estarońskie kroniki przedstawiają go jako upartego prostaka, upokorzonego w końcu przez następców Erona. Slengańskie gędźby, zwłaszcza Opowieść o włóczni Hodbora, idealizują księcia, sławiąc głównie jego męstwo i gospodarską rozważność. Same jednak fakty — a pamiętajmy, iż ten sam książę potrafił położyć wreszcie kres ustawicznym rodowym waśniom i narzucić mieszkańcom puszczy poczucie szerszej, narodowej więzi — świadczą, że był to władca wybitny, być może najwybitniejszy w dziejach Slengu.

Charakterystyczne jest, że gędźby, choć często nawiązują do najazdu Othomarha, wstydliwie przemilczają jego zakończenie. Podnosi się w nich drobne sukcesy Slengan w prowadzonej przez nich zawziętej wojnie partyzanckiej, wspomina się chętnie o potyczce pod Skerhrondem i zagładzie wojsk Gordenhertha, w żadnej natomiast nie znalazłem ani jednej wzmianki o hołdzie Hodbora i wysyłanych potem estarońskim królom daninach. Nawiasem

mówiąc, historyczna wartość opisu tej wojny zawartego w Hreborze cudaku jest wątpliwa — rzecz dla slengañskich gędźb nietypowa. Zagłada oddziału Gordenherta (w istocie był to silny podjazd, nie „trzecia część” armii Othomahra), z którego nie ocalał nikt, stanowiła jednak wydarzenie do tego stopnia niezwykle, że nawet rozważny zazwyczaj kronikarz estaroński zanotował: „Onego [Gordenherta] zgładziły niecznie złe upiory mieszkające w lasach”.

Hrebora cudaka pozwoliłem sobie jednak wybrać, aby zaprezentować go tutaj nie jako źródło historyczne, lecz jako doskonały przykład „klasycznej”, typowej gędźby. Możemy w nim znaleźć wszystkie charakterystyczne cechy slengañskiej opowieści: silne osadzenie w realiach (narrator podkreśla kilkakrotnie, w jakich czasach dzieje się akcja), specyficzną konstrukcję narracji, której wszystkie wątki zbiegają się w jednym punkcie, typowy dla Slengan magiczny sposób myślenia, przekonanie o zdeterminowaniu ludzkiego losu przez wyrok demonów, bogatą symbolikę ognia (rozmowa z widmem ojca — w slengañskich gędźbach istoty z zaświata pojawiały się zawsze poprzez płomienie). Wszystko to w dodatku okraszone jest mnóstwem smakowitych dla zainteresowanego sprawą czytelnika szczegółów z życia dawnego Slengu.

Skarby stolinów nie tylko opowiadają o czasach późniejszych o około sto dwadzieścia lat (co łatwo wywnioskować z rozrzuconych po tekście wzmianek), ale też ze względu na czas napisania przynależą już raczej do literatury nowożytnej. Utwór ten jednak niemal w całości opiera się na wątkach dawnych gędźb, opracowanych jedynie w sposób bardziej nowoczesny. Wybór mój padł właśnie na ten tekst ze względu na jego atrakcyjną fabułę. Wiele bowiem starych gędźb, zapisanych z dużą wiernością w stosunku do oryginału, mogłoby przeciętnego czytelnika po prostu znużyć. Być może też chciałem w ten sposób nieco ułatwić sobie pracę. Skarby stolinów bowiem, jako tekst nowszy, są nieporównywalnie prostsze do przełożenia niż Urdhad Niedźwiedź czy Opowieść o Dażgradzie, synu włodarza, zamienionym w wilka. Co nie znaczy, że przekład tego utworu był zadaniem prostym.

Trudności sprawiają przede wszystkim nazwy. Postanowiłem pozostawić je w naturalnym brzmieniu i poprzestać jedynie na transliteracji. Zaledwie w kilku miejscach dokonałem nielicznych uproszczeń fonetycznych (np. w imieniu Żegost). Pozwoliło to zachować pewien charakterystyczny dla tych utworów nastrój, jednocześnie jednak spowodowało zagubienie znaczenia nazw i imion; wszystkie bowiem nazwy slengañskie były nazwami znaczącymi. I tak na przykład imię Hrebor oznacza tyle co „chorowity”, „chuchro” (slengañskie „hereb” — choroba). Tego typu imiona nadawano bardzo często, chcąc uchronić dziecko przed złośliwością demonów. Równie często nadawano imiona, które miały złe siły odstraszać, jak Skerwarz („nie lękający się ognia”) lub Blizbor („potężny”, „groźny”). Mniej jasne jest znaczenie nazw rodów. Pahwazda wywodzi się zapewne z imienia Pahowozd, według wierzeń slengañskich jednego z potężniejszych demonów puszczy, który — jak się zdaje — miał być opiekunem rodu. Streżda zdradza podobieństwo do słowa „streżarg”, oznaczającego zaciętą walkę aż do śmierci, szal bojowy. Tragży wywodzi się prawdopodobnie od nazwy „tragord”, oznaczającej potężny pal w częstokole wieńczącym ziemno–drzewne wały slengañskich grodów. Nazwę Astarha należy rozumieć jako „niszczyciel” lub „burzyciel”, na co wskazuje rodowe zawołanie wojenne „Tarh!” — rozkaznik od czasownika „tarheg” — „burzyć”, „nicować”, „przewracać do góry nogami”.

Znaczące są też nazwy miejscowe. Stolinhregd to „grzbiet stolina”, Skerh to dosłownie „ogień”, Zadrąg oznacza miejsce dalekie, trudno dostępne, podobnie Isthorna — dosłownie „domy pod górami”, czyli osada ukryta u podnóża gór. Do wyjątków należy Knesza, powstała ze skrócenia Kneszagordu — „książęcego grodu”, zbudowano go bowiem, by strzegł „książęcej drogi” wiodącej z Harlongu do Estaronu. W czasach jednak, o których mówią Skarby stolinów, trakt ten stracił swe znaczenie na rzecz wybudowanej przez Hodbora „suchej drogi”, co pociągnęło za sobą również podupadnięcie grodu.

Konsekwentnie używałem słowa „żerc” zamiast bardziej się nasuwającego „kapłan”, chciałem bowiem uniknąć skojarzeń z kapłanami w naszym tego słowa znaczeniu. Slengañscy żercy byli po trosze wieszczbierzami, po trosze znachorami, a nawet czarownikami. Funkcje kapłańskie, stróżowanie w nielicznych świątyniach i składanie ofiar demonom to tylko część ich działalności. Stanowili oni środowisko zamknięte i przekazywali swą „wiedzę tajemną” z ojca na syna.

Osobą zbliżoną do kapłana był dla Slengan płatnerz — muszę używać tego słowa, choć nie nasuwa ono skojarzenia z magią. Slengañskie „maszdaword” można było przetłumaczyć jako „poskromiciel duchów”, to jednak byłoby dla czytelnika równie mylące. Płatnerz zajmował się wyłącznie wyrobem włóczni, w których według wierzeń slengañskich uwięzione zostały leśne demony. Stanowiło to kunszt pilnie strzeżony i niedostępny dla zwykłego śmiertelnika. Stąd też płatnerzy otaczano powszechnym szacunkiem i bojaźnią, a ich siedziby, odległe od ludzkich obojść, na co dzień omijano z daleka.

Skoro do tego już doszliśmy, należy się czytelnikowi kilka słów więcej o slengañskiej broni. W bagnistym, gęsto zalesionym kraju jazda stawała się praktycznie bezużyteczna, czego doświadczyli na własnej skórze 169 rycerze Othomahra (w decydującym starciu z siłami Hodbora o zwycięstwo zadecydowały piesze rotty kuszników i pawężników). Mieszkańcy Slengu poruszali się i walczyli pieszo, koń stanowił w puszczy rzadkość i przypisywano mu nawet pewną moc magiczną. Jedynie drużyna komesa, czyli (w późniejszym okresie) „strażnicy gościńca”, używała czasem wierzchowców, do walki jednak najchętniej stawała pieszo. Z drugiej strony najczęstszymi przeciwnikami Slengan byli ciężkozbrojni jeźdźcy orwańscy. Te dwa czynniki spowodowały wykształcenie się slengañskiego uzbrojenia — było to uzbrojenie piechura, przeznaczone do walki z jeźdźcem.

Używane pierwotnie dwuręczne miecze, zapożyczone od dawnej estarońskiej piechoty, zaczęto z czasem osadzać na długim drzewcu (około 140–160 cm). Powstała w ten sposób broń niezwykle groźna, przez wiele lat dająca Slenganom przewagę w pojedynczym boju. Z braku lepszej nazwy używam w przekładzie słowa „włócznia”, proszę jednak nie kojarzyć jej ze średniowieczną włócznią rycerską. Jeżeli już szukać podobieństw, to z wyglądu przypominała ona europejską partizanę (miała jedynie nieco dłuższe ostrze), ze sposobu używania zaś japońską naginatę. U nasady głownia rozszerzała się w kształt półksiężyca, tworząc haki służące do ściągania przeciwnika z konia. Na drzewcu, poniżej głowni, nabijano specjalne pierścienie i blaszki, tak zwane nojzry, które przy poruszaniu włócznią wydawały hałas powodujący płoszenie się koni. Nojzry pozwalały też rozpoznawać się w walce — ich liczba i rodzaj świadczyły o znaczeniu wojownika. Podczas marszu głownię zakrywano drewnianym pokrowcem w kształcie wydrążonego walca, przeważnie bogato zdobionym, nojzry zaś owijano kawałkiem skóry.

Rozwinęła się w Slengu cała skomplikowana sztuka posługiwania się tą bronią, doskonalona przez wiele pokoleń. Nauka całych systemów pchnięć, bloków i zasłon należała do podstawowego wykształcenia gospodarskiego syna, a mistrzowie tej sztuki otaczani byli powszechnym szacunkiem. Porównać ją można tylko z dalekowschodnimi sztukami walki, z tą może różnicą, że ona nie stanowiła w Slengu żadnej tajemnicy i była dostępna każdemu.

Zbroja slengañska nie krępowała ruchów, umożliwiając pełne wykorzystanie walorów włóczni. Musiała być także lekka, aby nie obciążać wojowników podczas liczących nieraz po kilkaset kilometrów wypraw. Składała się z dwóch długich do kolan płatów, połączonych na ramionach i ściągniętych pasem. Wykonywano ją przeważnie z płótna zszywanego w kilkanaście warstw lub usztywnianego przez nasycenie specjalnie spreparowaną żywicą. Dla wzmocnienia nabijano często zbroję żelaznymi ćwiekami lub płytkami. Rzadko, i to dopiero w czasach późniejszych, zdarzało się najmożliwszym gospodarzom przywdziewać zbroje wykonane z zachodzących na siebie żelaznych pasków.

Zbroja taka chroniła przede wszystkim przed uderzeniami z góry. Najmocniejszą jej częścią były stalowe naramienniki i luźne, mocowane do ramion pasami harnasze. Podobną funkcję spełniał płaski hełm z szerokim, opadającym na kark i ramiona okapem. Pod hełmem, na twarzy, mocowano bojową maskę — slengański obyczaj zabraniał bowiem stawania do walki z odsłoniętą twarzą. Maski te wykonywano z blachy lub uzyskiwanej z żywicy substancji, podobnej do chińskiej laki. Malowano je przeważnie w barwy rodowe, pełniły więc podobną funkcję jak oznaczone herbami tarcze estarońskich rycerzy. Po walce wojownik luzował mocujące maskę rzemienie, pozwalając jej zwisać na pierś.

U pasa zawieszano sakwy oraz bukłak i drewnianą manierkę z gorzałką. Slenganie nie pili gorzałki na co dzień — do tego służyło piwo, a przy większych okazjach miód. Używali jej jako uniwersalnego lekarstwa, a picie jej dopuszczane było tylko przed bitwą i w chwilach skrajnego wyczerpania. W sakwach mieścił się cały dobytek wojownika oraz duży worek ze skóry, w którym w powrotnej drodze niesiono na plecach łupy.

Oczywiście cały ten ekwipunek był dość kosztowny — zwłaszcza włócznia warta była majątek. Tylko najmożniejsi mogli sobie pozwolić na takie uzbrojenie. Pachołkowie idący na wyprawy po bogactwa, które mogłyby odmienić ich los, używali do walki toporów, a najczęściej mocno okutych cepów. Nie była to wcale broń śmieszna.

Wątpliwość moją budziło też użycie w przekładzie słowa „wyprawa”. Lepiej może byłoby posłużyć się sformułowaniem „chodzić na wiking”. Wyprawy były nie tylko metodą powiększania rodowego bogactwa. Dla jednych stanowiły one ratunek przed głodem w wypadku powodzi lub nieurodzaju, co przy dość prymitywnej uprawie roli zdarzało się często, dla innych szansę zmiany statusu społecznego, dla jeszcze innych wreszcie — sposób na życie. O sławnych wyprawach śpiewano pieśni i gędźby, najmężniejszych i najrozważniejszych wodzów wysławiano i wspominano jeszcze przez wiele czasu po ich śmierci. Chętnych na wyprawy nie brakowało przez długie lata, chociaż niejeden z nich pozostawał na zawsze za górami — bądź co bądź Orwańczycy potrafili się bronić, a w czasach swej potęgi nieraz odpłacali pięknym za nadobne. W slengańskiej puszczy jednak — pamiętajmy o tym — nie dobywano żadnych kruszców, srebro miało tam zatem ogromną wartość, nie mówiąc już o złocie. Niekiedy za jeden złoty pierścień można było nabyć spore, dobrze zagospodarowane dworzyszczce z otaczającą je ziemią.

W przeciwieństwie do nazw własnych pozwoliłem sobie natomiast przetłumaczyć niektóre charakterystyczne slengańskie wyrażenia, jak popularne przekleństwo „granzawahn” — „bagniska i węże” (wąż był w Slengu zwierzęciem otaczanym pogardą i niechęcią), czy „wanagranz” — dosłownie „idź w bagna”, odpowiednik naszego „niech cię diabli porwą”.

Lata 560–700 to okres, w którym Sleng zajmował w świecie pozycję outsidera. W puszczańskim kraju czas jakby się zatrzymał, od sąsiedniego królestwa dzieliło go w niektórych dziedzinach kilka wieków. Dojrzewał wtedy, dopiero do wstąpienia na dziejową arenę, które nastąpiło w czasach wielkiej wojny o sukcesję estarońską. Izolacja ta i jej skutki legły u podstaw krótkotrwałej świetności Slengu, stały się również przyczyną jego późniejszego upadku. O czasach Rohalta Samozwańca i Szerehara Wilka mamy stosunkowo najwięcej materiałów, zarówno w postaci kronik, jak i zachowanych gędźb. Materiał ten czeka dotąd na należyte opracowanie! Ufam, że — jak mawiano w Slengu — dane mi będzie dokonać tej pracy i przedstawić czytelnikom bogatszy obraz tego arcyciekawego kraju i sąsiadującego z nim mocarstwa. Na razie oddaję w ręce czytelników te dwa skromne przekłady w nadziei, iż przynajmniej niektórych zainteresują one równie mocno, jak stało się to niegdyś moim udziałem, powodując wieloletnią fascynację dziejami i kulturą niewielkiego, skrytego wśród puszczy kraju.